

Kowalczyk Halina

Pałacyk za mostem



Rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę... - powiedziała z niechęcią.

Do gabinetu cicho wsunął się niski, chudy mężczyzna z resztką włosów na głowie. Do piersi kurczowo przyciskał aktówkę i niepewnie rozglądał się po wnętrzu. Jego rozbiegany wzrok świadczył o zdenerwowaniu.

- Pan był umówiony? Bo nie mam tu karty... - zapytała Ela, spoglądając wymownie na biurko.

- Nie, pani doktor, ja z interesem... - Mężczyzna zbliżył się powoli.

- Niech pan siada, ale uprzedzam, że żadnych leków nie będę pacjentom przepisywać w zamian za jakąś wycieczkę... - Zaczęła ostro, patrząc mu wyzywająco w oczy.

- Ja nie jestem przedstawicielem farmaceutycznym, ja w innej sprawie...

- W jakiej? - Jej głos nadal był ostry, nieprzyjemny, czym ponownie wprawiła mężczyznę w zakłopotanie.

- Próbuję to wyjaśnić, ale mi pani nie daje - odparł już nieco śmielej.

- Faktycznie - zreflektowała się. - Widzi pan, koleżanka jest na urlopie i przyjmuję nie tylko swoich, ale i jej pacjentów. Jestem w pracy od siódmej rano, a teraz mamy - spojrzała na okrągły zegar wiszący na ścianie - siedemnastą...

-Współczuję pani, ale być może moja propozycja chociaż trochę poprawi pani nastrój. - Uśmiechnął się chytrze, jego wąskie oczy stały się szparką niczym u lisa. - Mamy wspólną znajomą, Manię... - Zaczerpnął powietrza, czekając na reakcję, ale kobieta tym razem milczała. - Mania mówiła mi, że szuka pani pracy z dala od Łodzi, chce pani jak najszybciej wyprowadzić się stąd...

-Istotnie, szukam nowego miejsca zamieszkania i pracy, a co pan mi może zaoferować? - Odruchowo zaczęła składać karty pacjentów, których dzisiaj przyjęła.

- Jestem z Ruczaju, to na Podhalu. Piękna i spokojna miejscowość, w otoczeniu Tatr i lasów. Nasza gmina potrzebuje lekarza. Możemy pani zaoferować pensję większą o połowę! - Spojrzał na kobietę i obserwował, czyjego słowa wywarły na niej odpowiednie wrażenie, ale sromotnie zawiódł się. - Mamy też piękne mieszkanie dla pani, a w zasadzie pałacyk. To zabytek i do tego w tym roku został wyremontowany, wszystko gotowe do wprowadzenia się. - Ponownie spojrzał na kobietę, ale nie widząc na jej twarzy żadnej reakcji, otworzył teczkę i wyjął zdjęcia, które przed nią rozłożył.

Elżbieta ledwie zerknęła.

- Szanowny panie, proszę zostawić mi do siebie kontakt i ofertę, bo ma pan ofertę na piśmie?

- Oczywiście, że mam. - Mężczyzna pośpiesznie począł gmerać w teczce, po chwili wyciągnął kartkę papieru w foliowej koszulce i wizytówkę, które położył na zdjęciach.

-Panie... - spojrzała na wizytówkę - Kotek, po weekendzie dam panu znać, muszę się zastanowić. Fakt, planowałam zmiany w swoim życiu zawodowym, ale nie wiem, czy aż tak szybkie. - Błady uśmiech zagościł na jej ustach.

- Oczywiście, rozumiem to, będę cierpliwie czekał. Proszę zadzwonić do Mani, ona dobrze mnie zna... - krygował się.

- Nie omieszka, zapewniam pana. - Elżbieta wstała zza biurka, dając do zrozumienia, że wizytę uważa za zakończoną.

* * *

Trzy miesiące temu Elżbieta Wysocka skończyła czterdzieści lat. W tym dniu skończyło się też jej szczęśliwe życie. Szykowała uroczystą kolację dla siebie i męża, zadzwoniła do niego, aby wracając z pracy, kupił wino. Był w drodze, kiedy odebrał telefon, nie zauważył nadjeżdżającej ciężarówki. Elżbieta słyszała pisk opon i trzask zgniatanej blachy, potem była tylko cisza i ciemność.

Dwa dni po pogrzebie policja zwróciła jej rzeczy Marka, wśród nich pudełeczko z pierścieniem, na którym było wygrawerowane: „Mojej wspaniałej i ciągle młodej żonie Elżbiecie, kochający mąż, Marek”. Zamknęła się wówczas w pokoju, zabierając ze sobą butelkę whisky. Usiadła w fotelu, w którym Marek uwielbiał przesiadywać i czytać gazetę. Patrzyła na piękny pierścionek z granatem, mąż wiedział, jak bardzo kochała ten kamień. Piła. Nawet Majka, która przyjechała od razu z Krakowa, gdzie studiowała, nie potrafiła jej pomóc.

Relacje Elżbiety z córką były zawsze bardzo dobre, lecz teraz miała do niej pretensje, że chodzi za nią krok

w krok, pilnuje, szpieguje! Chciała, aby zaraz po pogrzebie pojechała do siebie i dała jej święty spokój, tak jak zrobiła to reszta rodziny. Ale Majka nie dawała za wygraną, czuła, że matka może zrobić głupstwo. Wezwała na pomoc ciocię Manię, przyjaciółkę mamy ze studiów.

Marianna Ostrowska była stomatologiem, z Elżbietą poznały się na uczelni i były nierozłączne przez cały okres nauki. Dopiero specjalizacje obu kobiet na trochę je rozdzieliły, potem Ela poznała Marka i założyła rodzinę. Zaś Marianna traktowała ród męski jako zło konieczne i postanowiła zostać singielką, decyzji, jak do tej pory, nie żałowała.

Ostrowska wkroczyła do mieszkania na Włókienniczej niczym orkan. Wystarczył jej tydzień, aby Elżbieta zaczęła jako tako funkcjonować, a Majka mogła wrócić na studia do Krakowa. Mania jednak została jeszcze trzy tygodnie z Elą, codziennie razem chodziły na cmentarz, wieczorami wysłuchiwała płaczu i żalu. Wiele wysiłku kosztowało ją, aby Elżbieta przestała się obwiniać o śmierć męża. I to było najtrudniejszym zadaniem.

Wysocka uważała, że gdyby w tamtym momencie nie zadzwoniła, Marek zauważyłby ten samochód i zdążył zareagować, a tak...? Policja wyjaśniła, że tamten kierowca był pijany, jego ciężarówka i tak by zmiotła samochód Marka, nie mógł tego uniknąć, a rozmawiał przecież przez zestaw głośnomówiący. To jej jednak nie przekonało, zadręczała się przez cały czas. Ale prawdziwe jest powiedzenie, że czas leczy rany. Z każdym dniem było lepiej, powoli zaczynała się uśmiechać, codzienne telefony od córki i Mani zapewniały ją, że są ludzie, którym na niej zależy. Nie mogła tylko liczyć na wsparcie ze strony teściowej i szwagierki Agaty. Obie kobiety uważały, że

Marek popełnił mezalians, żeniąc się co prawda z lekarką, ale wywodzącą się z rodziny niewiadomego pochodzenia. Dlaczego tak twierdziły? Otóż...

Elżbieta Wysocka urodziła się w Katowicach, a kiedy miała pięć lat, jej rodzice zginęli podczas szkwału na Mazurach, gdzie spędzali wakacje. Nie zdążyli zawinąć do portu, ich niewielka łódka poszła na dno. Nikt z rodziny nie chciał zająć się małą Ela, ani jedna, ani druga babka, ani żadna z ciotek. Na pogrzebie poklepały ją po policzku, życząc szczęścia, po czym pani z opieki zabrała ją do domu dziecka. Jak czuło się dziecko, które jeszcze wczoraj miało rodzinę, a dziś pustkę? Kiedy obie babcie, które cieszyły się z otrzymywanych laurek, teraz odwróciły się, tłumacząc się swoim zdrowiem? Chociaż każda z nich miała wówczas zaledwie 50 lat i dobry status materialny. Serce małej Eli zamknęło się przed światem.

Wszystko było jej obojętne, szybciej wydoroślała, nad wiek była poważna. Wychowawcy nie zwracali na nią uwagi, tyle dzieci było pod ich opieką, nikt nie zauważył, że dziewczynka popada w depresję i oddala się od świata żywych. Dopiero zatrudnienie w domu dziecka pani Beaty, psychologa dziecięcego, zmieniło świat Elżbietki. Kobieta od razu dostrzegła niepokojące objawy u dziecka i zaczęła z nią spędzać coraz więcej czasu. Mówiła do niej, opowiadała bajki, ona milczała, aż pewnego dnia roześmiała się głośno, kiedy Beata zrelacjonowała jej przygodę swojego psa. Od tego momentu Ela powoli zaczęła wracać do świata. Jedynie w okresie Bożego

Narodzenia popadała w zadumę i chandrę, patrzyła przez okno, wyczekując na... którąś z babć. Nigdy się ich nie doczekała.

Beata stała się jej rodziną, to do niej szła z problemem pierwszej miłości, to ona pomogła jej wybrać kierunek studiów, to ona wybierała suknię ślubną, to ona... to ona była jej matką i ojcem jednocześnie. Potem Ela opłakiwała jej przedwczesną śmierć, to był kolejny cios w jej życiu, ale wówczas miała już swoją rodzinę, w której znalazła oparcie.

Niestety, do tej rodziny nie mogła zaliczyć ani teściowej, ani szwagierki. Obie kobiety od początku stawiały jej kontrę we wszystkim. Na szczęście Marek nie był mężczyzną zapatrzonym w mamusię i dość szybko, mówiąc kolokwialnie, ustawił je do pionu. Stosunki między Elżbietą a jego rodziną stały się zimnopoprawne, ale to było lepsze niż ciągła krytyka.

Marka poznała podczas juwenaliów na koncercie Maanam. Szalała z Manią w pierwszym rzędzie, a kiedy występ się skończył i cała publiczność ruszyła z impetem do wyjścia, ktoś Elżbietę popchnął, upadła i gdyby nie czyjeś silne ramiona, zostałaby na pewno stratowana. To była miłość od pierwszego wejrzenia. Szybko zdecydowali się na ślub, czuli, że są stworzeni dla siebie. Żadne perswazje nie wybiły im tego pomysłu z głów. Jak się potem okazało, małżeństwo przetrwało ponad dwadzieścia lat w szczęściu, miłości i wzajemnym szacunku. Dlatego też nagła śmierć Marka doprowadziła Elżbietę niemal do samobójstwa. Jednak dzięki Mani i Majce pozbierała się, chociaż z niemałym trudem. Przyjaciółka doradziła jej, aby zmieniła otoczenie, zaczęła wszystko od nowa, zwłaszcza że teściowa i szwagierka co rusz wpadały do niej, żądając jakichś pieniędzy, które rzekomo Marek im obiecał na remont mieszkania! Ich bezczelność, brak empatii wobec cierpienia Elżbiety nie miały sobie równych. W końcu Wysocka zdecydowała się na radykalne zmiany.

Zacząła rozglądać się za nowym miejscem zamieszkania i pracy.

Po wyjściu Kotka z gabinetu Ela oparła łokcie na biurku i spojrzała na zdjęcie stojące obok monitora. Uśmiechał się z niego Marek, posyłał jej całusa. Fotografię zrobili w zeszłym roku, kiedy byli na wczasach nad morzem.

-Marku, co mam robić? Jechać tam? Mam zostawić za sobą wszystko i ciebie? - Łzy potoczyły się jej po policzkach, westchnęła.

Wzięła kartkę z ofertą pozostawioną przez chudego mężczyznę. Zacząła ją czytać. Istotnie zaproponowano wyższe wynagrodzenie, darmowe mieszkanie w jakimś zabytkowym pałacyku, jedynie za wodę, prąd i gaz miała płacić. Warunki doskonałe. Gwiazdka z nieba? Sięgnęła po zdjęcia. Aż ją zatchnęło z wrażenia: piętrowy pałacyk otoczony sosnowym lasem, zza niego wyłaniały się wyniosłe wzgórza. Ściany budynku były w kremowym kolorze, dachówka ciemnobrązowa, stylowe okna z drewnianymi okiennicami. Całości dopełniał okalający front ganek z kolumnami. Na parapetach zewnętrznych stały skrzynki z petuniami, kamienną ścieżkę okalał równo przycięty trawnik. Na drugim zdjęciu był widok z okna. Wielka połać trawnika poprzecinana kamiennymi ścież-

kami, na środku dziwnie powyginane sosny karłowate, gdzieś tam - klomby z piwoniami. Za trawnikiem rozciągała się ściana lasu, zaś za nim szczyty gór. Elżbieta była zachwycona, spojrzała na zdjęcie męża.

- Marku, mam jechać? Postawić wszystko na jedną kartę? Daj mi znak, proszę... - Znowu łzy nie chciały zostać w oczach, spłynęły leniwie po policzkach, mocząc zdjęcia. Raptem wydało jej się, że ktoś stoi pośród powykręcanych dziwnie pni sosen, przybliżyła fotografię do oczu. - Marek?

Postać wydawała się bardzo znajoma, ta sama postawa, znajoma ręka oparta o drzewo i tajemniczy, wzywający ją uśmiech. Zacisnęła powieki, a kiedy otworzyła oczy, na zdjęciu nikogo nie było. Jednak wiedziała już, co ma robić. Wzięła do ręki wizytówkę pana Kotka...

Prawie miesiąc zajęło jej załatwienie wszystkich formalności, rozwiązanie umowy o pracę, sprzedaż mieszkania, transport niezbędnych mebli do Ruczaju. Na początku kwietnia ruszyła w drogę. Planowała najpierw zajechać do Majki, do Krakowa. Córka miała tam mieszkanie, które kiedyś należało do Eli. Po ślubie przeniosła się do rodzinnego miasta męża, zaś mieszkanie było wynajmowane. Teraz mieszkała w nim córka. Na miejscu czekała na nią ciepła kolacja i nocne pogaduchy z córką. Spać poszły nad ranem, wstały po południu tylko po to, aby coś zjeść i ponownie rozmawiać. Dopiero wieczorem wyszły do miasta. Elżbieta oddychała pełną piersią, powietrze wydawało jej się takie rześkie, zupełnie inne niż w zadymionej Łodzi.

- Mamuś, tak się cieszę z twojej decyzji! - oznajmiła entuzjastycznie Majka, kiedy siedziały na Starym Mieście w kafejce, pijąc kawę.

-Nie jestem tego taka pewna - odparła Ela. - Ciągle mam wątpliwości. W Łodzi został tata... - dodała płacząco.

- Mamo, daj spokój - przerwała jej Majka. - Tam jest tylko grób, na pewno babka i ciotka będą na niego ganiać, aby utrzymać porządek, my też kiedyś tam wpadniemy. To tylko grób, taty tam nie ma, on jest już w innym miejscu, innym czasie. Pewnie serce mu pęka, kiedy patrzy, jak się zadręczasz. Zresztą, przypomnij sobie wasze wspólne marzenie o emeryturze...

- Pewnie masz rację. - Elka westchnęła ciężko i zerknęła na rękę córki. Na placu serdecznym był pierścionek z cyrkonią. - A skąd ten pierścionek? Jeszcze wczoraj go nie widziałam. Czyżbym o czymś nie wiedziała? - W końcu uśmiech zagościł na jej ustach.

- No... właśnie chciałam ci o tym powiedzieć, ale nie wiedziałam jak i kiedy. Poznałam kogoś, to znaczy on ma na imię Rafał, też studiuje prawo, tylko na roku wyżej. Teraz go nie ma, jest w Danii w ramach wymiany studenckiej, ale kiedy wróci, przyjedziemy do ciebie do Ruczaju...

- Stop! - przerwała jej matka. - Spokojnie. Dlaczego mi o nim nigdy nie powiedziałaś? Jestem zaskoczona i... jest mi z tego powodu przykro. Nie masz do mnie zaufania? - Elżbieta spojrzała z wyrzutem na córkę.

- To nie tak, mamo. - Majka zaczęła nerwowo obracać pierścionek na palcu. - Rafała poznałam dwa lata temu, to była miłość od pierwszego wejrzenia jak u ciebie i taty, tylko... tylko Rafał jest... trochę inny - dukwała, strzelając oczami na boki.

- Jak to inny? Karzeł? Inwalida? - Grad pytań posypał się z ust Elżbiety.

- On jest Mulatem, a w zasadzie bardzo ciemnym Mulatem - dukała.

-Murzyn? - Oczy Elżbiety przypominały koła młyńskie.

-Niezupełnie. Jego mama jest Włoszką, a tata Nigeryjczykiem. Poznali się na studiach właśnie tutaj, w Krakowie, pokochali i zostali. To naprawdę wspaniali ludzie. Rosa jest wykładowcą na Jagiellonce, uczy włoskiego, zaś ojciec, Paul, jest adwokatem.

- Widzę, że już ich poznałaś, ja zaś twego narzeczonego nie - stwierdziła matka z wyraźnym sarkazmem w głosie.

- Mamo, proszę, przestań. Bałam się reakcji taty, kiedy powiedziałabym, jak wygląda Rafał.

Elżbieta potarła palcami skroń. Majka miała rację. Marek by nie zaakceptował jej wybranka. Był na wskroś rasistą. Był to jedyny temat, w którym się nie zgadzali, i który prowadził do kłótni. Dlatego starannie go unikali. Ale przecież jej mogła śmiało powiedzieć! Chociaż... Nie ma co płakać nad rozlanym mlekiem.

-Opowiedz mi o nim. A masz może zdjęcie? -Uśmiech, i to wcale nie wymuszony, zagościł na jej ustach.

Majka ochoczo sięgnęła do torebki przewieszanej przez poręcz krzesła, wyciągnęła telefon, chwilę w nim szukała i pokazała matce zdjęcie. Elżbieta spojrzała uważnie. Spoglądał na nią młody mężczyzna o kręconych, długich do ramion włosach, bystrym spojrzeniu i czekoladowej skórze.

- Istotnie bardzo ciemny... Tata powiedziałaby...

- Nie kończ, wiem, co tata powiedziałaby - przerwała jej Majka.

-A co zrobiłabyś, gdyby tata żył? Nie powiedziałabyś nam o nim? - zapytała Elżbieta, ciągle patrząc na zdjęcie.

- Nie wiem, myślałam o tym wiele razy, ale naprawdę nie wiem.

- Dziwny trochę, bo faktycznie skórę ma niemal czarną, ale włosy takie... Wydają się miękkie, kiedy tak w lokach opadają mu na ramiona. I te miodowe oczy - zauważyła matka.

- Oprócz skóry to w zasadzie podobny jest do Rosy, ma jej rysy. Zresztą postaram się, abyś ich poznała. Rosa i Paul nie mogą się doczekać, Rafał zresztą też odlicza czas do końca wymiany. - Z ust Majki niczym pociski wylatywały słowa.

- Wiedzieli, jakie poglądy miał tata? - Elżbieta oddała telefon córce i sięgnęła po filiżankę z kawą.

- Tak. Powiedziałam im, bo chcieli was poznać, a ja zwlekałam z tym. W końcu Rosa wzięła mnie na spacer i przyparła do muru...

- Nie obraziła się?

- Ano nie, przyzwyczajona była do takich poglądów. Nawet nie wiesz, jak wielu Polaków jest rasistami. Niby tolerują inne rasy, byle były z dala od nich. O ile jej nikt się nie czepiał, bo jest Włoszką, to z Paulem było gorzej. Jednak odkąd stał się jednym z najlepszych adwokatów w Krakowie, bo ani razu nie przegrał sprawy, poważanie dla niego jest ogromne. Stać go na to, aby nie przejmować się poglądami głupców... - palnęła dziewczyna bez zastanowienia, po chwili jednak zreflektowała się. - Przepraszam, nie to miałam na myśli, nie chodzi mi o tatę...

- Dobrze, już dobrze. Daj spokój. - Elżbieta uspokajającym gestem poklepała dziewczynę po dłoni. - Może

jak się urządzę w Ruczaju i wróci Rafał, to przyjedziecie do mnie?

- Super! Czytasz w moich myślach, mamom!- wykrzyknęła z entuzjazmem Majka.

* * *

Z zakopianki Elżbieta zjechała w boczną drogę, którą wskazał jej GPS. Rano zadzwonił do niej Kotek, oświadczając, że wszystko gotowe i może śmiało przyjeżdżać, a w poniedziałek zaczyna pracę. Umowę przesłano jej e-mailem już wcześniej, podpisała ją i odesłała. Klamka zapadła, musiała jechać. W Łodzi przecież nic ją nie trzymało. Zresztą, odkąd dowiedziała się, że Mania maczała w tym palce, nie było sensu opierać się, przegrałaby z kretelem.

Szosa prowadząca do Ruczaju była w zaskakująco dobrym stanie. Elżbieta, mimo że pochodziła z Krakowa, o gminie, gdzie teraz miała pracować, co prawda słyszała, ale nigdy tam nie była, bo i po co? W domu dziecka nie urządzano im wycieczek, a potem, kiedy była dorosła, jeździła głównie nad morze.

Wokół niej po obu stronach drogi rozciągał się las sosnowy, nie był gęsty, więc kwietniowe słońce oświetlało poszycie, ukazując całą jego urodę: połacie borówek, paproci, wysokich traw. Elżbieta wyłączyła radio i otworzyła okno. Chciała poczuć rześkie powietrze, usłyszeć śpiew leśnych ptaków. Ciągłe w uszach kołatały jej się dźwięki łódzkich ulic: warkot aut, dzwonki tramwajów, klaksony autobusów.

Miała nadzieję, że decyzja, którą podjęła, była słuszna. Tam, gdzie do tej pory mieszkała, wszystko kojarzyło się jej z Markiem. Idąc ulicą, przypominała sobie chwile, które w danym miejscu spędzili razem, bolało, tak bardzo to bolało.

Kiedy powiedziała teściowej, jaką podjęła decyzję, rozpętało się piekło. Elka nawet nie pamiętała, jakie zarzuty jej wykrzyczano prosto w twarz. Apogeum przyszło wówczas,

gdy teściowa i szwagierka dowiedziały się o sprzedaży mieszkania. Ponieważ mieszkanie zostało kupione za wspólne pieniądze Elki i Marka, zażądały części: matka po synu, siostra po bracie. Wysocka nie wiedziała, czy się śmiać, czy płakać. Nie wierzyła własnym uszom. Na szczęście była z nią Mania, która szybko zrobiła porządek z obiema harpiami i odesłała je do domu z kwitkiem. Wyrzekły się jej, zerwały kontakty rodzinne, co Elka z radością przyjęła do wiadomości. Byle dalej, byle jak najdalej od nich!

Jechała wolno, nie musiała się śpieszyć, rozkoszowała się czystym powietrzem i śpiewem ptaków. W końcu po kilkunastu kilometrach ujrzała przy drodze tablicę informacyjną: „Ruczaj 15 km”. A więc była już blisko. Wkrótce ujrzała dolinę, wokół której na wzgórzach rozrzucone były niczym klocki domy z niewielkimi zagrodami. Na jednym ze wzgórz dostrzegła spore stado owiec. Wszystko otaczała panorama Tatr. Dotarła do miasteczka.

Wjeżdżając, bacznie się rozglądała, zaskoczona jego stanem technicznym, nad wyraz dobrym. Spodziewała się raczej kamieniczek, od których tynk odpadał płatami, brudnych uliczek, brukowanych kocimi łbami jezdni, a tu? Czyste ściany budynków, na których odnowiono zdobienia w stylu podhalańskim, chodniki wyłożone kostką, ławeczki, duże witryny sklepów. Z niedowierzaniem kręciła głową. Na ścianie jednego z budynków widnia-

ła tabliczka ze strzałką pokazującą kierunek do Urzędu Gminy w Ruczaju. Skierowała tam auto.

Wjechała na duży plac. Wokół niego były kamieniczki, każda pomalowana na inny kolor, ale tak sprytnie, że przypominały tęczę. „Ktoś miał naprawdę dobry pomysł” - przemknęło jej przez głowę. Na placu duża fontanna, w jej środku góralka, z wielkiego dzbana na jej ramieniu wypływała woda. Nie zabrakło też klombów z kwiatami, które o tej porze roku miały dopiero pączki, ale widać było, że niedługo ukażą całą swoją krasę. Elka podjechała do parkingu, bez trudu zaparkowała, bo miejsca było naprawdę bardzo dużo. Wysiadła. Pod sklepem spożywczym o wdzięcznej nazwie „Oscypek” siedziało trzech mężczyzn z butelkami piwa w ręku. „Miejscowa elita” - uśmiechnęła się do siebie. Wzięła z siedzenia torebkę, zamknęła auto i skierowała się do budynku, w którym znajdował się urząd. Panowie z ławeczki jak na komendę wstali i głośno powitali zaskoczoną Elżbietę.

- Dzień dobry, pani doktor! Wysocka zatrzymała się.

-Dzień dobry - odpowiedziała wesoło i podeszła do nich. - Panowie z Ruczaju? - zapytała retorycznie, bo wszystko wskazywało na to, że to mieszkańcy.

- Z dziada pradziada, pani doktor. Dobrze, że już pani jest, bo tu lekarza bardzo potrzeba, a Tomaszek nie daje rady leczyć wszystkich - odparł najstarszy, na oko sześćdziesięcioletni mężczyzna.

- Jak to? To tu jest lekarz? Pan Kotek powiedział mi, że nie ma żadnego i jestem wam potrzebna... - Elżbieta nie kryła zaskoczenia.

- Jest i nie jest - odparł rudy mężczyzna w góralskim kapeluszu, po czym pociągnął łyk z butelki. - Tomaszek nie nadaża z leczeniem wszystkich, bo a to krowa się cieli, a to kobita jakaś zległa, a on jeden, nie rozerwie się.

- Słucham? - Elżbieta była coraz bardziej zaskoczona. - Kim jest ten Tomaszek?

- Weteryniarz - odpowiedział najmłodszy, który usiadł na ławce, bo nie lubił nigdy stać bez potrzeby, a ponieważ panią doktor przywitał, nie uważał, by nadal miał tkwić w pozycji dla niego bardzo męczącej.

- Weteryniarz leczy u was ludzi? - Teraz Elżbieta usiadła na krańcu ławki.

- Pewnie, a kto miał, jak lekarza nie ma? Poprzednia pani doktor z dnia na dzień wyjechała, bo raptem w Anglii pracę dostała. Tomaszek od roku nas leczy. Najgorzej ze skierowaniami do specjalistów w Zakopanem lub Krakowie, bo nie chcą ich honorować. Co się zawsze wójt namęczył, aby nas tam leczyli, to głowa mała - stwierdził najstarszy. - Teraz już będzie po kłopotcie. Ale my tu gadu-gadu, a nawet nie przedstawiliśmy się. Ja jestem Walery Bukwa. - Mężczyzna wyciągnął rękę w stronę Elżbiety, po czym szarmancko i głośno smoknął ją w dłoń. Za jego przykładem poszli kompani.

- Krzysztof Grzybek - przedstawił się rudy.

- Andrzej Pażyk - dopełnił formalności trzeci.

- Miło mi, Elżbieta Wysocka.

Nim zdążyła cokolwiek dopowiedzieć, zobaczyła, że z budynku gminy szybkim krokiem podąża w kierunku ławki Kotek. Już z daleka rozpościerał ramiona w geście powitania.

- Witam panią doktor, wszyscy czekaliśmy na panią. Zapraszam do urzędu, wójt też już czeka. O, proszę tędy, ten żółty budynek. - Wskazał jej drogę, więc ruszyła, on zaś nieco zwolnił, po czym w dwóch susach znalazł

się przy ławeczce. - Panie Walery, co wyście jej nagadali?! - zapytał groźnie, marszcząc nos, co spowodowało, że jego twarz nabrała złowrogiego wyglądu.

- Nic a nic, Franuś - odpowiedział spokojnie Walery, po czym usiadł na ławce i zaczął delektować się piwem.

- Panie Walery, ja was znam! Czy wy nie wiecie, ile szukaliśmy lekarza? A trafił nam się i internista, i kardiolog jednocześnie! Dalej chcecie, aby was weterynarz leczył? - Kotek wrzał niczym woda na kawę.

- Panie Kotek, jak Walery gada, że nic, to nic. Przecież wiemy, że lekarz nam tu potrzebny. - Krzysztof poparł starszego mężczyznę.

- Uważaj, Grzybek, bo ci zapomogę odbiorę i za co będziesz chlał? - Pogroził mu Kotek palcem.

- Franek, ty nie strasz ludzi, dobrze, żeby nie było jak ostatnio - wtrącił Pażyk, prostując się, by zademonstrować posturę.

- Dobrze, wierzę wam, ale pamiętajcie! - Zmrużył oczy, obrócił się i potruchtał w stronę Wysockiej, która stała już na schodach do urzędu. - Zapraszam panią do środka, drugie piętro, a potem na lewo - prowadził kobietę.

Budynek w środku był równie schludny jak na zewnątrz. Ściany pomalowane były jasną pastelową farbą nieokreślonego koloru. Wisiało na nich dużo kwiatów. Na jednej zaś przez całą długość zawieszona była tablica z ogłoszeniami. Stanęli w końcu przed drzwiami, Kotek z gracją zapukał, nacisnął klamkę i przepuścił Elżbietę. W pokoju, tak jak spodziewała się Elżbieta, stało wielkie dębowe biurko z monitorem komputera na blacie, za nim zaś sporych rozmiarów fotel, z którego pośpiesznie wstał korpulentny mężczyzna z czarnymi, rzadkimi włosami. Założył marynarkę pieczołowicie ułożoną na oparciu fotela.

- Witam, pani doktor. - Ruszył w jej stronę, wyciągając rękę. Serdecznie uściskał jej dłoń. - Proszę siadać. - Wskazał miejsce na skórzanej kanapie stojącej pod ścianą, po czym sam się również usadowił.

Kotek przysiadł na krawędzi mebla i wpatrywał się nabożnie w szefa.

- Witam serdecznie jeszcze raz. Nazywam się Marian Kryształ i jestem tu wójtem od wielu lat.... - Przedstawił się, lekko pochrzając. - Bardzo się cieszę, że zgodziła się pani u nas pracować i mieszkać, nasza gmina duża nie jest, ale lekarza potrzebuje...

- Słyszałam, że jednak ktoś u was leczy ludzi - stwierdziła Elżbieta, patrząc na wójta.

- Pani doktor. - Wójt machnął lekceważąco ręką. -Katar wyleczy, ale poważniejszych chorób nie, nie chce się podejmować, chociaż naprawdę to dobry lekarz - odparł wójt i podrapał się po łysinie.

-A kim jest, to znaczy, jaką ma specjalność ten lekarz? - dociekała kobieta.

-To weterynarz... - wtrącił Kotek, ale zaraz tego pożałował, gdyż wójt zmroził go spojrzeniem.

-Weterynarz? - Elżbieta bardziej stwierdziła niż zapytała. - Rozmawiałam przed chwilą z pewnymi panami pod sklepem i właśnie mi to samo powiedzieli. Jestem zszokowana...

- Ależ pani doktor, nie ma się co dziwić, jak to mawiają na bezrybiu i rak ryba - odparł wójt z lekką niepewnością w głosie. - A może napije się pani kawy? - zaproponował.

-Chętnie, podróż mnie zmęczyła i czuję się nieco senna.

- Kotek, skocz do Wandzi i powiedz, żeby kawę nam zrobiła.
- Wójt zwrócił się do swego zastępcy.

Franciszek niechętnie wstał z kanapy i skierował się do drzwi. Nie lubił, jak wójt traktował go niczym służącego i chłopca na posyłki. W gminie pracował dziesięć lat, rok po roku awansował, aż zajął stanowisko zastępcy wójta. Jednak nie było tak, jak sobie wymarzył. Jego pomysły zawsze uważane były za mało rozsądne, po czym po kilku tygodniach Marian wprowadzał je w życie jako swoje, czym zaskarbiał sobie względy zwierzchników z powiatu.

Franek miał szczęście, gdyż tuż za drzwiami natknął się na Wandzię Łączkę. Kobieta miała czterdzieści pięć lat i od początku pracowała w gminie na stanowisku specjalisty od urbanistyki. Była nadal panną, a jak mawiali złośliwi: starą panną. Była szczupłą, wręcz chuda, o ostrych rysach, jedynie kiedy się uśmiechała jej twarz przybierała łagodny wyraz, lecz że życie nie dało jej męża, czego pragnęła najbardziej, to i rzadko się uśmiechała.

- Pani Wando, wójt trzy kawy prosi - poinformował ją Kotek.
- Proszę przynieść do jego gabinetu.

- Oczywiście - odparła posłusznie, przyzwyczaiła się, że w gminie miała dodatkowy etat sekretarki. - A ta doktor to już jest? - zapytała.

- Tak, już przyjechała, zaraz wszystko będzie załatwione - Odparł Kotek.

- Boże, jakie to szczęście dla Ruczaju, w końcu normalny lekarz. Ostatnio Tomaszek tak myślał o swoich pacjentach, że przepisał mi maść dla konia - uśmiechnęła się krzywo.

- Oby tylko nam nie uciekła jak cała reszta - westchnął Kotek, po czym wrócił do pokoju.

Zastał w nim Elżbietę, która podpisywała dokumenty, zaś w oczach wójta zauważył zadowolenie.

- Pani Wanda zaraz kawę przyniesie - poinformował wójta i usiadł na swoim miejscu. - Widzę, że wszystko podpisane...

-Tak, pani doktor właśnie złożyła swój podpis -stwierdził wójt i schował papiery do segregatora. - W takim razie witam panią, pani doktor, w Ruczaju. - Podał jej rękę, uśmiechając się. - Teraz omówimy kilka szczegółów i odpowiem na pani pytania, jeśli takowe są.

- Tak, chciałyby zapytać się o moje mieszkanie. - Elżbieta spojrzała na Kotka. - Pana zastępcę pokazał mi zdjęcia pałacyku, rozumiem, że nie był to fotomontaż?

- Ależ skąd! W tym roku zakończył się remont. Budynek jest zabytkiem i powiem szczerze, nie chcieliśmy go sprzedawać. Lepiej było go wynająć na mieszkanie, bo sama pani wie, w prywatnych rękach stałby się zaraz pensjonatem. Dostaliśmy sporo pieniędzy z Unii Europejskiej na remont i zagospodarowanie. Oczywiście, jeżeli pani coś w nim popsuje, będzie pani musiała na własny koszt naprawić. Za pałacykiem jest domek myśliwski, w nim mieszka ciotka Matyllda... - Przerwał na chwilę wyjaśnienia, gdyż do gabinetu weszła Wanda z tacą, na której stały filiżanki z kawą.

Usłużny Kotek doskoczył i pomógł rozstawić gorące naczynka na ławie. W zamian panna Wanda obdarzyła go powłóczystym spojrzeniem. Nie uszło to uwadze wójta, który tylko ironicznie się uśmiechnął. Kiedy drzwi zamknęły się za kobietą, Elżbieta skierowała wzrok na Mariana.

-A kim jest ta Matyllda? - Sięgnęła po filiżankę z kawą.

- Matylda to nasza miejscowa zielarka, guślarka, czarownica...
- Roześmiał się.
- Czarownica? - Elka nie kryła zdziwienia. - W tych czasach?
- Pani doktor, ciotka Matylda urodziła się tutaj, w Ruczaju, jej matka, babka, prababka zawsze zajmowały się ziołami, nikomu nic złego nie robiły, a często pomogły. Zaś Matylda dodatkowo nauczyła się kiedyś od Cyganów wróżenia z kart, no i udało jej się komuś przepowiedzieć przyszłość. Oczywiście, był to zbieg okoliczności, ale ludzie poczęli gadać, że jest czarownicą. Prosiłbym, aby pani pozwoliła jej nadal tam mieszkać. Naprawdę nieraz okaże się bardzo pomocna...
- Panie wójcie, nie zamierzam jej stamtąd eksmitować - oburzyła się Elżbieta. - Ale nie chcę też, aby ingerowała w moje życie, rozumie pan?
- Proszę się nie obawiać, to mądra kobieta i swoje miejsce zna, ale nie chciałbym, aby popadła pani z nią w jakiś konflikt... - Ściszył głos niemal do szeptu.
- Czemu pan szepcze? - równie cicho zapytała Elka, słodząc kawę podanym przez Kotka cukrem.
- Bo z nią się nie zadziera - odparł wójt, lękliwie rozglądając się wokół.
- Ale jej tu nie ma... i dlaczego nie wolno z nią zadzierać? - zapytała ponownie, mieszając kawę.
- Wójt podrapał się zakłopotany po głowie.
- No bo... no bo... - Nie mógł wykrztusić odpowiedzi.
- Bo naprawdę ona jest czarownicą - z satysfakcją stwierdził Kotek, bo rzadko miał okazję, aby upokorzyć zniechęconego szefa.
- Franek! - wrzasnął wójt i aż się uniósł z oburzenia, że podwładny śmiał się wtrącić i tym samym zdemaskował jego kłamstwo.

-No co? Prawdę mówię! - bronił się Kotek. - A co było z poprzednimi lekarzami, niby czemu pouciekali? Kto by im dał lepsze warunki? - zaperzał się coraz bardziej.

- Widzę, że robi się coraz ciekawiej - stwierdziła Elżbieta z ironią, na jej ustach pojawił się uśmiech. - Może panowie mi wyjaśnią, co jest nie tak z tą Matyldą, bo powiem szczerze, że ja w czary nie wierzę. - Usadowiła się wygodniej na kanapie i spojrzała znacząco na wójta, ten jednak uparcie milczał. - No, czekam - ponagliła. - Co z moimi poprzednikami się stało?

Wójt westchnął ciężko i na powrót usiadł na kanapie.

- Franek, ty opowiedz.

Mężczyźnie dwa razy nie trzeba było powtarzać. Rozparł się wygodnie, wziął filiżankę z kawą i, upijając po łyku, zaczął opowiadać:

- Otóż pani poprzedniczki, a było ich cztery, uciekły z pałacyku, bo zadarły z Matyldą, ta zaś wkurzyła się i rzuciła na nie urok.

- Urok?! - Elżbieta roześmiała się. - Nie chcecie mi chyba powiedzieć, że w obecnych czasach, w dwudziestym pierwszym wieku, mamy do czynienia z czarami i gusłami. Panowie chyba w to nie wierzą... - Spojrzała z ironią na obu mężczyzn.

- Jak pani tu pomieszka, to sama zmieni zdanie - odparł pewnym głosem Kotek. - Pani poprzedniczka, doktor Sosnowska, fakt, nie była zbyt miłą kobietą. Jako lekarz była dobrym fachowcem, ale ludzi traktowała

jak zło konieczne, pomyliła chyba zawody. Otóż zadarła z Matyldą, ponieważ oskarżyła ją o kradzież pierścionka, który znalazła pod drzewem w pobliżu. Wyzwała ją od złodziejek i to publicznie. Matylda się wściekła i rzuciła na nią urok. Doktorka raptem zaczęła mieć zwidy, w nocy z wrzaskiem uciekała z pałacyku i, krzycząc, biegała po Ruczaju. No, a potem zdecydowała się wyjechać, bo koszmary jej nie opuszczały...

- A jak to naprawdę było z tym pierścionkiem? Zgubiła go pewnie pod tym drzewem? - zapytała Elżbieta.

- Nie, otóż na tym drzewie mieszkały sroki. Sosnowska pierścionek zostawiła na parapecie okna, a ono było uchylone...

Elżbieta roześmiała się, ta historia rozbawiła ją bardzo.

- A inni lekarze? - zapytała, ciekawa dalszych historii.

- Podobnie, każdy z nich coś tam złego zrobił Matyldzie, a ta urok rzucała.

-No, ale kiedy wyjeżdżali, to zapewne ten urok z nimi jechał. - Wysocka nie potrafiła ukryć rozbawienia.

- Nie, szanowna pani, urok działał tylko na terenie Ruczaju. Ciotka Matylda nie jest aż taka zła - odparł Kotek.

- Niebawem, że panowie w takie gusła wierzą. Może jeszcze leczy dzieci, wkładając je do pieca na trzy zdrowaśki?

- Pani ironizuje, a Matylda wielu ludziom pomogła ziołami. Razem z Tomaszem leczyli, zanim pani przyjechała - odparł poważnie wójt.

- No, już dobrze, przepraszam. A co to za weterynarz, ten Tomasz?

- Też mieszka w pałacyku... - wtrącił Kotek.

- Jak to? - Elżbieta nie kryła ani zdziwienia, ani oburzenia. - O tym nie było mowy! Rozumiem tę Matyldę, ale jeszcze ten facet?

-Pani doktor, spokojnie. Pałac jest duży, on zajmuje jedną połowę, a pani będzie mieszkać w drugiej.. . - starał się ją uspokoić wójt.

-I co, wspólna łazienka, kuchnia? - Elżbieta była już naprawdę zła, nie wiedziała, jakie jeszcze niespodzianki na nią czekają.

- Nie. On w swojej połowie ma to wszystko, a pani w swojej, to takie dwa wielkie mieszkania. Zresztą nawet zbyt często widywać pani go nie będzie. On rano rusza do swoich pacjentów, a wraca prawie nocą. Mamy w Ruczaju wielu hodowców owiec, koni, krów, więc ma pełne ręce roboty - zapewnił Kotek.

- Zobaczmy - mruknęła Wysoka. - Jakież jeszcze niespodzianki?

- Ależ skąd - zapewnił Kryszał.

- Mam nadzieję, że pana słowa są tak samo czyste i prawdziwe jak nazwisko - stwierdziła z przekąsem.

- Skoro mamy już pewne sprawy omówione, to może pan Kotek pokaże pani przychodnię, w poniedziałek rozpocznie pani pracę. Mamy pielęgniarkę, będzie rejestrować pacjentów i pobierać materiał do badań - z dumą powiedział wójt, wstając z kanapy, w ślad za nim poszli zastępca i lekarka.

- Daleko to stąd? - zapytała Elżbieta, zakładając torbę na ramię.

- Nie, blisko, ulicą Bacy w dół. Zresztą pan Franek pokaże, pojedziecie tam samochodem. Rozejrzy się pani na miejscu, zobaczy, co i jak. - Wójt podał jej rękę, tym samym kończąc wizytę w urzędzie.

Kiedy za obojgiem zamknęły się drzwi, z ulgą usiadł w fotelu. „Oby tylko została, w przeciwnym razie czarno widzę zdrowie moich przyszłych wyborców” - westchnął i zabrał się do przeglądania lokalnej gazetki „Ruczajowskie Wiadomości”, wydawanej przez gminę.

* * *

- Piękna przychodnia - przyznała Wysocka.

-Też ją w tym roku remontowaliśmy. - Z dumą oświadczył Kotek. - Kupiliśmy nowy sprzęt, żeby nasi mieszkańcy nie musieli do Zakopanego czy Krakowa jeździć na badania. Pani Hania, pielęgniarka, ma uprawnienia i wykształcenie technika radiologa, mamy więc pracownię RTG, USG i laboratorium.

-Wow, coraz lepiej. Czyli praktycznie jesteśmy samodzielni. - Wysocka pokiwała głową z uznaniem.

- Tak, jesteśmy jedyną taką gminą w naszym powiecie.

- No, dobrze. To teraz chciałabym już pojechać do siebie. Ma pan klucze od pałacyku? - zapytała, kierując się do wyjścia.

- Za pozwoleniem, chciałbym prosić, żeby mnie pani podwiozła do urzędu. Po drodze pokażę drogę do pałacu, a klucze ma ciotka Matylda. Czeka już na panią z obiadem - odparł Franek.

- Dobrze, nie widzę problemu - stwierdziła zadowolona.¹

Kotek stał przed urzędem i patrzył za odjeżdżającą lekarką. Była nieco starsza od niego, ale to był szczegół. Franek uważał się za superfaceta, męskiego, dobrze zorganizowanego, inteligentnego, w końcu gdyby nie on, to sam wójt nie poradziłby sobie z gminą! A do tego i Wanda na niego spoglądała zalotnie. O tak, widać ma w sobie to coś, za czym kobiety szaleją! Tak dowartościowany wkroczył do urzędu.

Elżbieta jechała zgodnie ze wskazówkami Kotka ulicą Janosika, potem wyjechała na szosę prowadzącą przez las. Rozglądała się zaciekawiona. Tu miał być teraz jej dom, praca, tu miała sobie na nowo ułożyć życie, bez Marka, bez rodziny.

Zresztą rodziny, oprócz Majki, nie miała, teściowej i szwagierki nie mogła do niej zaliczyć.

Raptem na drogę wyszła kobieta ubrana w długą spódnicę, kwiecistą bluzkę i serdak, przez plecy przewieszoną miała płachtę materiału, wystawały z niej jakieś gałęzie. Stała na samym środku i patrzyła na nadjeżdżającą Elkę. „Cholera, co jest? Samobójczyni czy jak?” - pomyślała Wysocka, znacznie zwalniając, aż w końcu zmuszona, zatrzymała się przed kobietą. Wskoczyła z auta i podbiegła do niej.

-Czy coś się pani stało? Tak nie wolno stawać na środku drogi. Ktoś może nie zauważyć i potrąci panią - gderała, nakręcona niczym katarynka.

Starsza kobieta spojrzała na nią uważnie. Jej niebieskie oczy niemal hipnotyzowały Elkę, aż poczuła się nieswojo.

- Mogę jakoś pani pomóc? - zapytała niepewnie.

- Mnie nie musisz, to ja tobie pomogę, moje dziecko. W końcu przyjechałaś, długo to trwało, oj długo - odparła kobieta.

- Nie rozumiem...

- Nie trzeba na razie. Jestem ciotka Matylda, Kotek albo Kryształ mówili ci już o mnie? - zapytała.

- Tak, opowiadali mi o pani - przytaknęła Elżbieta. - Cieszę się, że mogę panią poznać. To może razem pojedziemy do pałacyku? Chrust wrzucę na tylne siedzenie, dużo bagażu nie mam, to się zmieści - zaproponowała Elka, biorąc od kobiety płachtę i wrzucając ją do samochodu.

W samochodzie zapanowała krępująca cisza. Elka czuła się dziwnie przy Matyldzie, ukradkiem spoglądała na nią z zaciekawieniem. W końcu Matylda pierwsza zagadnęła.

- Teraz skręć w prawo, w tę leśną drogę - poinstruowała. - Maniek i Franek opowiadali ci o mnie? - zapytała z uśmiechem.

- Tak, ale nic takiego, ogólnie tylko, że pani mieszka w domku myśliwskim - odpowiedziała ostrożnie Elka.

- Akurat - roześmiała się Matylda. - Na pewno mówili, że mnie za czarownicę mają, że uroki rzucam...

- Istotnie. - Elka zawtórowała jej, obie śmiały się, jakby dobry żart usłyszały, raptem starsza kobieta zamilkła, odwróciła głowę w stronę Wysockiej i powiedziała:

- Bo istotnie jestem czarownicą, a i uroki rzucać potrafię, jak mnie ktoś bardzo wkurzy.

Elka niemal zamarła za kierownicą. Takich słów się nie spodziewała. Na dodatek w głosie starszej pani słyszała pewność siebie. Tak mówią albo chorzy psychicznie, albo ludzie, którzy są przekonani o swojej racji. Z trudem przełknęła ślinę, nie wiedziała ani co odpowiedzieć, ani jak zareagować.

- Ale ty się nie bój, na ciebie czekałam już od dawna. - Matylda zdawała się czytać w myślach Elki.

- Pani na mnie czekała od dawna? - Elka nie rozumiała.

-Nie mów do mnie „pani”. Tutaj wołają na mnie Matylda albo ciotka Matylda, ty też tak do mnie mów - poprawiła ją kobieta.

- Z przyjemnością, o ile zechcesz do mnie mówić po prostu Ela - odparowała tym samym.

-No to zapoznanie się mamy za sobą. Teraz skręć w lewo, za tym dębem. Zaraz zobaczysz most, a za nim jest już twój nowy dom - instruowała ciotka.

-Nie mogę się doczekać, z jednej strony jestem pełna obaw, a z drugiej ogromnie mnie podnieca cała zmiana, jaka zaszła w moim życiu. Chodzi mi oczywiście o przyjazd tutaj, bo... - Zamilkła raptem, jakby bojąc się kolejnych słów, które padną z jej ust. Ciągle miała wyrzuty sumienia.

- Nie obwiniaj się, moja droga. To nie twoja wina, że twój mąż zginął, że zostawiłaś jego grób w innym mieście i rzadko tam będziesz. On by tego na pewno nie chciał. Widzisz, kiedy idziemy do Boga, nie jesteśmy już ludźmi, nie myślimy takimi kategoriami jak kiedyś, ale jednak martwimy się o tych, których zostawiliśmy. Nie chcemy, aby cierpieli, pragniemy, żeby byli szczęśliwi i szli dalej...

Elżbieta poczuła, jak nieprzyjemny dreszcz przeszedł jej po plecach, nie dlatego, że Matylda wiedziała o Marku, bo skoro Kotek wiedział wszystko od Mani, to takie informacje szybko się rozchodzą. Bardziej ją zaskoczyła świadomość, że ta starsza kobieta wiedziała, co skrywa

w głębi swej duszy. Nie wiedziała, co ma jej odpowiedzieć, kątem oka widziała tajemniczy uśmiech na ustach Matyldy, a ciepło bijące z jej twarzy uspokoiło ją. W końcu zobaczyła solidny kamienny most.

- Chyba jesteśmy już blisko - powiedziała bardziej do siebie niż do Matyldy.

- Zaraz za tymi sosnami jest pałacyk. Twój nowy dom - odparła ciotka.

Przejechały wolno przez most, po obu stronach rósł sosnowy las. Droga była nieco rozmiękła, gdyż wiosenne roztopy nadeszły tutaj dość szybko. Strumienie były pełne wody, w niższych partiach gór zalewały pola. Ruczaj na szczęście położony był dość wysoko i woda mu nie zagrażała, jednak trzeba było być ostrożnym, pokonując w bród potoki.

W końcu za lasem ukazał się pałac. Elka z wrażenia zatrzymała samochód i łapczywie, jakby chciała napatrzyć się na zapas, chłonęła widok. Pałacyk był dużą budowlą. Jego bryła stała wśród sosen i buków, ściany pomalowane były na kremowy kolor, z przodu widniał duży krużganek z kamienną rzeźbioną balustradą, z której ku górze pięło się sześć kolumn. Na nich spoczywała część dachu. Pałacyk był jednopiętrowy, z przodu było osiem okien zwieńczonych zielonymi okiennicami. Nad nimi widniały płaskorzeźby przedstawiające herby szlacheckie. Pod ścianami rosły malwy. Trawnik przy ścianie frontowej zaczął się już zielenić, spośród źdźbeł trawy wychylały się jeszcze skulone główki stokrotek. Z krużganka prowadziły drewniane schody, które łączyły się z kamienistą ścieżką. Elka spojrzała w drugą stronę, gdzie rosły karłowate sosny. Poznała to miejsce, niedawno jeszcze widziała je w swoim śnie. Tam też stał Marek. Wzięła głęboki oddech, aby powstrzymać napływające do oczu łzy.

-Nic nie dzieje się bez przyczyny. Wszystko ktoś kiedyś dla nas zaplanował - odezwała się Matylda, która także wysiadła z samochodu i stanęła za Wysocką, bacznie ją obserwując.

- Nie rozumiem. - Elżbieta spojrzała przez ramię na kobietę.

-Zrozumiesz z czasem. Niezbadane są wyroki boskie. - Matylda uśmiechnęła się nieznacznie. - A propos Boga, bądź pewna, że jeszcze dziś albo najdalej jutro odwiedzi cię nasz proboszcz Wojciech Konik.

-A po co? - zapytała Elżbieta, odwracając się do kobiety.

-Moje dziecko, tutaj jest mała społeczność, nawet nie miasteczko, a wieś. Tu rządzi wójt, proboszcz i... lekarz - odparła ciotka.

- Lekarz? - Wysocka uniosła w zdziwieniu brew.

- Tak. A co się tak dziwisz? Będziesz miała tu, oczywiście po jakimś czasie, spory wpływ na wszystko.

- Dziwne. Nie zamierzam się w nic angażować, chcę spokoju. Dlatego uciekłam z Łodzi. Niech sobie tu inni rządzą, ja mam leczyć, to moje zadanie.

-Czas pokaże. No, jedźmy pod ganek, bo obiad całkiem ci wystygnie. Ja potem do ciebie przyjdę, ale najpierw muszę chrust do chałupy zanieść i kury nakarmić. Tu masz klucze. - Sięgnęła do kieszeni i wyjęła cały ich pęk. - Ten duży jest od drzwi wejściowych, reszta ma kartki poprzyczepiane, więc nie pogubisz się. A gdyby coś było nie tak, to mieszkam zaraz za twoim domem, w takiej niewielkiej leśniczówce - objaśniała.

- Dziękuję, podwiozę cię i pomogę z tym chrustem
- zaproponowała Elka.
- Nie trzeba, dam sobie radę.

Drzwi szybko ustąpiły, gdy nacisnęła klamkę. Weszła do długiego korytarza, ściany wyłożone były surowym drewnem, co ją zdziwiło. Nigdy takiej aranżacji nie widziała. Na szczęście podłoga była z brązowej terakoty. Po obu stronach korytarza było kilkoro drzwi. Nacisnęła klamkę pierwszych, zamknięte. Poszukała wśród pęku kluczy pasujący. Istotnie, były dobrze opisane, „Do drzwi z lwem”. Uniosła głowę i spojrzała na wyrzeźbione zwierzę, stojące na tylnych łapach. Szybko uporowała się z zamkiem. Weszła do pomieszczenia. Szybko zorientowała się, że to salon. Ciekawie rozejrzała się po wnętrzu.

Wszystko było urządzone w staroświeckim stylu, jak mawiała Mania, rodem z osiemnastego wieku. Podobało się jej. Okna były na oścież otwarte, więc w pokoju panował chłód. Elka nie lubiła zimna, więc szybko pozamykała wszystkie. Miała wrażenie, że ten salon jest większy niż całe jej mieszkanie w Łodzi. Jedna ściana miała aż trzy okna. Pod ścianą na lewo od drzwi wejściowych był wielki kominek, wyłożony czerwoną cegłą, przy nim stał koszyk z łopatką i pogrzebaczem, druga ściana wyłożona była materiałem z malowidłem, które przedstawiało polowanie. Elżbieta podeszła do niego i delikatnie dotknęła, z bliska skojarzyło jej się to z arrasami, jakie widziała w Zamku Królewskim w Warszawie. Czwarta ściana pomalowana była na bordowy kolor, stała przy niej duża sofa, dwa fotele i stolik kawowy. Na środku salonu był duży stół i osiem krzeseł wyściełanych takim samym materiałem jak sofa i fotele. Wszystko było w dobrym stylu i mimo że staroświeckie, to jej to bardzo odpowiadało.

Miała przez chwilę wrażenie, że znalazła się w innej epoce. Zakręciła się wokół własnej osi, przymknęła oczy. Czuła, że ten dom natchniony był kiedyś miłością, dobrymi myślami, które ukoją jej ból i tęsknotę.

Z salonu wyszła drugimi drzwiami do niewielkiego korytarza, w nim były kolejne wejścia do innych pomieszczeń. Weszła do pierwszego, ściany pokryte były materiałową tapetą w róże. Pod jedną ze ścian stało duże, drewniane łóżko, na którym piętrzyła się pościel. Z lewej łóżka strony stała mała szafka nocna ze staroświeckim budzikiem. Z prawej zaś była narożna toaletka, a obok niej dwudrzwiowa dębowa szafa. Wokół pachniało maciejką. Elka zastanawiała się, skąd ten zapach, na te kwiaty było przecież stanowczo za wcześnie. Być może Matylda wypłukała pościel w jakimś płynie o tej woni. Tutaj też zamknęła okno, objęła się rękoma za ramiona.

Po chwili wyszła ponownie na korytarz i weszła w kolejne drzwi. Pokój był niewielki, miał tylko regał z książkami, okrągły stolik i fotel, wyglądał na małą biblioteczkę.

Kolejne drzwi prowadziły do łazienki, tu dla odmiany wszystko było wyłożone kafelkami w odcieniach błękitu, jedynie wymyślna wanna była biała, podobnie jak toaleta oraz umywalka, nad którą wisiało kryształowe lustro oprawione w mosiądz, wymyślnie powyginany.

Ostatnie drzwi prowadziły do kuchni. Tu stanęła w progu. Gdzieś już widziała podobnie urządzone pomieszczenie, ale gdzie? Kredens, kuchnia z fajerkami,

duży mosiężny zlewozmywak, wielki stół z krzesłami i ławą. Tak! Przecież ta kuchnia podobna była do tej, którą zapamiętała z dzieciństwa, kiedy była na wakacjach u swojej prababci. Teraz zawładnął nią sentyment. Podeszła do kuchenki, od której biło ciepło. Stał na niej rondel, z którego wydobywał się smakowity zapach. Poczowała, że jest głodna, w końcu o świcie jadła śniadanie i od tamtej pory nie miała nic w ustach oprócz kawy, którą piła u wójta. Podniosła pokrywkę, jej oczom ukazały się gołąbki polane sosem pomidorowym. Ulubiona potrawa Elżbiety. Musiała przyznać, że Matylda chyba czytała w jej myślach. Z wiszącej szafki wyjęła talerz, z szuflady sztucce. Była gotowa do uczyty.

Usiadła na ławie przy otwartym oknie. W kuchni nie było czuć chłodu jak w innych pokojach, nie dziwiła się temu, gdyż od kuchenki wciąż bił żar. Jedząc, starała się nie myśleć o niczym. Chciała, aby jej mózg w końcu się uspokoił. W pewnej chwili obejrzała się przez ramię na okno, przez które widoczne były karłowate sosny. Odniosła wrażenie, że ktoś ją obserwuje, czuła jego wzrok na sobie, chociaż nikogo w zasięgu wzroku nie było. Wzruszyła ramionami i powróciła do jedzenia. Nowe miejsce, dlatego pewnie i odczucia dziwne. Musi minąć trochę czasu, zanim się przyzwyczai. Raptem poczuła na karku coś mokrego, po sekundzie usłyszała chrapnięcie. Wrzasnęła i raptownie obróciła się z powrotem do okna.

- Matko jedyna!

Jej oczom ukazał się wielki koński łeb, który obwąchiwał jej kark i dotykał wilgotnymi chrapami. Odskoczyła od stołu i przyłgnęła do framugi drzwi. Od dziecka bała się koni. Pamiętała z dzieciństwa, jak koń jej dziadka kopnął sąsiada, który znienacka do niego podszedł. Mężczyzna ledwo uszedł z życiem i do końca swoich dni cierpiał na bóle głowy. Od tamtej pory nigdy nie podeszła do tego zwierzęcia. Bała się go panicznie.

Teraz stała i kurczowo wbijała paznokcie w ościeżnicę drzwi. Modliła się w duchu, aby ktoś zabrał tego potwora z jej okna. Czy zamknęła drzwi wejściowe? A jak to bydlę przez nie wejdzie? Widziała w serialu „Ran-czo” konia wchodzącego do salonu jak do siebie. Wzięła głęboki oddech, puściła framugę i pędem, niczym Pendo-lino, pognała do wyjścia. Odetchnęła z ulgą, drzwi były zamknięte. Nie miała zamiaru wracać do kuchni, wołała być głodna. Dobrze że od razu zabrała ze sobą z auta bagaż, to chociaż się rozpakuje, a w tym czasie może ten potwór zniknie?

Zaciągnęła z trudem wielką walizkę do sypialni. Powoli i z rozmysłem zaczęła wyciągać ubrania i układać je w szafie. Szybko okazało się, że szafa pomieściłaby trzy razy tyle odzieży, ile ona teraz miała. W Łodzi nie mogła się zmieścić ze swoimi rzeczami, a tu?

W pokoju stały już kartony, które wysłała wcześniej pocztą. Musiała dobrze przemyśleć, jak i gdzie rozmieścić rzeczy, tutaj było tyle miejsca. Z westchnieniem usiadła na fotelu przy toalecie. Spojrzała na ścianę, na której wisiał obraz, wcześniej nie zwróciła na niego uwagi. Wstała, aby lepiej się mu przyjrzeć. Przedstawiał park, na zielonej trawie rozłożony był koc, na którym siedziała, a w zasadzie na wpół leżała młoda kobieta, nad nią pochylał się jasnowłosy mężczyzna. Wokół nich rosły karłowate sosny. Elka przybliżyła twarz. Zdawało jej się, że ten krajobraz skądś zna. Ależ tak! Przecież to miejsce jest przed pałacykiem. Podeszła do okna, otworzyła je i spojrzała przed siebie. Nie było wątpliwości.

Nagle kątem oka zobaczyła czterokopytnego stwora, który, ujrawszy ją, zaczął iść w jej stronę. Odskoczyła od okna, ale nie zdążyła go zamknąć. Koński łeb ukazał się między framugami. Zwierzę radośnie zarżało i zabrało się do kwiatów stojących w doniczkach na parapecie.

- Poszedł stąd! A kysz! - wołała wystraszona kobieta. - Do budy!

Była niemal przyklejona do przeciwległej ściany.

- Malwina, nastąp się! - W oknie ukazała się głowa Matyldy. - Nie bój się. To bardzo łagodna klacz - pocieszyła wystraszoną Elżbietę.

- Tak wielkie bydlę nie może być łagodne - twardo zaprzeczyła Wysocka, dalej tkwiąc przy ścianie. - Niech ciotka ją stąd zabierze. Ja się boję koni...

- Dobrze już, dobrze. Idź, zaparz nam kawy, a ja Malwinę zaprowadzę na łąkę. Musiała nieźle się natrudzić, aby pokonać płot. Na pewno widziała, że wysiadasz z auta i chciała cię poznać - gderała Matylda, biorąc konia za uzdę i prowadząc na łąkę, która rozciągała się za pałacem.

- Niekoniecznie mam ochotę ją poznawać - mruknęła Elka pod nosem i poszła do kuchni, aby zgodnie z życzeniem ciotki zaparzyć kawę.

Nie miała problemu, aby zlokalizować puszkę z kawą, filiżanki i cukier. Nastawiła czajnik elektryczny i usiadła przy stole. Po kilku minutach, akurat, kiedy Wysocka nalewała wrzącą wodę do filiżanek, do kuchni weszła Matylda i usiadła przy stole. Elżbieta podsunęła jej filiżankę i cukiernicę.

- Tomek uratował tego konia przed rzeźnią. Jeden taki baca postanowił oddać ją na ubój, bo mu się ochwaciła. Ale Tomek wykupił ją, na całe szczęście - westchnęła głęboko.

- No cóż... Jego wybór, ale to nie znaczy, że ja pozwolę, aby to monstrum do domu mi włąziło - zastrzegła Elżbieta.

-Musisz pokonać demony strachu, które w tym przypadku są bezpodstawne - stwierdziła pewnym siebie głosem ciotka.

- Łatwo powiedzieć - mruknęła Elka. - Widziałam u dziadka, jak koń sąsiada załatwił jednym kopnięciem...

-Nie zrobił tego bez powodu. Zrozum, że to tylko zwierzę, które czując zagrożenie, broni się - tłumaczyła uparcie.

-Nie przeczę, ale strach we mnie pozostał. - Elka wzięła do ręki filiżankę i upiła łyk kawy.

- Tu się go pozbędziesz - zapewniła Matylda.

- Zobaczymy. Opowiesz mi coś o tym... Tomku? -zapytała Elka, odstawiając filiżankę.

- To bardzo dobry człowiek, bardziej kocha zwierzęta niż ludzi. I ma rację. Tomek...

- A jak on się nazywa? - przerwała jej Elka.

- Prozaicznie: Malinowski. Wiele lat temu też przeżył tragedię. Jego żona i dwoje dzieci zginęli w wypadku samochodowym. Jechali na wakacje, kiedy nagle wjechał na nich tir. Tomka wyrzuciło z samochodu, a oni... - Matyldzie zaszkliły się oczy, obtarła je rękawem serdaka. - Zaczął pić, staczał się. Pewnego dnia jego przyjaciel przywiózł go do nas niemal siłą, aby odpoczął i chociaż trochę zapomniał o tym, co go spotkało. Kiedy nasi dowiedzieli się, że jest weterynarzem, to zaczęli do niego przychodzić po porady. I tak się zaczęło. Tomek poczuł się potrzebny, wójt zaproponował mu, aby tymczasowo, póki nie wyleczy zwierząt w gminie, zamieszkał w tym pałacyku. On się zgodził. A sama wiesz, że cho-

roby się nie kończą... I tak jest tu już „tymczasowo” od jedenastu lat...

- Straszne - przyznała Elka.

- Co straszne? - Matylda nie do końca zrozumiała kobietę.

- Chodzi mi o to, co on przeżył. W jednym momencie stracił trzy ukochane osoby - wyjaśniła. - Ja utraciłam męża i nie mogę się pozbierać. W Łodzi wszystko mi go przypominało, a do tego... to... przeze mnie zginął. Gdybym wtedy nie wysłała go do sklepu! - Łzy mimo woli potoczyły się po policzkach, otarła je dłonią. - Pewnej nocy przyśnił mi się, uśmiechał się. Potem przyjechał ten... Franciszek, zaproponował mi tutaj pracę i pokazał zdjęcia. Zdawało mi się, że wśród drzew widzę Marka. Wiem, że to tylko złudzenie, ale znowu go widziałam. Pomyślałam, że on tutaj jest... - Nie mogła dalej mówić, targnęła nią szloch.

Matylda położyła swoją dłoń na jej ręce i delikatnie poklepała.

- Dziecko, nie zadrećzaj się już. Każdy z nas ma wyznaczoną drogę przez Pana. Twój mąż doszedł do jej końca i został zabrany, ale ty musisz tu jeszcze pozostać, masz jeszcze coś do wykonania...

Elka sięgnęła do kieszeni spodni, skąd wyciągnęła zmiętą paczkę chusteczek higienicznych. Głośno wydmuchwała nos.

- Ma pewnie ciotka rację. Ale to takie trudne. - Wzięła głęboki oddech. - Wiem, że muszę żyć dalej, wszyscy mi to mówią, ale to nie jest takie łatwe.

- A kto powiedział, dziecko, że życie jest łatwe? -zapytała retorycznie Matylda. - Każdy z nas dźwiga jakiś krzyż, mniejszy czy większy, ale nosi go w sercu...

Jej wywód przerwał mały kos, który usiadł na skrzynce z kwiatami. Przechylił główkę i ciekawie zerkał na Elkę, po chwili rozpoczął swoje trele. Obie kobiety spojrzały w jego kierunku.

- Jakie to piękne - szepnęła Wysocka, wpatrując się w ptaka z zachwytem.

Matylda wyciągnęła rękę w stronę okna.

- Chodź, Maciek, poznasz nową lokatorkę...

Ptak szybko podleciał i usiadł na ramieniu Matyldy, dalej ciekawie przyglądając się Wysockiej.

- Matko jedyna, niewiarygodne - szepnęła ponownie Elka. - On jest oswojony? - Nie kryła zdziwienia.

-Tak. W zeszłym roku Tomek znalazł go w lesie, był zaplątany w sieć porzuconą nad stawem i miał złamane skrzydło. Wyleczył go i wypuścił, ale Maciek uparcie powracał, potem założył gniazdo, o tam, w konarach sosen. Zimą zostaje z nami, a jak jest szczególnie zimno, to leci wraz ze swoją żoną do stajni, tam ma zimowe gniazdo. Zaś wiosną mieszka wśród sosen i wychowuje nowe pokolenie. Przepada za Tomkiem, jeżeli polubi kogoś, to taka osoba może liczyć na jego względy, czyli pobudkę o piątej rano - uśmiechnęła się Matylda. - Macieju, to jest Elżbieta, na pewno ją polubisz, zaśpiewaj jej coś...

Ptak jak na komendę podniósł czarny łepiek do góry i z jego czarnego gardziółka popłynęła piękna melodia. Elka oparła łokcie na blacie stołu i wpatrywała się w ptaka urzeczona.

- To niesamowite... - stwierdziła rozczulona. - On jest taki piękny, tak wspaniale śpiewa, wydaje się, że rozumie, co do niego mówisz.

- Bo tak jest - szepnęła ciotka.

Raptem od strony sosen doszła ich podobna pieśń, ale jakby delikatniejsza, bardziej subtelna. Kos poderwał się nagle i zgrabnie wyleciał oknem w kierunku drzew.

- To jego żona wezwwała go do gniazda. Nie pozwala mu za długo na próżnowanie, zaczynają gniazdowanie, więc muszą się uwijać - wyjaśniła Matylda. - Widzę, że gołąbki ci nie smakowały? - Wskazała ruchem głowy na talerz, nadal stojący na stole.

- Ależ skąd, wprost przeciwnie, ale jak ta cała Malwina tu łeb wsadziła, to tak się wystraszyłam, że pognałam do swojego pokoju... - pośpiesznie wyjaśniła kobieta.

- To trzeba to odgrzać. Zobacz, tu w tej kuchni są takie małe drzwiczki, zawsze tu jest odpowiednia temperatura do ogrzania, o ile oczywiście jest napalone. Podgrzejemy i zjesz, a wieczorem, gdy wróci Tomek, to też sobie weźmie. Ten chłopak w ogóle nie dba o siebie. .. - Westchnęła ciężko.

- Widzę, że bardzo go lubisz - zauważyła Elka. -To prawda, bo to dobry chłopak. Fakt, stroni od ludzi, a w szczególności kobiet, poza mną, oczywiście. -Matylda uśmiechnęła się z dumą.

- Nie lubi kobiet?

- Woli zwierzęta. Widzisz, moja droga, każda lekarka, która się tu wprowadzała, to była albo panna, albo rozwódka i zaginała na niego parol. A on, trzeba przyznać, przystojny jest.

- Kobiety to nie potrafią się szanować - stwierdziła z grymasem Elka. - Trzeba mieć swój honor, jak można się facetowi narzucać? - Nie rozumiała.

- Widzisz, moja droga, ludzie są różni, a on, jakby nie patrząc, jest atrakcyjną partią. Na mnie już czas, bądź pewna, że jeszcze dziś przydrecpcze tu nasz proboszcz.

Dobry człowiek, ale nieżyciowy. Nie przejmuj się tym, co będzie gadał, z czasem polubicie się na pewno. - Poradzę sobie - zapewniła Wysocka.

* * *

Późnym popołudniem Elżbieta skończyła rozpakowywać swoje rzeczy z walizek i kartonów. Poszła do kuchni, aby zaparzyć sobie ponownie kawy. Kiedy woda gotowała się w czajniku, ona wyjrzała przez okno i głęboko wciągnęła w płuca rześkie powietrze. Słońce niemal kryło się już za szczytami gór.

Elżbieta postanowiła w końcu wyjść z pałacyku i obejść swoje włości. Wyszła na ganek, zeszła ze schodów i ruszyła w lewo. Za budynkiem dojrzała stajnię, a obok niej niewysoki płot, który otaczał dużą łąkę. W oddali dojrzała Malwinę. Ta zaś zobaczyła Elkę i radośnie zaczęła cwałować w jej kierunku. Wysocka na moment stanęła jak wryta, po czym puściła się biegiem z powrotem do domu. Niestety, zahaczyła nogą o wystający korzeń drzewa i wyłożyła się na trawie. Na chwilę zamroczyło ją. Szybko uniosła się na łokciach, potrząsnęła głową. Kiedy spojrzała do góry, ujrzała nad sobą wielki łeb potwora, który coś przeżuwał. Malwina w przyjacielskim geście obwąchała twarz kobiety, dotykając ją delikatnie wilgotnymi wargami. Elka zamarła, zamknęła oczy i zaczęła półszepceniem odmawiać wszystkie modlitwy, jakie przysły jej do głowy. Uchyliła powiekę, ale potwór nadal nad nią się pochylał, w dodatku w impertynenckim uśmiechu szczyrzył żółte zęby. Między nimi widać było trawę.

- Zęby byś umyła, poczwaro. - Mimo woli mruknęła Elka, jej zawodowa natura dała o sobie znać. - Będzie ci jechać z tej paszczy, a i tak śmierdzisz. Kiedy się myłaś?

Po chwili zorientowała się, że mówi do konia, którego przecież się boi! Oszalała! Otworzyła drugie oko i powoli, nadal leżąc na plecach i opierając się na łokciach, starała się wycofać. Jednak Malwina podążała za nią. „Tak to ja do Łodzi się doczołgam z tą bestią nad sobą - pomyślała rozeźlona. - Zawołam Matyldę, może kręci się gdzieś w pobliżu”.

- Matylda! Matylda! - Wydzieriała się wniebogłosy, aż koń parsknął, czym ponownie wystraszył leżącą na trawie kobietę.

- A cóż ja tu widzę? - Do Elki dobiegł czyjś niski głos, spojrzała w stronę, skąd dochodził.

W jej kierunku podążał wysoki i otyły mężczyzna w sutannie. Domyśliła się, że to proboszcz, o którym wspominała ciotka.

- Proszę mi pomóc, boję się koni, a ta cholera puścić mnie nie chce! - zawołała w jego kierunku.

Proboszcz podszedł, rzucił okiem na nią i na konia, po czym parsknął śmiechem. Jego wielki brzuch trząsał się niczym galareta z nóżek wieprzowych.

- Ksiądz zamierza tak rechotać, czy może pomoże potrzebującej zgodnie z regułami naszej wiary? - zapytała kąśliwie.

- Już, już zabieram Malwinę - odparł ugodowo, próbując tłumić śmiech, co mu się nie udawało. - Zabiorę ją z powrotem na łąkę. - Wziął konia za uzdę i poprowadził.

Kiedy odeszli, Elka wstała, otrzepując się z trawy i ziemi. Już ona powie temu Malinowskiemu, co ma zrobić z tą czterokopytną bestią! Oj, nasłucha się od niej dobrze!

Stała pod rozłożystym klonem i obserwowała księdza, który wprowadził konia na łąkę, po czym zamknął bramę i ruszył w jej kierunku.

- Teraz mogę się przywitać jak trzeba - powiedział, wyciągając rękę na powitanie. - Wojciech Konik, tutejszy pasterz ruczajowskiej społeczności.

- Elżbieta Wysocka, lekarz. - Odwzajemniła uścisk.

- Przepraszam za moje zachowanie, ale to tak zabawnie wyglądało. Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu, proszę mi wybaczyć. - Trzymał jej drobną dłoń w swojej wielkiej, ciepłej ręce i lekko potrząsał.

- Już dobrze. - Parsknęła nagle śmiechem. - Faktycznie, mogło to wyglądać dość zabawnie z księdza perspektywy. Może napijemy się kawy? - zaproponowała.

- Kawy to nie, bo potem nie zasnę, ale herbatą nie pogardzę - odparł i ruszyli w kierunku pałacyku.

- Wszyscy się cieszą, że w końcu lekarz będzie u nas i do tego taki specjalista - powiedział Wojciech, sięgając po filiżankę.

Siedzieli w salonie. Elżbieta podała herbatę i ciastka, po które ksiądz łapczywie sięgnął.

- Ech, co tam specjalizacja. Dla mnie najważniejszy jest spokój, ale tu chyba go nie będę miała. - Westchnęła w odpowiedzi i usiadła na kanapie.

- Dlaczego? - zdziwił się proboszcz.

- Ten koń mnie wykończy nerwowo. Od dzieciństwa boję się tych zwierząt, a tu go mam pod bokiem - odparła, podając cukierniczkę.

-Ale Malwina to najłagodniejsze zwierzę! Musi się pani przemóc. Chyba z powodu konia nie myśli pani nas opuścić? - W jego głosie dało się wyczuć lekkie zaniepokojenie.

-Zastanawiam się nad tym... - odparła spokojnie Elka. - Albo ten Malinowski zabierze tego konia, albo ja wyjadę.

- Hm... tak pani stawia sprawę? To nie po chrześcijańsku i nieładnie.

-A co jest po chrześcijańsku? Może to, abym wychodząc z domu lub wracając z pracy, rozglądała się wokół, czy to bydlę się gdzieś nie czai? Mam żyć w strachu? - zaciętrzewiała się coraz bardziej.

- Wie pani, że ten koń w takim układzie może trafić do rzeźni? - odparł spokojnie Wojciech, sięgając po trzecie ciastko.

- Dlaczego do rzeźni? Co, nie ma go tu kto przygarnąć? - zdziwiła się szczerze, ale w jej głosie nie było już takiej pewności.

- Ano nie. Nie każdy chce brać sobie na kark zwierzę, które trzeba karmić, a pożytku z niego nie ma.

-Proszę nie próbować mi na sumienie wjeżdzać -odparła Elka z lekką butą w głosie. - Chciałam tu sobie na nowo poukładać życie, żyć w spokoju i poczuciu bezpieczeństwa, a nie czaić się jak partyzant i rozglądać, gdzie wróg. Może kanały mam sobie wykopać od pałacu poza jego bramę?

Ksiądz parsknął śmiechem. Elka spojrzała na niego i zawtórowała mu.

-Pani doktor, myślę, że znajdziemy rozwiązanie, wystarczy, że Tomasz pociągnie o jeszcze jedną belkę ogrodzenie w górę i Malwina tego już nie przeskoczy -stwierdził, ocierając załzawione oczy.

- Można spróbować - zgodziła się. - Jeszcze herbaty? - zaproponowała, widząc, że filiżanka księdza jest pusta.

- A chętnie - zgodził się i rozparł wygodniej na kanapie.

Elka wyszła do kuchni, a kiedy wróciła i postawiła przed księdzem Wojciechem filiżankę z herbatą, ten zagadnął:

- Jak już pani wie, jestem tu proboszczem. W Ruczaju mieszkam od dwudziestu lat. Staram się jak dobry pasterz chronić swoje owieczki przed zakusami szatana. Będiesz tu mieszkać sama z mężczyzną, musisz na siebie uważać i dawać innym dobry przykład prowadzenia się... - Nie dokończył, gdyż zobaczył, że w miarę jego wywodu, twarz Elki zmienia się z bladej w czerwoną.

- Proszę księdza, po pierwsze nie jestem już od dawna dziewicą, jestem wdową. Nie życzę też sobie wtrącania się w moje sprawy prywatne i w to, z kim będę sypiać, a z kim nie. To moja sprawa. Jakby ksiądz nie zauważył, jestem dojrzałą kobietą - wysyczała, ciężko siadając na kanapie.

Dla odmiany teraz twarz proboszcza przypominała soczystego malinowego pomidora. Był oburzony. Nikt nigdy nie śmiał tak do niego mówić! „Oj, będą kłopoty z tą kobietą. Trzeba ją koniecznie na drogę cnoty sprowadzić” - pomyślał. Nie wiedział, jak teraz ma się zachować. Wstać i wyjść? Czy zostać jednak i próbować załagodzić sytuację?

Elżbieta wstała.

- Ksiądz wybaczy, ale mam jeszcze trochę pracy w domu, więc...

- Tak, oczywiście, rozumiem to. Mam nadzieję, że przyjdzie pani mimo wszystko na mszę w niedzielę? - Ton jego głosu stał się łagodny, niemal proszący.

-Oczywiście. Do kościoła nie chodzę dla księży, ale dla Boga i siebie. - Uśmiechnęła się nieco złośliwie. - Odprowadzę księdza - zaproponowała.

-Nie trzeba, sam trafię, znam tu każde miejsce. Nieraz tu bywałem, kiedy były tu pani poprzedniczki...

- Nie wątpię. Też je ksiądz nawracał, nie znając ich jeszcze? - Elka przechyliła głowę i spoglądała na niego zadziornie.

- Oj, dziecko, nawet nie wiesz, jak bardzo się mylisz. Nie jestem twoim wrogiem, dlaczego mnie atakujesz?

- Proszę wybaczyć, ale to ksiądz zaczął. - Nie dawała za wygraną.

Wojciech z rezygnacją, kręcąc głową, wyszedł. Elka ponownie usiadła na kanapie. Była na siebie zła za swoje zachowanie. Co za licho ją podkuśiło, aby się z nim spierać? Miała wrażenie, że nie była sobą. Westchnęła. Tak czy siak, trzeba będzie go przeprosić, po co ma mieć na wstępie wroga?

Poszła do kuchni, zajrzała do lodówki, miała ochotę na małe co nieco, jak mawiał Kubuś Puchatek. A ponieważ dzień był dla niej naprawdę stresujący, postanowiła zjeść porządny kawałek ciasta i poprawić lodami.

Niedziela od samego rana była słoneczna i wyjątkowo ciepła. Elka po porannej toalecie i śniadaniu zadzwoniła do Majki. Opowiedziała jej przeżycia z poprzedniego dnia.

- Mamo, nie możesz na samym początku zadzierać z proboszczem. Pamiętaj, w takich małych społecznościach on nie jest byle kim. W dodatku dobrze wiesz, jak bardzo religijni są górale. Jak obrażasz ich proboszcza, to tak jakbyś im nawtykała. Nigdzie cię samej nie można puścić - stwierdziła twardo córka po wysłuchaniu relacji.

- Ech, może i racja. Ale tak mnie wkurzył, że opanować się nie mogłam. Teraz żałuję, ale nie mogłam powstrzymać języka. Przepraszę go przy okazji. Może dzisiaj? Idę na

trzynastą na mszę, to na pewno jakaś okazja się trafi - obiecała, wzdychając przy tym ciężko.

- Grzeczna dziewczynka z ciebie - zaśmiała się Majka. - A ten Malinowski? Poznałaś go już?

- Nie. W nocy słyszałam, jak przyjechał. Jego samochód stoi przy podjeździe. Hałasował, jakby sam mieszkał. Miałam ochotę pójść i powiedzieć mu parę słów, ale nie chciało mi się wstać.

-Dziękuję Panu Bogu, że z ciebie taki leniwiec, mamó. Muszę już kończyć, za dwa, trzy tygodnie wpadnę do ciebie z Rafałem - obiecała.

- Super, już się cieszę na to spotkanie. Pa, kochanie, uważaj na siebie.

Kiedy szykowała sobie w kuchni śniadanie, w okno zapukała Matylda. Elka uśmiechnęła się do niej i ręką dała znać, żeby weszła do pałacyku.

-Witaj, moja droga, jak minęła pierwsza noc w nowym miejscu? - zapytała ciotka, wchodząc do kuchni.

-W zasadzie spokojnie, ale ten Malinowski wrócił w nocy i tłukł się po swojej stronie, jakby sam tu mieszkał - odparła z sarkazmem. - Napijesz się kawy? A może małe śniadanko?

- Śniadanie jadłam, ale kawy chętnie się napiję. Musisz mu wybaczyć, to tylko facet. - Matylda usadowiła

się przy stole. - Ponoć proboszcz był wczoraj u ciebie?

- Na ustach kobiety zakwitł tajemniczy uśmiech, co nie uszło uwadze Elki.

- Przecież wiedział, że jestem. Mógł chociaż pozory zachować. - Nie dawała za wygraną, stawiając kubki z kawą na stole. - Jakaś kultura obowiązuje. Jak nie ta czterokopytna bestia, to jej pan. Oboje mnie prześladują.

-Elu, nie przesadzaj. Tomek miał wczoraj ciężki dzień, w jednym ze stad kociło się naraz dwadzieścia owiec. Wiesz, co to znaczy?

- No na pewno jest przy tym mniej roboty niż przy jednej rodzącej kobiecie - odparła Wysocka, sadowiac się przy stole.

-I tu się mylisz, ale pomieszkasz tu i z czasem zrozumiesz. Idziesz dzisiaj na mszę?

-Tak, pójdę. Proboszcz był u mnie, ale nasze pierwsze spotkanie nie wypadło najlepiej, zaczął mnie umoralniać... - Uśmiech zagościł na jej ustach, kiedy sobie przypomniała to wydarzenie. - Ma facet tupet.

- Mówiłam ci, żebyś nie brała go poważnie. On taki jest, ale to dobry człowiek. Ciekawa jestem, co powiesz, kiedy poznasz jego gospodynię, Aurelię. Ta to dopiero ma język.

- Matylda posłodziła kawę i zamieszała w kubku łyżeczką.

- Wszystko jedno. - Elka machnęła ręką. - Może opowiesz mi krótko o ludziach stąd, żebym wiedziała, czego mogę się spodziewać? - zaproponowała Elżbieta, zajadając kanapki i popijając kawą.

- Hm... o wszystkich nie da rady, ale powiem ci o tych najważniejszych. Wójta poznałaś, cwany lis, ale w sumie ma dobre serce. Zawsze umie wywachać pieniądze i dobry interes, ma piękny dom i głupią żonę. Na niego trzeba uważać, bo nigdy nie wiadomo, co wykombinuje i w co cię wpakuje.

Z proboszczem nie ma najlepszych stosunków, ale dla dobra swego stanowiska udaje, że wszystko jest w porządku. Chodzi z żoną i córkami do kościoła, jak Bóg przykazał. Jego zastępca, Franciszek Kotek, to taka mała żmija, nie wiadomo, kiedy ukąsi, z nim załatwi się wszystko przez łapówki. Jest jak na razie kawalerem, bo twierdzi, że w Ruczaju nie ma kobiety na odpowiednim poziomie dla niego. Zarozumialec i tyle. Obaj ci giganci boją się mnie i moich czarów. - Roześmiała się, jakby opowiedziała dobry dowcip, a Elka jej zawtórowała. - Naszych chłopców sprzed sklepu poznałaś? - Wysocka kiwnęła głową potakująco. - Nieszkodliwe pijaczki, ale w potrzebie pomogą, za piwo przeniosą jakieś meble, pomalują ściany, przekopią grządki. A Elizę widziałaś? - Elka pokręciła przecząco głową. - To nasza miejscowa piękność i... - Ciotka zastanowiła się. - Nie mogę znaleźć odpowiednich słów, mniejsza z tym. Wszystkie sklepy w Ruczaju należą do niej. Ma 35 lat i jest panną, oczywiście chętnie miałaby już obrączkę na palcu, ale tych, co ją chcą, ona nie chce. A ten, którego by chciała...

- ... jej nie chce - dopowiedziała Elka. - A kto to taki? Jakiś Adonis czy może Narcyz? - Ostatni kęs kanapki zniknął w jej ustach.

- To nasz Tomek. - Matylda zerknęła na Elkę, ale ta nie zareagowała. - Ugania się za nim, mizdrzy, przynosi mu ciasta, które „własnymi rączkami” piecze. On ciasto bierze, dziękuje i... nic.

- Skoro tak bardzo w dalszym ciągu przeżywa śmierć swojej rodziny, to nie ma co się dziwić. - Wzruszyła ramionami Wysocka. - Wierny jest swej jedynej miłości, tak jak ja - podkreśliła.

Matylda piła powoli kawę, na jej ustach błąkał się uśmiech.

- Może pokażę ci twoje włości? Skoro boisz się Malwiny, to ochrona ci się przyda - zaproponowała Matylda. - A potem podszukujemy obiad i pójdziemy do kościoła.

- Zgoda.

* * *

-Tu masz stajnię, gdzie Malwinka sobie mieszka. Kiedyś była jeszcze wielka obora, ale podczas jednej z burz rozpadła się i trzeba było ją rozebrać do końca. Tam łąka... O, widzę, że Tomasz już jest. Tomek! Tomek! - ryknęła tak głośno, że niczego niespodziewająca się Elka podskoczyła. - Musicie się poznać, w końcu pod jednym dachem mieszkać będziecie - wyjaśniła, gdyż mina Wysockiej wyrażała zdziwienie.

- Po co? Swoich sąsiadów w Łodzi też wszystkich nie znałam. A jego to nie mam ochoty poznać. Wystarczy, że jego konia poznałam - burknęła.

- Strzelasz fochy jak nastolatka, wstydz się. - Matylda spojrzała na nią z ukosa.

Tomasz, słysząc wołanie, odwrócił się. Przyłożył dłoń do czoła, bo słońce go oślepiało. Rozpoznał ciotkę.

- Pewnie ta nowa lekarka. Widzisz, Malwinko, kolejna wolna kobieta będzie się za mną uganiać. - Westchnął ciężko i odłożył zgrzebło na trawę. - Poczekaj, muszę się przywitać mimo wszystko, ale zaraz wracam i dokończymy czyszczenie. - Ruszył w kierunku kobiet, Malwina zarżała radośnie i podążyła za nim, jednak dał jej znak, aby została.

- Elu, to Tomasz Malinowski. - Matylda przedstawiła mężczyznę lekarce.

-Elżbieta Wysocka. - Wyciągnęła ku niemu rękę, którą krótko uścisnęła.

- Tomasz Malinowski - burknął.

Elżbieta spojrzała na niego uważnie. Był wyższy od Marka, rozbudowany w ramionach, spod rozpiętej koszuli wyglądała dobrze zbudowana klatka piersiowa. Ciemne, kręcone włosy były niestarannie ułożone, jakby dopiero co ktoś je specjalnie zmierzwił. Twarz miał okrągłą, z ciemnym zarostem i... zielonymi oczami niczym świeża, młoda trawa. Bezwiednie wpatrywała się w nie, miała wrażenie, że ją hipnotyzują. Wzdrygnęła się, kiedy poczuła rękę ciotki na swoim ramieniu.

- Elżbieta będzie pracować w przychodni - wyjaśniła.

- Wiem, cały Ruczaj o tym gada. To dobrze, bo ja mam swoich pacjentów naprawdę chorych, nie to, co te rzesze ludzi cierpiących na hipochondrię. Pomagać należy naprawdę potrzebującym - stwierdził, opierając dłonie na biodrach i przybierając tym samym wyzywającą postawę.

- Uważa pan, że ludzie nie cierpią? - Elką szarpnęło oburzenie.

- Jak pani pozna swoich pacjentów, to przyzna mi rację. A teraz przepraszam, ale muszę zadbać o konia, bo on tego potrzebuje. - Odwrócił się z zamiarem odejścia.

-Chwileczkę! Nie tak szybko, panie weterynarz! - Zatrzymała go. - Proszę, aby pan zrobił porządek z płotem na łące i to natychmiast, tak aby pana podopieczna nie wyskakiwała i nie włąziła mi do kuchni. Nie życzę sobie tego. Zrozumiał pan?! - Teraz Elżbieta przybrała wyzywającą pozę.

- Malwinka mieszka tu dłużej niż pani i ma większe prawa, nie będę jej ograniczał, poza tym to łagodne zwierzę - tłumaczył z ironicznym uśmiechem na ustach.

- Tak pan uważa? Porównuje pan prawa człowieka do praw tego bydłęcia?! - Zacietrzewiła się nie na żarty.

- Ja bym bydłeciem określił niektórych ludzi z ich ksenofobicznymi zapędami.

- Matyldo, słyszysz?! - Ela odwróciła się, aby otrzymać od ciotki poparcie, ale tej nie było, jakby zapadła się pod ziemię.

- Co, nie ma ciotki ze wsparciem? - zakpił Tomasz.

- A teraz muszę już iść, naprawdę nie mam czasu na bezcelowe dyskusje. Panienska pójdzie się może poopalać, potem do kościółka, a jutro rozpocznie leczenie wyfiokowanych pań z kółka gospodyń gminnych „Szydełko”

- zaśmiał się ironicznie.

- Dla pana wiadomości, to nie jestem panienką, tylko wdową... - sapnęła.

-Patrząc na panią, to się nie dziwię, mąż pewnie wolał umrzeć, niż z taką ksantypą żyć... - Urwał, bo dojrzał, że po twarzy Elżbiety spływają łzy, kobieta bez słowa odwróciła się i odeszła. - Ja... ja... - jąkał się, widząc łzy, ale nie zareagowała. Szła przed siebie.

„Cholera jasna, co mnie podkusiło?! - myślał zły na siebie. - Zachowałem się jak cham. Ale z drugiej strony od razu sprawy zostały jasno postawione i nie będzie się do mnie mizdrzyć jak jej poprzedniczki”. Odwrócił się i skierował swoje kroki w stronę łąki.

Elżbieta wpadła do domu jak burza, pobiegła od razu do swojego pokoju i rzuciła się na łóżko. Płakała spazmatycznie. Jak on mógł tak do niej powiedzieć?! Nie zna jej, a już ocenia! Cham! Nagle poczuła czyjąś ciepłą rękę na plecach. Ktoś usiadł na krawędzi łóżka i delikatnie zaczął ją głaskać po plecach. Odwróciła zapłakaną twarz i zobaczyła dobrotliwie uśmiechniętą Matyldę.

- Nie płacz. On już żałuje tego, co powiedział. Raptus jest i choleryk, trzeba mu wybaczyć... - tłumaczyła cicho Matylda.

- Skąd wiesz? Mówił ci? - Elka otarła wierzchem dłoni policzki.

- Nie musiał, ja po prostu to wiem. Widzisz, twoje poprzedniczki... - Zamyśliła się nad doborem słów. - Podrywały go...

- To on myśli, że ja jego... - Elka resztę dopowiedziała sobie w myślach. - To bezczelność jest! On mnie nie interesuje! Jedynym, którego kochałam, był Marek!

- Wiem, ale Tomek tego nie wie. Po prostu chciał cię do siebie zrazić, uważa, że to najlepszy sposób. - Ciotka tłumaczyła spokojnie, wciąż głaszcząc kobietę po plecach.

- To on myśli, że ja go chcę podrywać? - Elka z wrażenia usiadła na łóżku. - Dla mnie istniał i istnieje tylko Marek...

- Jego już tu nie ma, poza tym wątpię, aby chciał cię widzieć w takim stanie. Na pewno chciałby, abyś normalnie żyła, cieszyła się życiem. Jesteś jeszcze młoda, masz zaledwie czterdzieści lat, życie przed tobą.

-Dla mnie radość skończyła się wraz z odejściem Marka. - Ponownie chlipnęła Elka.

- Rozumiem, że rany są jeszcze świeże, ale czas je zagoi, chociaż teraz wydaje ci się to niemożliwe.

-Być może... Ale on mnie naprawdę obraził. Do tego odmówił podniesienia płotu, tak aby Malwina nie wyskakiwała i wyśmiał mój strach - żaliła się, wycierając nos w chusteczkę podaną jej przez ciotkę.

- Typowy facet - westchnęła Matylda. - Każdy z nas się czegoś boi: zwierzęcia, sytuacji, miejsca, nawet Tomek ma pewną słabość...

- On? Taki bufon, który niczego się nie boi? - zakpiła Wysocka.

- Tak, nie znosi pajaków, paraliżują go niemal. Ale nie zdradz, że ci powiedziałam o tym - zastrzegła Matylda.

- Oczywiście, że mu nie powiem - zapewniła Elka.

- Chyba obejście zwiedzisz sama jutro, bo już czas do kościoła - stwierdziła Matylda.

-Tak, masz rację, daj mi chwilę. Muszę się przebrać - odparła Elka, wstając i podchodząc do szafy.

-Ja pójdę do siebie i też się przebiorę. Spotkamy się za piętnaście minut przy moście - powiedziała ciotka i ruszyła do drzwi.

Elka wybrała z szafy ciemno-bordową sukienkę, w łazience zrobiła makijaż. Musiała jakoś zamaskować łzy.

* * *

Na mszy doktor Wysocka była główną atrakcją, po kazaniu proboszcz przedstawił ją wszystkim mieszkańcom. Był przy tym tak miły, życzliwy i grzeczny, że zrobiło jej się głupio za swoje zachowanie. Po mszy parafianie zbierali się przed kościołem. Jedni plotkowali, inni czekali na księdza, aby porozmawiać. Ludzie otoczyli Elżbietę, wypytyując o wszystko. Była oszołomiona.

- Pani doktor to chyba u nas na dłużej zostanie, prawda? - zapytała starsza kobieta w kwiecistej chuście na głowie.

- Nie wiem, kontrakt mam na razie na rok, a co później będzie? - odparła zagadnięta.

- A jak się w pałacu mieszka? - zapytała inna.

- A doktorka to jajka lubi?

- A kaczkę pieczoną z jabłkami?

Elka nie wiedziała komu i co ma odpowiadać, czuła się jak na karuzeli. Z opresji wybawił ją proboszcz, który stanął na progu świątyni.

-Kochani, bo naszą doktor zamęczycie i nam ucieknie. Mamy wiele czasu na poznanie się bliżej. - Rozłożył ręce, jak podczas udzielania błogosławieństwa na mszy. - Pani doktor, zapraszam na herbatę.

Elżbiecie nie wypadało odmówić. Na teren plebanii weszli przez niewielką drewnianą furtkę, od której prowadziła ścieżka z kostki brukowej. Po obu stronach rozciągał się równo przystrzyżony trawnik z kwiatowymi rabatkami. Po lewej stronie płotu rosło kilka brzózek, pod którymi leżały zeszłoroczne liście. Wysocka zauważyła przy nich starszą kobietę opartą o grabie i bacznie jej się przyglądającą. Konik zatrzymał się w połowie dróżki i, wskazując na kobietę powiedział:

- Pani doktor, a oto moja ulubiona gospodyni, Aurelia Kmicik. Wspaniale gotuje i robi cudowne ciasta. W kuchni jest prawdziwą czarodziejką.

Elżbieta była nieco zaskoczona teatralną przemową księdza, ale w porę zauważyła jego mrugnięcie okiem.

- Ach, to pani Aurelia! - zawołała. - Toż już mi kilka osób mówiło, że w Ruczaju nie ma lepszej gospodyni i kucharki. - Mówiąc to, przeszła przez trawnik w stronę kobiety, wyciągając do niej rękę na powitanie. - Ogromnie miło mi panią poznać. - Uścisnęła jej dłoń.

Aurelia była niska i tęga, i jak to w gminie mówiono, dobrze odżywiona na księżowskiej tacy. Od prawie piętnastu lat była wdową i mieszkała wraz z Wojciechem na plebanii. Zawsze pierwsza wiedziała, co się w Ruczaju dzieje, wścibiała nos we wszystkie sprawy społeczne, czy było to potrzebne, czy też nie.

- Naprawdę słyszała pani o mojej kuchni? - zapytała gospodyni podejrzliwie, jednocześnie oczekując potwierdzenia.

- Oczywiście! - zapewniła Elka. -1 to od kilku osób, a pierwsza powiedziała mi o pani ciotka Matylda, kiedy częstowała mnie swoim sernikiem...

- Matylda mnie chwaliła? No, no, kto by to pomyślał. .. A co mówiła? - Ciekawość wzięła górę.

- Że muszę koniecznie kiedyś spróbować pani ciast, bo takich nikt nie potrafi w Ruczaju piec.

-Hm... no proszę, kto by pomyślał - powtórzyła Aurelia. - A ksiądz to nigdy nie pochwali. - Zwróciła się z pretensją do proboszcza, który niczym skarcony uczeń opuścił głowę.

- Ależ pani Aurelio, przecież chwałę tym, z jakim apetytem zjadam - próbował się tłumaczyć.

- Zjadam, zjadam- powtórzyła Kmicik niczym echo. -Chyba pozeram z nosem w książce, a to niezdrowe jest, wrzodów na żołądku można dostać. Mam rację? - zwróciła się do Elżbiety.

- Ma pani w stu procentach - potwierdziła.

Zadowolona Aurelia wzięła kobietę pod rękę, grabie wręczyła proboszczowi i z pełną gracją osoby otyłej poprowadziła lekarkę na plebanię.

Do środka weszli drzwiami od werandy wprost do kuchni. Pomieszczenie było duże, w rogu stała kuchnia węglowa, jak w pałacyku, ale była także kuchenka gazowa. Był też stary biały kredens, taki sam, jak miała babcia Elki, oraz wielki stół z sześcioma krzesłami. Aurelia zaprosiła gościa do stołu, ksiądz skwapliwie dosiadł się również.

- Jak się pani podoba w Ruczaju? - zapytała gospodyni.

- Powiem szczerze, jeszcze się dobrze nie rozejrzałam... - ostrożnie odpowiedziała Elka. - Nie było kiedy, przyjechałam w piątek popołudniu, wczoraj wypakowywałam wszystko...

- O, to jak wypijemy kawkę i zjemy ciasto, to obie -zaznaczyła wyraźnie i spojrzała wymownie na proboszcza - pójdziemy na spacer. Oprowadzę panią i wszystko pokażę.

- A obiad? - zagadnął ostrożnie Wojciech. -Widziała pani? Księdzu tylko obiad w głowie.

A może czas byłoby trochę schudnąć? Już trzeci kawałek sernika ksiądz zjada. Ciekawe, jakie będą wyniki poziomu cukru! - dopiekła.

-Pani Aurelio, jakże tak przy gościu na swego proboszcza sobaczyć? - zapytał niewinnie ksiądz, a żartobliwy uśmiech błąkał mu się na ustach.

- Już dobrze - zmitygowała się kobieta. - Obiad prawie gotowy, w duchówce dochodzi.

Siedzieli jeszcze jakiś czas, rozmawiając o Ruczaju. Aurelia chciała przekazać nowej mieszkance wszystkie informacje o każdym mieszkańcu. Elżbieta w pewnym momencie zwyczajnie się pogubiła. Natomiast Kmicik była w swoim żywiole, w końcu ktoś jej słuchał i nie mógł nic dorzucić od siebie, a to zdarzało się doprawdy rzadko. W pewnym momencie Aurelia zapytała:

-Zapewne poznała pani Tomka? Prawda, jaki to wspaniały i uprzejmy człowiek?

- E... no... bardziej poznałam jego Malwinkę i nie za bardzo się polubiłyśmy - zaczęła Elżbieta ostrożnie.

- Nie lubi pani koni? - zapytała Aurelia, dolewając do filiżanki gościa kawy z dzbanka.

- Nie to, że nie lubię, aleja się ich po prostu boję. Taka fobia z dzieciństwa i nie mogę nad nią zapanować - tłumaczyła.

- Rozumiem. - Pokiwała głową Kmicik. - Ale jak sam Malinowski się pani widzi? - drażyła dalej.

- Było małe spięcie, właśnie o konia, ponieważ zwierzę przeskakuje ogrodzenie i łbem ląduje w mojej kuchni - odparła Elżbieta, sięgając po kolejny kawałek ciasta.

-Kto się czubi, ten się lubi - skwitowała Aurelia. - Pasowalibyście do siebie...

-Aurelio! - Proboszcz nie wytrzymał. - Pani Elżbieta jest zaledwie od kilku miesięcy wdową! - zawołał oburzony. - A pani chce ją tu swatać, nie wypada po prostu. ..

-Aurelio, Aurelio! - Gospodyni zaczęła księdza przedrzeźniać. - A sam proboszcz wczoraj mi powiedział, że niezła będzie z nich para - wypaliła.

Ksiądz zrobił się czerwony, nie był w stanie wydukać słowa. Na szczęście Elżbieta roześmiała się serdecznie, czym rozładowała ciężką atmosferę.

- Drodzy państwo, proszę się nie kłócić. Nie gniewam się ani nie jestem urażona. Nawet gdybym była panną, a nie wdową, to bym z nim nie była. Ten mężczyzna nie podoba mi się i tyle, a do tego jest źle wychowany - podsumowała, nie do końca szczerze.

-Tomasz źle wychowany? Nie jest według pani przystojny? - dziwiła się Aurelia. - Ależ to najładniejszy mężczyzna w Ruczaju! - zawołała, a w jej głosie dało się wyczuć oburzenie.

- To boję się pomyśleć, jak wygląda reszta - mruknęła Elka, co nie uszło uwadze księdza, który uśmiechnął się pod nosem.

- No dobrze, to może wybierzemy się już obie na spacer? - zaproponowała gospodyni.

- Z chęcią - odparła Ela i wstała od stołu.

W Ruczaju niedziela nie różniła się zbytnio od dnia powszedniego, chociaż więcej było mieszkańców spacerujących i odświętnie ubranych. Kiedy obie kobiety szły obok siebie, wszyscy im się kłaniali. Oczywiście Aurelia z uporem maniaka przedstawiała lekarkę każdemu, zachwalając jej umiejętności zawodowe, czym zaskoczyła Elżbietę, bo na razie nie była jej pacjentką. Taktownie milczała i rozdawała uśmiechy. Szły wyłożonym kostką brukową chodnikiem, najnowszą inwestycją gminy, trzymając się pod rękę. Po obu stronach stały domy otoczone ogrodami i sadami. Na każdym niemal płocie widniały tabliczki z napisami „Wolne pokoje”. Aurelia zauważyła spojrzenie Elki.

-Pamiętam czasy, kiedy w każdej z tych zagród owce sobie chodziły, kury, kaczki, a teraz? - Machnęła lekceważąco ręką.

- Cóż pani chce, postęp i cywilizacja wymuszają na ludziach dokonywanie zmian. Tutaj chyba spore bezrobocie? - zapytała Elka, przyglądając się kolejnej posesji.

- Tak, to prawda. Zresztą chyba jak wszędzie. Kiedyś każdy gospodarz miał tu stado owiec, teraz zostało ich zaledwie kilkunastu, reszta albo pracuje w Krakowie lub Zakopanem, albo jest na bezrobotnym.

- Ale widzę, że wynajmują pokoje - zauważyła Elka.

- To prawda - przytaknęła Aurelia.

-Coś pani ma kwaśną minę, mówiąc to. Przecież z wynajmu są pieniądze. Zwłaszcza w górach jest o to łatwiej, przez cały rok są turyści, gorzej mają ci nad morzem lub jeziorami - stwierdziła Wysocka, omijając w ostatniej chwili lampę uliczną.

- Tak, tu też pani ma rację, ale... ten cały pęd zmienił Ruczaj. Kiedyś mieszkańcy spotykali się na ryneczku w niedzielę, rozmawiali ze sobą, a teraz? Teraz wielu nawet nie znam, tak się wszystko zmieniło - westchnęła teatralnie.

- Pani Aurelio, trzeba iść z duchem czasu, nie zatrzymamy zmian. Sama pani wie, że skoro trudno tu o pracę, to ludzie starają się sami stwarzać sobie miejsca zatrudnienia. To chyba dobrze? - Elka spojrzała na kobietę, oczekując potwierdzenia, które jednak nie nastąpiło.

Naprzeciwko nich szedł Tomasz Malinowski z torbą przewieszoną przez ramię. Na ustach Aurelii pojawił się uśmiech, zatrzymała się i czekała, przytrzymując Elkę, aż mężczyzna do nich dojdzie. Wysocka poczuła rumieńce na policzkach. Wyjęła rękę ze zgięcia ramienia Aurelii i odruchowo zapięła wiosenny płaszcz. Jej gest i mina nie uszły uwadze gospodyni księdza.

- Witam doktora! - zawołała wesoło Kmicik. - Dokąd to pan zmierza?

- Dzień dobry, pani Aurelio. Wracam już do siebie. Byłem u Pawlaków, bo krowa im się cielila. W tym roku prawdziwy urodzaj na bliźnięta, to już szósta para - podkreślił z dumą.

- Bóg nam pobłogosławił - westchnęła Aurelia. - Ale zapomniałam! Państwo się chyba już znają? - Spojrzała na oboje.

- Tak, mieliśmy już okazję się poznać - mruknął Tomek.

-To dobrze, w końcu razem będziecie mieszkać -zauważyła Kmicik.

-Tak, chyba będę musiał z tej okazji pozamykać wszystkie zwierzęta w klatkach, bo pani doktor ich nie lubi...

Tego Elżbiecie było za wiele, rumieniec przeszedł z różu w buraczany.

- Niech pan pozostawi swoje niczym nieuzasadnione uwagi dla siebie. Prosiłam tylko, aby lepiej zabezpieczyć płot na łące, bo pański koń robi sobie spacer po mojej kuchni, a tego sobie nie życzę.

- Pani doktor, ma pani wiele specjalizacji, a myślała już pani o psychiatrii? - roześmiał się, po czym uklonił się Aurelii i odszedł wolnym krokiem, zostawiając oszołomione kobiety.

- Jestem zaskoczona jego zachowaniem. - Pierwsza odezwała się Aurelia, patrząc za Tomaszem.

-Zaskoczona? Pani Aurelio, od razu widać, jaki poziom kultury sobą reprezentuje - stwierdziła pewnym siebie, chociaż nieco drżącym głosem Elżbieta.

- No cóż... - Wzruszyła ramionami Kmicik. - Chodźmy dalej, pokażę pani nasz park, a w zasadzie las. Tam jest unikalne źródelko, które ponoć uzdrawia...

* * *

Poniedziałek zaczął się dla nowej mieszkanki Ruczaju pechowo. Poprzedniego dnia źle ustawiła budzik, a do tego zapomniała nastawić piec, więc myła się w lodowatej wodzie. Jedynym promykiem było śniadanie przygotowane w kuchni. Już od progu poczuła aromat

świeżo zaparzonej kawy. Matylda kręciła się po pomieszczeniu.

- Siadaj i jedz, bez śniadania nie można zaczynać dnia - gderała, nalewając do kubka kawę i siadając naprzeciwko Elki.

- Masz tremę?

- Nie, to tylko inne miejsce - odparła, wbijając zęby w kanapkę. - A ludzie? Wszędzie tacy sami... chyba.

- Obyś się nie myliła. Weź to i miej w kieszeni fartucha. - Matylda położyła przed nią gęsie pióro, do którego przyczepione były kolorowe koraliki.

- A to co? - Wysocka spojrzała na przedmiot, nie kryjąc zdziwienia.

- To cię uchroni przed nieprzyjemnymi sytuacjami z pacjentami - poważnie odparła Matylda. - I nawet nie próbuj się przeciwstawiać - zagroziła.

-Dobrze, dostosuję się do twoich zaleceń. - Elka wzięła pióro i schowała do kieszeni bluzy.

- Co chciałabyś zjeść na obiad? - zapytała Matylda, upijając kawy z kubka.

- Obojętne, ja tam wybredna nie jestem.

- Tomasz prosił o kaszę gryczaną z gulaszem. Lubisz? -Do tej pory tak... - mruknęła, a głośno odparła: - Oczywiście.

Matylda uśmiechnęła się, wstała od stołu i, stając w progu, rzuciła przez ramię:

- Jak dzieci, jak dzieci... - Po czym wyszła.

Budynek przychodni był świeżo po remoncie. Gabinet mieścił się na parterze, w środku czekała na Elkę pielęgniarka Hanna.

- Witam panią doktor. Pacjentów jeszcze nie ma -informowała, krzątając się po gabinecie.

-Nie ma? Już ósma, w zasadzie spóźniłam się - stwierdziła Elka.

- Pani poprzedniczka nauczyła ludzi, aby przychodzili na dziewiątą - odparła Hanka, układając ligninę w szafce.

- W sumie... dobrze - mruknęła do siebie Elka. - Kogo mamy pierwszego? - zapytała, siadając i biorąc do ręki pierwszą z brzegu kartę. - Pani Śliwińska, reumatyzm, nadciśnienie...

- 1 hipochondria - dorzuciła Hanka, zamykając szafkę z lekami.

- Uuu... to niedobrze - westchnęła Wysocka.

- Takich pacjentów jest u nas sporo, bo ci naprawdę chorzy omijają przychodnię na kilometr.

- Zauważyłam, że tak jest prawie wszędzie. Co za ludzie. Proszę zobaczyć, może już się ktoś pojawił. - Elka wskazała głową na drzwi.

Ostatni pacjent wyszedł około godziny trzynastej. Wysocka miała wrażenie, że bardziej pracowała jako psychoanalityk niż internista czy kardiolog. Hanka zrobiła kawę i usiadła naprzeciwko lekarki.

- To teraz chwila odsapki i jedziemy na wizyty domowe - poinformowała, podsuwając Elce cukierniczkę.

- Dużo mamy? - zapytała Wysocka, mieszając w kubku cukier.

-Pięciu pacjentów, dwóch po zawałach i trzech obłożnie chorych, leżących - odparła pielęgniarka.

Po zakończonych wizytach lekarskich Elka odwiozła Hanke do domu, sama zaś pojechała jeszcze na rynecek, gdzie był dość duży sklep spożywczy. Musiała zrobić jakieś zakupy dla siebie i Matyldy. Zaparkowała przed ławeczką, gdzie siedzieli w niezmiennych pozycjach Bukwa, Grzybek i Pażyr. Na widok lekarki wszyscy trzej poderwali się i zaczęli składać ukłony, machając przy tym czapkami.

- Witamy panią doktor. Jak pierwszy dzień w pracy? - pytali jeden przez drugiego.

Elka, zamykając drzwi auta, uśmiechała się pod nosem, słysząc te gromkie powitania.

- Witam panów. Widzę, że już rozpoczęliście dyżur na ławce? - zapytała, podchodząc do nich, gdyż tuż obok było wejście do sklepu.

- A tak, trzeba jakoś dobrze tydzień rozpocząć, aby tak samo dobrze go zakończyć - stwierdził Walery, podnosząc butelkę z winem do ust.

Elka dojrzała dziwną ranę na jego dłoni, podeszła do niego bliżej.

- Panie Bukwa, odsłoni pan rękę - poleciła. Zaskoczony mężczyzna patrzył na nią, nic nie rozumiejąc.

- No, proszę odsłonić - ponagliła.

Nie mając wyjścia, oddał butelkę do potrzymania Grzybkowi i podciągnął rękaw wypłowiałej marynarki. Lekarka zaczęła się przyglądać jego skórze.

-Czy pan wie, że ma pan najprawdopodobniej cukrzycę? - zapytała, a widząc zaskoczenie na jego twarzy, dodała: - Panu nie wolno w ogóle pić alkoholu!

- Jak to? Jaką cukrzycę? - Walery był zaskoczony, wpatrywał się w swoją rękę naznaczoną kilkoma ranami, które faktycznie dziwnie goić się nie chciały. - To niemożliwe, ja zdrowy jestem...

- Od kiedy zauważył pan, że rany się panu nie goją? -Elka nie ustępowała.

- No... może od dwóch tygodni... - odparł, ale nie patrzył przy tym kobiecie w oczy.

- Jak to Walery? Przecież już dwa miesiące temu mówiłeś, że nie chcą ci się goić rany, co je nabyłeś w tartaku - wtrącił Pażyr, ale zaraz ucichł, gdy dostrzegł wrogie spojrzenie starszego kompana.

- A pan? - Podeszła do Grzybka i bez uprzedzenia palcem wskazującym naciągnęła mu w dół powiekę. - A pan, panie Grzybek, ma kłopoty z wątrobą, też nie wolno panu pić! - Podniosła głos, kątem oka zauważyła, że Pażyr uśmiechnął się pod nosem, więc podeszła i do niego. - Ja bym się na pana miejscu tak nie uśmiechała, bo wygląda mi pan na wrzodowca. Wie pan, co się dzieje, kiedy taki wrzód zniemacka pęknie? - Spojrzała na niego, lecz zdumiona twarz mężczyzny nie wyrażała chęci dowiedzenia się. - Może dojść do zapalenia otrzewnej. Co to oznacza? Bezpośrednie zagrożenie życia i konieczność operacji. Panowie, wszyscy trzej jutro z rana na czczo macie zgłosić się do przychodni, zrobimy wszystkie badania. Nie wolno wam w ogóle pić! Zrozumiano? Albo niedługo osierocicie swoją ukochaną ławeczkę. - Elka nie miała dla nich litości, po czym obeszła ich i weszła do sklepu.

Trzej kompani jak na komendę usiedli na ławce. Na twarzy każdego z nich malowało się przerażenie. Do tej pory żaden lekarz, który tu pracował, nie interesował się

nimi. Owszem, chodzili do przychodni, kiedy grypa ich rozkładała lub reumatyzm, ale nikt nigdy nie zwrócił na to uwagi, nawet Tomaszek.

- Kobieta to zawsze humor umie popsuć - stwierdził Grzybek po chwili milczenia.

- To prawda, dlatego nigdy się nie ożeniłem - przytaknął mu Walery.

- To co robimy, chłopaki? - zapytał Grzybek, obracając butelkę „Muńka” w dłoniach.

- No przecie nie wylejem tyle dobrego wina! - odparł pośpiesznie Pażyry i jak na komendę wszyscy trzej podnieśli butelki i niczym pijawki przyssali się do nich.

- Dziwne, u mnie w rodzinie mój dziadek i ojciec też takie rany miewali i do dziewięćdziesiątki dożyli, a mnie dopiero sześćdziesiąta pierwsza wiosna idzie - stwierdził z mocą w głosie Walery.

-Ale mnie faktycznie czasami wątroba uciska - odparł lakonicznie Grzybek, chwytając się za wspomniany organ.

- A mnie rano czasami strasznie mgli - dorzucił Pażyry.

- No cóż, koledzy, w takim razie na dziś wystarczy, a jutro rano pójdziemy do przychodni, tak dla świętego spokoju - zarządził Walery, dopijając resztę wina, a pustą butelkę wrzucając do kosza.

Za jego przykładem poszli pozostali.

Nie zauważyli, że całą scenę obserwowali zza firanki w Urzędzie Gminy wójt i jego zastępcę.

-Ciekawe, wójt, co im ta lekarka powiedziała, że już się rozeszli. To do nich niepodobne. Byli dopiero po pierwszej butelce „Muńka” - zastanawiał się głośno Kotek.

- A co nam do tego, dla nich zdrowiej, dla nas mniej kłopotów. Sam widziałeś, jak ten nowy policjant czepia się o to... - odparł wójt, siadając w fotelu.

- On młody jeszcze, wójt, naszej obyczajowości nie rozumie - stwierdził Kotek, dalej stojąc przy oknie. - Jak dłużej popracuje, to zrozumie, jakie tu prawa obowiązują.

-Może tak, może nie - odparł wójt, przeglądając internet. - Ale od tygodnia ich nie pogonił. - Uśmiechnął się pod nosem.

- Bo mu wójt zagroził odebraniem samochodu służbowego, co go niedawno dostał - stwierdził z ironią w głosie Kotek.

- No czymś musiałem, bo mi przecież te pijaczki żyć nie dawały. Z ludźmi trzeba ostrożnie, Franciszku.

Elka weszła do obszernego sklepu. Od razu skojarzył się z obiektami rodem z PRL-u, gdzie było mydło i powidło, chociaż wszystko tematycznie poukładane i rozdzielone na dwie części. Za ladą dostrzegła siedzącą młodą dziewczynę, która miała nie więcej niż siedemnaście lat. Na widok Elki ekspedientka z trudem podniosła się, była w zaawansowanej ciąży.

-Dzień dobry, pani doktor - powitała przybyłą uśmiechem.

- Dzień dobry - odparła Elżbieta. - Pani mnie zna?

- A któżby pani nie znał, widziałam panią w piątek. Tutaj do sklepu każdy jakąś informację przyniesie, więc na bieżąco jestem.

- Widzę, że niedługo rozwiązanie - zauważyła Elka, patrząc na wydatny brzuch dziewczyny.

- A jakoś tak będzie...

- A chłopiec czy dziewczynka? - dociekała lekarka.

- A tego nie wiem, ale baby mówią, że chłopak, bo ładną cerę mam - odparła dziewczyna, siadając ociężale na krześle.

- A USG nie wykazało? Dziecko pewnie odwróciło się? - zapytała Elka, rozglądając się po półkach sklepu.

- Nie byłam na USG.

- Lekarz pani nie skierował? - zdziwiła się Wysocka.

- Ja u lekarza jeszcze nie byłam... - odparła cicho dziewczyna.

Elżbieta spojrzała na nią zaskoczona.

- Jak to pani nie była? Chwileczkę... Kiedy była pani po raz ostatni u ginekologa?

- E... no... w ogóle nie byłam, bo u nas nigdy ginekologa nie było - odparła dziewczyna.

- A w Zakopanem, Krakowie? - dopytywała lekarka.

- A kto by miał czas jechać tam o świącie i czekać?

- Telefonicznie przecież można.

- Może i można, ale czasu nie mam. Od rana do nocy w sklepie siedzę. Muszę na życie zarabiać - odparła flegmatycznie ekspedientka.

- No, a ojciec dziecka? Rodzina?

- Mateusz? Mateusz w Anglii na zmywaku pracuje, a rodzina? U mnie pięcioro młodszego rodzeństwa jest, muszę matce pomagać.

- A tutaj nigdy ginekolog nie przyjeżdża?

- Nie, niby skąd?

-1 żadna z kobiet nie jeździ do ginekologa na badania, chociażby cytologię?

- Nie, to znaczy bogate jeżdżą, jak pani Eliza, ale reszta nie - odparła dziewczyna i aby zmienić temat, zapytała: - To co pani podać?

Elka pośpiesznie zaczęła wymieniać produkty. Kiedy zapłaciła i wyszła ze sklepu, od razu zadzwoniła do Bartka Musiała, kolegi ze studiów.

- Cześć, tu Elka. Bartek, czy nadal czwartki masz wolne? - zapytała, a gdy ten potwierdził, dodała: - Super, to w ten i każdy następny będziesz przyjeżdżał do Ruczaju. Wyobraź sobie, że tu kobiety nie badają się nawet, bo specjaliści nie ma, a im się jechać do miasta nie chce - informowała oburzona.

-No, ale jak niby formalnie chcesz to załatwić? - zapytał Musiał.

- Normalnie, zaraz do wójta pójde i rabanu narobie, to wstyd, aby w XXI wieku kobiety nie miały lekarza. - Emocje ponosiły Elkę.

- Dobra, kochana, muszę kończyć, bo jeszcze kilka pacjentek mam. Jak ustalisz coś z wójtem, zadzwoń.

- Dobrze, dzięki za pomoc. - Elka schowała do kieszeni telefon. - To teraz do wójta - mruknęła pod nosem i skierowała się do urzędu.

Zapukała do drzwi gabinetu wójta, po czym, nie czekając na zaproszenie, weszła. Wójt, widząc ją, pośpiesznie wstał z fotela, wziął marynarkę z oparcia i nieporadnie próbował ją założyć. Kotek odłożył na regał trzymany w ręku segregator.

- Witam panią doktor! - zawołał wójt. - Jak minął pierwszy dzień pracy? - zapytał wójt, ściskając rękę kobiety na powitanie.

-Nie tak dobrze, jak bym chciała, panie wójcie - odpowiedziała i usiadła na kanapie.

- Coś się stało? - zapytał zaniepokojony Kryszał.
- Tak, otóż w przychodni jest świetnie wyposażony gabinet ginekologiczny i stomatologiczny, ale w jakim celu? - zapytała z ironią, zakładając nogę na nogę.
- Pani doktor, skąd takie pytanie? Wiadomo, że po to, aby pacjentów leczyć - odparł wójt z dobrodusznym uśmiechem.
- To chyba w takim razie jakieś samoleczenie, bo specjalistów tutaj nie ma i z tego, co się dowiedziałam, nigdy nie było. To po co te gabinety? - Nie dawała za wygraną.
- Pani Elżbieto, był przykaz odgórny, Unia Europejska dała fundusze, więc trzeba było je zrobić. - Wójt rozparł się w fotelu.
- A kto powinien zatrudnić lekarzy?
- Gmina, wiadomo - wtrącił się Kotek. - Jednak na to funduszy nie ma i nie będzie w najbliższym czasie. Mamy inne pilne wydatki...
- Czyżby? Panowie, aż tak naiwna nie jestem. Unia, dając wam pieniądze na gabinety, zobowiązała was do zatrudnienia przynajmniej na jeden dzień w tygodniu odpowiednich specjalistów. Czyż nie mam racji? - Patrzyła raz na wójta, raz na jego zastępcę.
- Pani doktor, doprawdy, proszę nie zajmować się funduszami gminy, tylko leczeniem ludzi. Mieliśmy już kilka kontroli, które wykazały w swoich raportach, że wszystkie unijne pieniądze zostały przez nas dobrze zagospodarowane... - z politowaniem w głosie zaczął wyjaśniać wójt.
- Inaczej zapytam. Ruczaj podlega pod Zakopane? - dociekała.
- Oczywiście - odparł Kryszał.
- Zakopane pod Kraków?
- Tak. - Wójt zaczął się niecierpliwić.
- A jak się nazywa wojewoda? - Spojrzała wymownie tym razem na Kotka.
- Kazimierz... Kazimierz Wysocki...

- Zapewniam was, panowie, że to nazwisko, to nie zbieg okoliczności. - Na ustach Elki pojawił się ironiczny uśmiech. - Kazik to mój kuzyn, który za dwa tygodnie ma mnie odwiedzić z rodziną. Jak panowie myślą, co mu odpowiem, kiedy mnie zapyta: „Jak ci się pracuje, Elu? Jak przychodzi?”.

- E... no... - jąkał się wójt, rzucając spojrzenia Kotkowi, który tym razem nie wiedział, co ma odpowiedzieć.

- To jak? Mam zadzwonić do wojewody i uprzedzić go już teraz, jakie mam tu problemy? - zapytała, wstając z kanapy i ostentacyjnie pokazując swój telefon komórkowy.

-Ależ pani doktor, po co te nerwy? - Wójt wstał również i nerwowo zaczął wyginać palce u rąk.

- To jak? Dogadamy się? - zapytała i ponownie usiadła na kanapie.

- Oczywiście, że się porozumiemy - zapewnił gorliwie wójt. - Co pani proponuje?

Kotek odruchowo wyjął notes i długopis, czym wywołał uśmiech politowania Elżbiety.

- W czwartki będzie przyjeżdżał mój kolega, ginekolog Bartosz Musiał, podpiszecie z nim umowę-zlecenie, taką samą proszę przygotować dla Mani - spojrzała na Kotka, który tylko kiwnął głową na znak zrozumienia. - Stronę internetową gmina ma?

- Ma - odpowiedzieli chóralnie obaj mężczyźni.

- To jeszcze dzisiaj ma się ukazać ogłoszenie, poza tym jutro rano chcę widzieć papierowe ogłoszenia rozlepione

w całym Ruczaju. A tych, co nie mają internetu, powiadomicie telefonicznie. Wszystko zrozumiałe? - zapytała, wstając z kanapy i biorąc do ręki torebkę.

- Ale... - zaczął wójt, ale Elka tak na niego spojrzała, że zaraz zamilkł.

- Do widzenia panom - pożegnała się i wyszła ostentacyjnie, nie czekając na Kotka, który chciał otworzyć jej drzwi.

Dopiero kiedy wsiadła do samochodu, odetchnęła głęboko, oparła głowę na kierownicy i stwierdziła

w myślach: „Jeden do zera dla mnie, panie wójcie”.

* * *

- Widziałeś?! - krzyczał oburzony wójt po wyjściu lekarki. - Toś nam doktora sprowadził! Aby cię cholera jasna wzięła, Kotek. Teraz to dopiero będziemy tu mieli cyrk, bo za każdym razem będzie nas szantażować kuzynem! - wrzeszczał, miotając się po gabinecie.

Kotek siedział skulony na kanapie, słowem się nie odzywając. Z doświadczenia wiedział, że nie warto nic mówić, trzeba po prostu przeczekać. Po pięciu minutach furia wójta nieco zelżała, usiadł w fotelu i ciężko oddychał.

- Kotek, nalej mi czystej - nakazał.

Kotek szybko spełnił polecenie. Wójt wszelkie złe humory związane z pracą leczył „czyściochą”, zaś sukcesy umacniał koniakiem. Oba alkohole stały na regale za segregatorami.

-1 co teraz? - zapytał Franka i gestem ręki wskazał, aby sobie też nalał wódki.

Kotek, ośmielony nieco spokojniejszym zachowaniem przełożonego, z kieliszkiem alkoholu w ręku usiadł naprzeciwko Krysztala.

-Panie wójcie, nie ma co na darmo nerwów sobie szarpać, proszę na to spojrzeć z innej strony. Jeżeli będziemy dobrze żyć z tą lekarką, to i wojewoda będzie nam przychylniejszy, więcej dla gminy zrobimy, a to oznacza...

-A to będzie oznaczać wdzięczność tych, pożał się Boże, mieszkańców i ich głosy w następnych wyborach - dokończył wójt. - Podoba mi się twój tok myślenia, Kotek. - Spojrzał na niego przenikliwie i uśmiechnął się pod nosem. - Dzwon do tej swojej znajomej dentystki, bo Wysocka gotowa zaraz wrócić i sprawdzić to.

Elka siedziała w kuchni i kończyła obiad, w międzyczasie opowiedziała Matyldzie o swojej wizycie w gminie. Ciotka z wrażenia aż przysiadła na krześle i z niedowierzaniem kręciła głową.

- Dziewczyno, nawet nie wiesz, ile dobrego zrobiłaś! Przez lata nikt nie mógł się doprosić wójta o specjalistów tutaj. A ty szast-prast i po wszystkim, brawo! - mówiła zachwycona.

-A co mi szkodziło, nigdy nie wykorzystywałam takich znajomości, ale nie było wyjścia. Serce mi się kroilo, kiedy zobaczyłam tę dziewczynę w sklepie...

- Zapewne chodzi ci o Kaśkę Buczmę? Biedne dziecko - westchnęła Matylda.

- No właśnie, ona nawet nie wie, w którym jest miesiącu ciąży, nie była ani razu u lekarza, chyba że tego od zwierząt. - Ostatnie słowa podkreśliła celowo i nadała im ironiczny charakter. - Dla niego wszystko jedno, kobyła w ciąży czy kobieta. Zapewne lepiej traktowałby zwierzę niż człowieka.

-Oj, chyba przesadzasz - stwierdziła Matylda. -Dolać ci kompotu?

- Nie, dziękuję. Jestem już tak najedzona i opita, że więcej nie zmieszczę. - Elka ostentacyjnie poklepała się po brzuchu.

- Dobrze, to ja idę do miasteczka, mam tam kilka spraw do załatwienia. Zobaczymy się jutro - poinformowała, składając w kostkę ścierkę i kładąc ją na blacie stołu.

- Może cię podrzucę samochodem? - zaproponowała Elka.

-Nie, dziękuję, muszę się trochę przejść, po drodze ziół może narwę? Zaczynają się już pojawiać - odparła.

Po wyjściu ciotki Elka postanowiła trochę poczytać na werandzie. Zrobiła sobie kawę, wzięła książkę i usiadła w wiklinowym fotelu. Słońce jeszcze nie schowało się za horyzont i przyjemnie grzało twarz. Zmrużyła oczy i obróciła w jego stronę. Z wysepki, gdzie rosły karłowate sosny, dolatywał śpiew znajomego kosa. Było tak przyjemnie, tak sennie... Nie wiedziała, na ile minut przysnęła, ale z tego miłego stanu wybudziło ją głośnie rzenie. Otworzyła oczy i z przerażeniem zobaczyła tuż przed swoim nosem wielki łeb Malwiny! Wrzasnęła, wystraszony koń odskoczył, stanął i spojrzał zdziwiony, po czym spokojnym krokiem odszedł w stronę swojej zagrody. Elka odetchnęła. Serce waliło jej niczym młot kowalski, miała wrażenie, że zaraz wyskoczy.

-A więc nadal zagrody nie zrobiłeś, konowale od siedmiu boleści - mruknęła do siebie, kiedy już jej serce uspokoiło się nieco. - Wyśmiewasz się z mojej fobii? Zobaczymy, kto będzie się bardziej śmiał!

Wstała z fotela i spojrzała na pałacyk, wyraźnie czegoś szukała. Uśmiechnęła się do siebie. Poszła do kuchni, z kredensu wyjęła pusty słoik po ogórkach i wolnym krokiem skierowała się na strych.

Okolo północy obudził Wysocką wrzask dochodzący z drugiej części pałacu, tej, którą zajmował Malinowski.

- Elka! Elka! Chodź tu natychmiast! Chodź! Elka! Kobieta na wpół śpiąca usiadła na łóżku, próbowała

zrozumieć, co się dzieje. Pożar? Pociągnęła nosem, ale nie wyczuła swądu ani dymu. Dopiero po minucie uświadomiła sobie zarówno źródło, jak i przyczynę krzyków. Ze złośliwym uśmiechem wstała, narzuciła na kusą koszulkę szlafrok i mocno zawiązała go w pasie. Wychodząc z pokoju, zerknęła w lustro i odruchowo poprawiła włosy.

- No i co pan tak wrzeszczy po nocy? - zapytała ze stoickim spokojem, wchodząc do pokoju, skąd dochodził wrzask.

- Tam! - Tomasz stał skulony w kącie i pokazywał to na przeciwległą ścianę, to na podłogę, gdzie w różnych kierunkach pełzało kilkadziesiąt mniejszych i większych pajaków.

- Zabierz je stąd, natychmiast! - wrzasnął ponownie. Elka włożyła rękę do kieszeni i oparła się o framugę drzwi.

-Hm... nie przepadam za pajakami, chociaż nie powiem, że się ich boję. Wiesz, że są niezwykle pożyteczne? A polskie gatunki nie robią krzywdy człowiekowi. Ale kogo ja pytam? - Roześmiała się nieco sztucznie. - Przecież to ty jesteś specem od zwierząt...

-Zabierz je, błagam! Cierpię na arachnofobię! - krzyknął ponownie, kuląc się w kącie.

- Jakiś ty biedny. - Elka przeszła przez pokój i usiadła w fotelu. - Może opowiesz mi, co teraz czujesz? - kpiła.

- Elka, to nie jest śmieszne!

-Nie? A ja myślałam, że tak. Powiedz mi może, czym różni się arachnofobia od hipofobii, oprócz samego obiektu? - Spojrzała na Tomka, w jej oczach kryło się zwycięstwo.

- Zrozumiałem! Przepraszam, a teraz zabierz je stąd-potulnie poprosił.

Elka wstała z fotela powoli, zza komody wyjęła słoik, który wcześniej tam schowała i powoli zaczęła zbierać owady. Trwało to dość długo i sama zaczęła żałować, że tyle ich tu przytaczała. Tomek wskazywał jej miejsca, gdzie mogły się ukryć. Po godzinie pająki zostały wypuszczone na łąkę.

- To było świństwo z twojej strony! - syknął Malinowski, kiedy był już pewien, że owady zostały wyzbierane.

- Jak Kuba Bogu, tak Bóg Kubie. Ja też prosiłam, ale kpiłeś tylko, więc sam zobacz, jak to jest przyjemnie. A teraz dobranoc, idę spać. Aha, zobacz jeszcze, czy w pościeli nie ma jakiegoś, bo tam nie zaglądałam - zadrwiła, a widząc ponownie przerażenie w jego oczach, dodała: - Nie bój się, tchórze, nie ma ich tam, sprawdziłam.

Po jej wyjściu Malinowski mimo wszystko zajrzał pod kołdrę. Pościelił sobie w wannie i poszedł spać do łazienki. Długo nie mógł zasnąć. Myślał o tym, co się stało. Pająki zawsze napawały go wstrętem i strachem. Nic innego, żadne inne stworzenie, tylko właśnie one. Skąd ta fobia? Nie wiedział. Po prostu była z nim od dziecka. Przypomniawszy sobie, jak kiedyś żona zawołała go do kuchni i poprosiła, aby z karnisza zdjął pająka, bo ona nie sięgnie. Dostał wówczas jakiegoś ataku paniki, zamknął się w łazience i nie wyszedł, dopóki żona nie zapewniła go, że owad jest już poza mieszkaniem. Śmiała się niego później jeszcze długi czas, ale zniósł to dzielnie. Nawet teraz, kiedy wchodzi do czyjegoś mieszkania czy obory, aby zbadać zwierzę, rozgląda się bacznie, czy jakiś stawonóg nie biega po ścianie. A tu proszę, przyjechała taka łódzka gęś i go pająkami straszy! Już on jej pokaże, gdzie jej miejsce! Nie

podaruje jej tego! Nagle przypomniał sobie wyraz jej twarzy, gdy Malwina stała obok niej. Strach był w jej oczach, widział, jak jej ciałem wstrząsają dreszcze, jak nie może wypowiedzieć słowa, a paraliż zawładnął jej ciałem. Cholera! On czuł to samo na widok pajaków. Cholera by to wzięła!

Tak bardzo brakowało mu Małgosi i dzieci. Kilka razy próbował zakończyć życie, ale zawsze dziwnym trafem ktoś lub coś mu przeszkodziło. Po prostu zbieg okoliczności. Westchnął. Serce wypełniał mu żal do życia, tęsknota za ukochanymi. Łzy pojawiały się za każdym razem, gdy coś lub ktoś skojarzył mu się z nimi. Minęło tyle lat, a jemu wydawało się, że wszystko wydarzyło się zaledwie wczoraj. Nieprawda, że ból z czasem zaczyna być coraz mniejszy, że wspomnienia o tych, którzy odeszli, będą jedynie wywoływać uśmiech. To wszystko kłamstwa. Do tego wszystkie te lekarki, które pracowały w Ruczaju. Każda próbowała go usidlić, nie zrażały się oschłością i opryskliwością. Dopiero kiedy Matylda wkraczała do akcji, odzyskiwał spokój. Nieraz spoglądał w lustro, aby zobaczyć, co w nim widziały, ale tego nie odnajdował. Każda była wobec niego nachalna, kokietowała go, ale dla niego nie miało to znaczenia. Dla niego istniała tylko Małgosia. Ze spokojem patrzył, jak jedna po drugiej wsiadały w samochód i odjeżdżały, odczuwał tylko ulgę.

Dwa tygodnie temu wójt poinformował go o nowej lekarce. Tomek tylko ciężko westchnął, usłyszawszy wiadomość. Kolejna łowczyni samotnych serc. Ale teraz był nieco zdziwiony, że kobieta nie szuka jego towarzystwa,

nawet nie zaprosiła go na ciasto, które piekła, a zapach drażnił przyjemnie nozdrza, za to wpuściła mu do pokoju pająki. Kobieta z charakterem. Jakaś odmiana w końcu. Ale te pająki? Przeholowała!

Patrzył w okno, przez które do środka zaglądał księżyc, poświatą okrywając przeciwległą ścianę. Tomek zamknął oczy, po czym już po chwili otworzył je. Spojrzał przed siebie, na krawędzi wanny siedziała Małgosia. Jego Małgosia! Miała tak samo piękną twarz jak kiedyś, ale niezwykle smutne oczy, w których szklily się łzy.

- Tomku, nie zatrzymuj nas. Nie możemy odejść tam, gdzie będziemy szczęśliwi. Dlaczego nam tego zabraniasz? - szeptała.

Tomek patrzył na nią, ciało miał jakby sparaliżowane, nie czuł go, chciał się poruszyć, ale nie mógł.

- Gosiu, to ty? - zapytał jedynie.

- Pozwól nam odejść - powtórzyła kobieta.

- Ale was nie ma, sami odeszliście...

- Twoja rozpacz, łzy zatrzymują nas tutaj. Nie jesteśmy szczęśliwi. Zaczynaj żyć i pozwól nam żyć... tam, gdzie nasze miejsce. Kiedyś spotkamy się, ale jeszcze nie teraz. Ciesz się życiem na ziemi, wyjdź do ludzi, nie bój się kochać. Tam, gdzie będziemy, nie ma to znaczenia...

-Gosiu, gdzie dzieci? - zapytał, rozglądając się wokół siebie.

-Nie chciały przyjść, są nieszczęśliwe - odparła, ocierając łzę, która spłynęła po jej bladym policzku.

- Dlaczego? - Tomek zdawał się nadal nie rozumieć, co do niego mówiła.

- Bo nas zatrzymujesz. Skończ z tym. Pożegnaj nas, pamiętaj, ale z uśmiechem. Nie przeklinaj losu ani Boga, tak musiało być. Daj nam odejść...

- Małgosiu! - zawołał, bo kobieta zaczęła być coraz bardziej przeźroczysta, aż w końcu rozplynęła się w powietrzu.

Teraz dopiero poczuł odrętwiałe ciało. Usiadł w wannie, poczuł, że po policzkach płyną mu łzy, otarł je. To takie niemęskie! To był sen czy jawa? Wciągnął głęboko w nozdrza powietrze i... poczuł zapach perfum konwaliowych, tych samych, których używała Małgosia! Wskoczył z wanny jak oparzony, potykając się o mały taboret. Runął na podłogę, robiąc przy tym tyle hałasu, że chyba nawet w miasteczku go usłyszeli. Z trudem się pozbierał, po cichu wyszedł z łazienki, niosąc poduszkę i koc. Zakradł się do salonu Elki, bo do swojego nadal bał się wejść. Ułożył się na kanapie. To był sen? Taki realistyczny, że aż poczuł zapach konwalii? Kazała mu być szczęśliwym. Dać im odejść. A jeżeli to prawda, jeżeli ci, których kocha nadal, są przez niego nieszczęśliwi? Czyżby był egoistą? Musi porozmawiać z Matyldą i... proboszczem. Tak, tak robi. Nagle poczuł błogi spokój, sen już nadchodził, spokojny i bezpieczny. Przyjął go z ulgą.

* * *

Elka nie mogła zasnąć. Jasny księżyc wisiał nad szczytami gór i świecił w okno sypialni. Promienie światła padały na obraz. Odniosła wrażenie, że ożył. Postacie wykonywały niemal niezauważalne ruchy. Podniosła się na rękach, zamrugała oczami, by wyostrzyć wzrok. Odwróciła głowę i dostrzegła w fotelu zarys postaci wpatrującej się w obraz, jednocześnie poczuła zapach lawendy. Potrząsnęła głową, chcąc strzepnąć resztki snu. Postać obróciła głowę w jej stronę.

- Szukam Elwiry, widziałaś ją? - zapytał męski głos.
- Nie, nie widziałam. Kim pan jest? - Elka była już całkiem przytomna, usiadła na łóżku, podciągnęła kolana pod brodę.
Dziwne było to, że nie czuła strachu.
- Szukam jej tyle lat i nigdzie jej nie ma... - odparła postać. - Kiedyś mieszkałem w tym domu, potem ona tu przybyła, ale odeszła, a teraz nie mogę jej odnaleźć. Pomożesz mi?
- Ale ja jej nie znam. Kim jesteś? - powtórzyła pytanie.
- Ona jest na tym obrazie. Zobacz, jaka piękna... Nie pozwolili nam być razem...

* * *

- Widzę, że się nie wyspałaś - zauważyła Matylda, kiedy Elka weszła do kuchni, ziewając.
- Tak, ciężką noc miałam - stwierdziła. - Dzięki za kawę. - Usiadła przy stole, biorąc kubek.
- Co tu się wczoraj działo? - zapytała ciotka, stawiając przed Elżbietą talerz z kanapkami.
- Nic, a co miało się dziać? - Wzruszyła ramionami w odpowiedzi.
- Kiedy przyszłam, to Tomek spał u ciebie w salonie na kanapie.
- Dziwne, bo zasnął w swojej łazience - mruknęła. - Coś mu zrobiła? - Matylda usiadła przy stole naprzeciwko niej.
- Oj tam... Ja się boję koni, on pajaków, tak? - Złośliwy uśmiech przemknął przez jej usta.
- No ładnie. Toś się odkuła. - Zaśmiała się szczerze ciotka. - Tego się po tobie nie spodziewałam!
- Jak Kuba... - Nie dokończyła, bo do kuchni wszedł Tomek.
- Dzień dobry. Płot dzisiaj podniosę o dwie żerdzie, Malwina go nie pokona - zapewnił Elkę, patrząc jej w oczy.
- Dziękuję, to miłe z pana strony - odparła spokojnie. - Może kawy? - zaproponowała Matylda, z góry

zakładając, że i tak odmówi, bo w kuchni była Wysocka.

- Chętnie, niewygodnie mi się spało i męczyły mnie koszmary
- zgodził się i usiadł obok. - Wczoraj byliśmy już po imieniu, może przy tym zostaniemy? - zapytał Elkę.

- Jest mi to obojętne. - Wzruszyła ramionami.

- No już daj spokój, moja droga - wtrąciła Matylda, stawiając kubek z kawą przed Tomkiem.

- Przepraszam - odparła skruszona Wysocka.

- Ponoć w przychodni będzie przyjmować ginekolog i stomatolog? - Przerwał niezręczną ciszę, która zapadła po wypowiedzi Elki.

- Tak, to prawda. Są dwa świetnie wyposażone gabinety, tylko specjalistów brak - odpowiedziała Elka. - Tak nie może być.

- Racja, do specjalistów trudno się tutaj dostać. Jak ci się udało namówić wójta? On jest taki skąpy - dziwił się Tomek, sięgając po cukierniczkę.

- Powiedziałam mu, że wojewoda krakowski jest moim kuzynem i że za dwa tygodnie będzie u mnie w odwiedzinach. Zamierzam mu pokazać przychodnię i dwa wspaniałe gabinety, które stoją bezużyteczne...

- To mu zabiłaś ćwieka - roześmiał się Malinowski. - Faktycznie wojewoda to twój kuzyn?

- Tak, a do tego bardzo się lubimy. - Uśmiechnęła się z satysfakcją. Spojrzała na zegar wiszący na ścianie. - Kurczę, jak już późno, muszę jechać do pracy. Do widzenia. - Skinęła głową i wyszła z kuchni.

* * *

Kolejny dzień w pracy okazał się cięższy od poprzedniego, skończyła przyjmować pacjentów około szesnastej. Z przyjemnością wróciła do domu, zjadła obiad i piła kawę na tarasie, rozmawiając z Matyldą o minionym dniu.

- Sporo dzisiaj miałam ludzi - opowiadała. - Cieszę się, że wszyscy zadowoleni, że w czwartek będą specjaliści. Do każdego trafiła informacja o tym, wójt się spisał na medal.

- To dobrze, ale pamiętaj, że kierował nim strach, a nie chęć pomocy - zauważyła sarkastycznie Matylda, podsuwając talerz z ciastem w stronę Elki.

- Jak zwał, tak zwał, grunt, że cel osiągnięty - odparła, sięgając po jabłecznik. - Wiesz co? Miałam dzisiaj dziwny sen. Niby obudziłam się w środku nocy, a na fotelu siedział jakiś facet i gadał, że szuka Elwiry. Mówię ci, ten sen był tak realistyczny, że rano wątpiłam, czy to był faktycznie sen czy jawa.

- Jakby ci to powiedzieć... hm... Obawiam się, że to nie był faktycznie sen. Kiedyś mieszkała tu rodzina szlachecka, potomkowie Zygmunta Starego, Kurcewiczowie. Z tamtych czasów został w zasadzie tylko pałacyk i niewielki cmentarzyk w lesie. - Wskazała ręką ścianę lasu.

- Tam jest cmentarz? - wzdrygnęła się Elka. - Tak, leżą tam mieszkańcy pałacyku i jego służba - odparła spokojnie Matylda. - Ten, który z tobą rozmawiał, to Stanisław, ostatni z tej linii Kurcewiczów. Mieszkał tu wraz z ojcem, matką i trzema siostrami. W tamtych czasach, jak sama wiesz, rodziny szlacheckie najmowały guwernantki do nauki dzieci. Takie panie pochodziły zwykle ze zubożonych rodzin szlacheckich.

Kurcewiczowie byli dość w sobie zadufani ze względu na pokrewieństwo z rodziną królewską. Chociaż niektórzy śmiali się z tego. Ojciec Stanisława, Mieczysław, nie przepuścił żadnej ładnej kobiecie, bez względu na jej stan czy pochodzenie. Matylda roześmiała się. - W zasadzie było to nawet w modzie. Matka zaś, Jadwiga, była kobietą bogobojną, do kościoła jeździła co niedzielę, nawet w pałacu była kapliczka. Ale gdy przychodziło co do czego, zmieniała się w istną heterę. Siostry też łatwych charakterów nie miały. Rozpieszczane od dziecka, zadzierały nosa i innych miały za nic. Dopiero przyjazd Elwiry wszystko zmienił. Nie od razu oczywiście, ale stopniowo. Kobieta pochodziła z Mazowsza, była uboga, ale doskonale wykształcona jak na ówczesne czasy, do tego zawsze uśmiechnięta i skora do pomocy. Nic dziwnego, że pokochali ją wszyscy. Także i Stanisław. Elwira odwzajemniała jego uczucie. Ukrywali to jednak. Dziewczyna zdawała sobie sprawę, jak wielka jest między nimi przepaść. Pewnego dnia rodzina postanowiła ożenić swego syna z córką rosyjskiego księcia, który mieszkał w Krakowie. Nadia nie była ani piękna, ani dobra, ani inteligenta. Oczywiście, próbowała na taką pozować, ale pewnych mankamentów nie dało się ukryć. Ona jedna zauważyła, że coś dzieje się między Stanisławem a Elwirą. Panna posażna była bardzo, do tego pochodziła z rodziny książęcej, więc taka partia zmarnować się nie mogła. Wówczas to dopiero Stanisław poszedł do matki i opowiedział o sobie i ukochanej. Oczywiście, wybuchła awantura,

były krzyki, płacz, szantaż. W zasadzie rodzice prawie ulegli namowom syna, jednak nie przewidzieli, jak bardzo zaborcza jest Nadia. Dziewczyna zakochała się i postanowiła chłopaka zdobyć. Naciskała swego ojca, aby zrobił wszystko, by do ślubu doszło. - Matylda sięgnęła po kubek z kawą, bo od mówienia zaschło jej w gardle. Spojrzała na wpatrzoną w nią Elkę i uśmiechnęła się lekko. - Książę zaczął kusić rodziców Stanisława posagiem córki, do tego dobrym stanowiskiem na dworze królewskim dla ojca. Rodzina Kurcewiczów już wtedy zaczęła finansowo podupadać. Kto by się oparł? Czasy były niespokojne, a w domu do wydania za mąż czekały jeszcze trzy córki. Nadii było jednak tego mało, za każdym razem, kiedy przyjeżdżała do pałacu, jak mogła dokuczała Elwirze. Poniżała ją i oczerniała. Dziewczyna miała tego dość, postanowiła wyjechać natychmiast. Zresztą ja się nie dziwię. Która kobieta zgodziłaby się patrzeć, jak jej wybranek żeni się z inną? Stało na tym, że guwernantka wyjedzie, zaś zaręczyny Stanisława z Nadią odbędą się niemal natychmiast, a na wiosnę ślub. Jadwiga postanowiła poszukać dla Elwiry innego domu, gdzie mogłaby pracować. Wówczas nadszedł do dziewczyny list od matki, w którym pisała, że córka ma jechać do Rzymu, gdyż zmarł jej stryj, który był biskupem przy papieżu. Zmarł na serce i pozostawił, właśnie Elwirze, bardzo duży majątek. Radość młodych była jednak bardzo krótka. Nadia na wieść, że Stanisław chce odwołać zaręczyny, dostała niemal szału, mimo wszystko nie wyjechała z pałacyku. Dalej uważała się za jego narzeczoną. Wyrzucić córki księcia z domu nie mogli, bo dopiero wówczas mogłoby się wszystko przeciwko nim obrócić. Zwłaszcza że książę był ulubieńcem carycy Katarzyny...

- Z tego, co kiedyś czytałam, ona samych ulubieńców miała, zwłaszcza w swojej sypialni - wtrąciła Elka, sięgając po kolejny kawałek ciasta.

- Co się dziwisz, skoro Piotr, jej mąż, nie spełniał się w tej roli? - odparła Matylda. - Dopiero kiedy przyjechał książę, Nadia zgodziła się wyjechać. Płonęła jednak chęcią zemsty. Pewnego dnia znaleziono guwernantkę martwą w łóżku. Wszelkie oznaki zewnętrzne wskazywały na otrucie. Każdy domyślił się, kto za tym stał, jednak dowodów nie mieli. Stanisław rozpaczał, z dnia na dzień znikał w oczach, aż pewnego dnia znaleziono go powieszzonego w lesie. Pochowano go na rodzinnym cmentarzu obok Elwiry.

-Straszna historia - wzdrygnęła się Wysocka. -Ale nie rozumiem, dlaczego on mi się śnił...

-To nie był sen, szuka twojej pomocy. Widzisz, chłopak, popełniając samobójstwo, trafił między ziemię a niebo, a tam Elwiry nie ma, ona została otruta. Nie targnęła się na swoje życie, więc poszła gdzie indziej.

- A niby jak ja mam mu pomóc? - zapytała poważnie Elka, chociaż nie do końca wierzyła w takie historie.

- Nie wiem. - Wzruszyła ramionami Matylda. - Może pewnego dnia sama wpadniesz na jakiś pomysł? Dolać ci kawy?

- Tak, poproszę. Muszę pójść na ten cmentarz. Gdzie on jest dokładnie? - zapytała Elka, patrząc w stronę lasu.

- Kiedy wejdiesz do lasu, o tam, przy tej krzywej sośnie, zobaczysz wydeptaną ścieżkę. Ona zaprowadzi cię na miejsce, tylko musisz uważać, bo niedaleko jest rozwidlenie dróg i można trafić na bagna, a to już niebezpieczne jest - ostrzegła.

- W niedzielę może się wybiorę, wtedy i tak nie mam nic do roboty. Jutro przyjedzie Mania, w czwartek rano Bartek, więc do tego czasu i tak nie dam rady - stwierdziła Wysocka.

- Może razem tam pójdziemy? Dawno nie byłam na tym cmentarzu - westchnęła Matylda. - Nie wiem, kto po mojej śmierci zadba o niego.

-Matyldo, nie mów mi dzisiaj o śmierci, jestem i bez tego wystarczająco zmęczona i w kiepskim humorze - odparła Ela. - Nie wiesz, czy Tomek zrobił to ogrodzenie?

-Zrobił, zrobił. Nie martw się. Około jedenastej przywieźli żerdzie i podnieśli płot o dwa szczeble. Malwina jest taka nieszczęśliwa...

- Trudno, nic na to nie poradzę. Boję się tych zwierząt i tyle. - Wzruszyła ramionami.

* * *

W czwartek od rana przychodnia była tak pełna, że część pacjentów stała na dworze. Wójt, jadąc do pracy, o mały włos nie przejechał staruszki, bo tak zapatrzył się na budynek. Żał mu było gminnych pieniędzy na dwie umowy dla nowych lekarzy, ale Kotek w końcu mu wytłumaczył, że w przyszłości mogą być z tego dla wójta niezłe profity, skoro wojewoda to kuzyn Wysockiej. W domu oczywiście pochwalił się żonie, jaki to dobry pomysł miał związany z lecznictwem w Ruczaju.

- Wiesz - powiedział, siedząc przy stole i jedząc zupełną pomidorową z ryżem, za którą nieszczęśliwie przepadał - zatrudniłem na umowę dwóch lekarzy, ginekologa i dentystę.

- No, w końcu. Taka przychodnia piękna, wyposażona, a wszystko kurzem pokryte. Aż się już dziwiłam, że nic na to nie mówi ani powiat, ani województwo - odparła Aldona, żona wójta.

-Nie kracz, kobieto, bo jeszcze jakieś nieszczęście w postaci komisji na głowę mi ściągniesz - sapnął wójt, odsuwając od siebie pusty talerz i czekając na drugie danie.

Aldona wstała od stołu, zebrała puste naczynia i wyniosła. Z kuchni dobiegło skwierczenie i zapach smażonych mielonych, te natomiast były jego ulubioną potrawą. Nawet świętej pamięci mamusia nie potrafiła tak ich doprawić jak Aldona. Coraz mniej już żałował wydanych pieniędzy na dodatkowych lekarzy, istotnie Kotek mógł mieć rację, mówiąc o przyszłych korzyściach. Trzeba będzie jeszcze zlecić wysprzątanie gminy przed przyjazdem wojewody. Prywatnie będzie czy nie, ale porządek musi być, bo na pewno będzie się rozglądał. Należy też przyspieszyć układanie chodników. Niewiele tego zostało, ale lepiej, żeby wcześniej wszystko zakończone było. Zatarł dłonie z radości. Nachmurzył się trochę, kiedy pomyślał, co tej lekarce jeszcze może przyjść do głowy. Wzdrygnął się. Nie ma co się na zapas martwić.

- Aldona, kiedy to drugie będzie?! - krzyknął w stronę kuchni.
- Zaraz, przecież surowego ci nie dam, to nie tatar! - odkrzyknęła z równą mocą.
- Cały dzień w domu siedzi i obiadu na czas przygotować nie może - gderał Marian pod nosem, bawiąc się widelcem.

- Ja ci dam siedzi! - Do pokoju weszła Aldona, niosąc na tacy talerze. - Myślisz, że ja nic innego do roboty nie mam, tylko obiadek ci szykować od rana?! - Podniosła głos rozeźlona.

Wójt aż skurczył się na krześle, wydawało mu się, że mówi cicho, ale jednak usłyszała wszystko. Musiał jak najszybciej udobruchać żonę.

-Ludzie zadowoleni, że lekarze są. - Wrócił do poprzedniego tematu.

-A co mają nie być? - stwierdziła z sarkazmem, stawiając talerz przed mężem. - Chwałą tę Wysocką, że ledwo przyjechała, a w Ruczaju już można leczyć się porządnie.

- Jak to ją? - wójt nie krył zdziwienia.

-A kogo innego? Ciebie? Wszyscy wiedzą, że to dzięki niej - odparła kobieta spokojnie, krojąc swój kotlet na małe kawałki.

- Ot, masz wdzięczność ludzką, a to przecież z gminnych pieniędzy! - żalił się.

- Ale za czyją sprawą niby? Jakbyś chciał, to sam dawno byś to zrobił. Ty uważaj, wybory za pół roku, jeszcze ona startować będzie i możesz z nią przegrać - ostrzegła.

- Chyba żartujesz! - wystraszył się wójt. - Przecież ona nietutejsza, tylko z Łodzi!

- Też mi argument - prychnęła. - W jeden dzień więcej zrobiła, niż ty w ciągu kwartału. Każdy grosz rada musi od ciebie wyszarpywać.

- A skąd ty to wszystko wiesz? - Wójt nie krył zdziwienia.

- Chodzę po wsi...

- Tylko nie po wsi, to duża gmina jest. - Przerwał jej Kryszał, pakując do ust pół kotleta naraz.

-Nie pchaj tyle, bo się udławisz - zwróciła mu uwagę. - Ruczaj praw miejskich nie ma, więc to nadal wieś - stwierdziła pewnym siebie głosem. - Poza tym radzę ci uważać na tego Kotka, wszystko z gminy wynosi...

- Swołocz jedna! Wiedziałem, że to wąż obślizgły - zaklął wójt pod nosem. - Chyba muszę go znowu do pionu postawić.

- Zrobisz jak uważasz, ale już gadają, że mu lekarka w oko wpadła. Ona wdowa, on kawaler, wojewoda jest jej kuzynem...

- Nawet nie kończ! - wrzasnął, odsuwając gwałtownie talerz od siebie. - I cały apetyt mi odebrałaś!

- Ktoś ci musi oczy otworzyć. - Wzruszyła ramionami i sięgnęła po szklanę z sokiem. - Dawno wiedziałeś, że Franek to kret jest i zawsze kopać pod tobą będzie.

- Bo nadmiar chorych ambicji ma! Ale ja mu je z tej pustej głowy wybiję raz na zawsze - zagroził.

- Taaa, akurat. Przy okazji siebie pograżysz. Idź lepiej po radę do proboszcza - doradziła.

- Teraz to żeś palnęła. Proboszcz już z lekarką sztamę trzyma - odparł rozeźlony.

- A mnie inne słuchy doszły. Ponoć już w pierwszym dniu do starcia między nimi doszło. Umoralniał ją, a jej się to nie spodobało. - Kobieta uśmiechnęła się do męża i mrugnęła okiem.

- Takie buty, powiadasz. Hm... może i rację masz. - Wójt potarł ręką czoło i na powrót przysunął sobie talerz z obiadem.

Eliza Konopko urodziła się w Ruczaju, a bieda nie odstępowała jej od najmłodszych lat. Jedyne wyjście, jakie widziała, to wyrwanie się z tej zapadłej wsi do Krakowa, bo tam były większe możliwości. Zaraz po maturze spakowała swoje rzeczy i ruszyła w drogę. Wróciła po ośmiu latach jako bogata bizneswoman.

Ojciec już wtedy nie żył, zapił się na śmierć, matka i młodsza siostra nadal mieszkały w chylącej się ku ruinie chacie. Dom wyremontowała, a do tego założyła kilka sklepów w Ruczaju. Skąd miała na to fundusze? Cała wieś spekulowała na ten temat. Jedni twierdzili, że w Krakowie bogato wyszła za mąż za jakiegoś staruszka i owdowiała, inni mówili, że ma bogatego kochanka. Eliza milczała, ale też nie dementowała plotek. Teraz stała się kimś w Ruczaju. Wszyscy się jej kłaniali, zapraszana była na wszelkie większe i ważniejsze imprezy, a nawet została przewodniczącą rady gminy.

Kiedy nieco okrzepła w rodzinnej miejscowości, postanowiła poszukać sobie męża. Nie było to łatwe, bo wymagania miała spore. Kandydat musiał nieźle zarabiać i być przystojny. A takich mężczyzn w Ruczaju nie było. Kotek? Pracował, był kawalerem i nawet zalecał się do niej, ale był tak brzydki, że nawet jej wrodzone wyrachowanie stawiało opór. Wójt? Ten żonaty był, a z jego kobietą zadzierać nie chciała, bo nieraz była świadkiem, jak zazdrosna małżonka niezły łomot spuszczała tym, które uderzały do jej męża. Był też Paweł, właściciel dużego pensjonatu, ale okazało się, że to gej. Lista potencjalnych kandydatów szybko się skończyła i Eliza zamierzała skorzystać z biura matrymonialnego lub jakiegoś serwisu społecznościowego, kiedy we wsi pojawił się Tomasz Malinowski. Wprost idealny na męża. Co prawda był wdowcem, który cały czas opłakuje żonę i dzieci, ale ból z czasem mija. Czekala cierpliwie i w końcu zaczęło jej się wydawać, że chyba zakochała się w nim. Wysoki,

rozbudowany w ramionach, z wąską talią, był dla niej niezłym kąskiem. Do tego niezwykle inteligentny i pracowity. Dzień po dniu robiła podchody, eliminowała też konkurentki, ciesząc się, że kolejne lekarki opuszczają z Ruczaj na tarczy. Nawet nie domyślała się, że to była zasługa Matyldy.

Teraz we wsi pojawiła się kolejna lekarka, widziała ją pierwszego dnia, stojąc za firanką w sklepie. Od razu zauważyła, że kobieta jest od niej starsza o kilka lat, ale też i ma coś w sobie, czego jej samej brakuje. Nie umiała tego określić, ale poczuła się zagrożona. Całości dopełnił fakt, że pani doktor namówiła wójta na przyjęcie dodatkowych lekarzy. Musiała koniecznie zacząć działać. Najlepiej poznać wroga, zaprzyjaźniając się z nim. Postanowiła zarejestrować się do Wysockiej jako pacjentka, a że była lekko podziębiona, pretekst był niepodważalny.

Wczesnym rankiem udała się do przychodni, gdzie pełno było ludzi. Jednak dzięki dobrym relacjom z Hanką miała pierwszy numer.

- Dzień dobry - powiedziała, wchodząc do gabinetu. - Dzień dobry - odparła Elżbieta, nie podnosząc

nawet głowy znad karty, w której coś notowała. - Proszę siadać. - Wskazała ręką krzesło. - Co panią sprowadza? -Spojrzała na przybyłą.

- Przeziębienie mnie dopadło - odparła Eliza.

- Pani Eliza Konopko - powiedziała Elka, czytając kartę pacjentki. - Nieczęstym gościem była pani w przychodni, na szczęście oczywiście. Przeziębienie, powiada

pani? Proszę się rozebrać, osłucham panią. - Wysocka wstała i obeszła biurko.

Eliza posłusznie ściągnęła koronkową bluzkę. Badanie nie trwało długo.

-W zasadzie nic pani nie dolega poważniejszego, wystarczy brać witaminę C i starać się uważać na zmienność pogody - powiedziała lekarka po skończonym osłuchiowaniu płuc Elizy.

-Wiosna jest zdradliwa - niezręcznie wydukała Konopko.

- Istotnie, ja sama też czuję, że chyba mnie coś łapie, więc rano połknęłam kilka tabletek, tak zapobiegawczo. Jeszcze kilka formalności musimy dopełnić, bo pani karta nie jest uzupełniona. Gdzie pani pracuje?

- W zasadzie to jestem właścicielką kilku sklepów w Ruczaju... - odparła Konopko.

- Tego na rynku też? - zapytała Elka.

- Oczywiście, była tam już pani? - Eliza próbowała nawiązać lepszy kontakt z potencjalną rywalką.

- Tak. I bardzo mi się nie podoba, jak traktuje się tam pracowników. - Elżbieta twardo spojrzała na Elizę.

- Nie rozumiem, o co pani chodzi - odparła spokojnie pacjentka.

-Nie rozumie pani? Dziwne. Jako pracodawca powinna pani zdawać sobie sprawę z przepisów, jakie obowiązują w stosunku do zatrudniania kobiet w ciąży. A z tego, co się dowiedziałam, czegoś takiego tam nie ma.

- Pani doktor ma chyba za zadanie leczyć w przychodni, a nie bawić się w inspektora pracy? - Złość zasnęła oczy Elizy.

-Jako lekarz mam obowiązek dbania o tutejszych mieszkańców, zarówno tych, którzy wypasają owce, jak i tych pracujących w sklepach czy urzędach - odparła spokojnie lekarka, patrząc Elizie w oczy. - I radzę z tym zrobić porządek, bo inaczej zgłoszę gdzie trzeba i żeby nie było tak...

Eliza nie słuchała już jej gróźb, wypadła z gabinetu, trzaskając drzwiami. Szybkim krokiem doszła na rynek i wparowała do swojego sklepu.

-Kaśka! Kaśka! - wrzeszczała od progu. - Jesteś zwolniona! - krzyknęła, kiedy dziewczyna pojawiła się, wychodząc z zaplecza i targając karton z makaronem.

-Ale dlaczego? Przecież ja nic złego nie zrobiłam. - W jej głosie słysząc było nutki płaczu.

- Nie?! A co nagadałaś tej flądrze? - napadła na nią Eliza.

-Jakie flądrze? - Dziewczyna odstawiła pudło na ladę i zaczęła skubać rękaw fartucha, w który była ubrana.

- Tej lekarce!

- Ależ nic, pani Elizo, naprawdę.

- Nic jej nie gadałaś o sobie? Że u lekarza nie byłaś? Że ciężko pracujesz? - wrzeszczała Kopko.

- Ona tak tylko pytała... - jąkała się.

- Tak tylko pytała - przedrzeźniała ją Eliza. - A ty, głupia dziewczucho, jej odpowiadałaś. Won stąd! I żebym cię więcej tutaj nie widziała! - zagroziła.

Kaśka cofnęła się na zaplecze i po chwili stała ubrana przed Elizą w wytarty, cienki płaszczyk.

- A co z wypłatą za ten miesiąc? - zapytała płaczliwie.

Eliza bez słowa podeszła do kasy i otworzyła ją jednym klawiszem.

- Masz. - Rzuciła jej pięćset złotych.

- Ale należy się tysiąc - zaoponowała Kaśka.

- Nic ci się nie należy, ty wywłoko jedna. Jak ci się nie podoba, to nie bierz. Zabieraj mi się stąd.

Elka zaprosiła Bartka i Manię na obiad. Cała trójka była zmęczona, ale zadowolona z minionego dnia. Każdy z nich przyjął wszystkich swoich pacjentów, wielu wymagało jedynie pomocy doraźnej, innych wysłali do szpitali lub placówek specjalistycznych.

W pałacyku powitała ich uśmiechnięta Matylda, która nakryła do obiadu w salonie, bo na dworze zaczęło mżyć i zrobiło się chłodno. Ku zaskoczeniu Elki przy stole pojawił się Tomek.

- Dziękuję za zaproszenie, Elu. Miło będzie porozmawiać z innym lekarzami, chociaż nasi pacjenci różnią się od siebie - powiedział, siadając koło Mani, która, obrzuciwszy go wzrokiem, automatycznie poprawiła włosy.

- E... - wydukała Wysocka, a widząc mrugającą do niej Matyldę, szybko dodała: - Nie ma za co, siadaj, proszę.

Obiad upłynął w miłej atmosferze, każde z nich opowiadało o jakimś dziwnym przypadku medycznym. Bartka bardzo zainteresowała profesja Tomka.

- Uważam - powiedział, sięgając po salaterkę z sałatą - że Tomek ma trudniej od nas.

- A niby dlaczego? - zaperzyła się Elka.

- Bo twój czy mój pacjent powie, co mu dolega, co boli. Jego zaś nie - odparł, krojąc zraz.

- Ale jest właściciel, który powie mu, jakie są objawy - odparowała Elka, odstawiając podaną jej salaterkę.

- Nie masz racji - zaprzeczył. - Właściciel powie tylko o objawach: senny, nie ma apetytu itp. Ale sam pacjent, kiedy boli go brzuch, nie złapie za niego kopytami czy łapami... Rozumiesz? - tłumaczył.

- Nie porównuj zwierzęcia do człowieka. - Elka czuła, że zaczyna przegrywać. - Jaką my mamy odpowiedzialność?

Kiedy postawisz złą diagnozę i pacjent umrze, to ciebie będą ciągać po sądach, a za zwierzę? - Próbowała jeszcze.

-Oj, Elka, nie myl tych dwóch rzeczy. Ja mówię o stawianiu diagnozy, a nie leczeniu czy odpowiedzialności karnej. - Bartek westchnął z lekkim politowaniem w głosie.

Elka siedziała sztywno, na policzki wypłynął rumieniec wstydu i upokorzenia.

Tomek zerknął na nią i uśmiechnął się nieznacznie, co nie uszło uwadze Wysockiej. Mania pilnie wpatrywała się w talerz. W końcu Bartek przerwał niezręczną ciszę, chcąc ratować sytuację.

- Elu, mogę w sobotę wpaść do ciebie z Basią i dziećmi? - zapytał.

- Oczywiście. - Odetchnęła z ulgą. - Rano?

- Tak, dawno się z Basią nie widziałaś, a Tomek może zabrałby mnie na ryby. Słyszałem, że tutaj nieźle biorą...

- Istotnie - odparł Tomasz. - Pokażę ci nawet nad naszym stawem dobre miejsca, a potem, jeśli będziesz chciał, zrobimy obchód po lesie. Rozrzuciłem szczepionki przeciw wścieklicznie... - Widząc zaniepokojone spojrzenia Elki i Mani, zaraz dodał: - Tak profilaktycznie.

Obie kobiety odetchnęły z ulgą.

- Super! - zawołał zadowolony Bartek. - W końcu po całym tygodniu ciężkiej pracy należy się nam odpoczy-

nek. Elu, o jedzenie się nie martw, przywieziemy tyle, że pół wsi wykarmisz. - Roześmiał nieco sztucznie.

- Nie ma sprawy - zgodziła się. - My we trzy będziemy się opalać. Zapowiadają słońce na weekend.

Po obiedzie Bartek pojechał do Krakowa, zaś Mańka poszła do swojego pokoju, aby rozpakować bagaż, bo planowała zostać do niedzieli.

Elka zmywała naczynia po obiedzie, Matylda wycierała je i układała w szafkach.

-Wiesz, że Eliza, ta od sklepów, zwolniła przez ciebie Kaśkę Buczmę? - zagadnęła ciotka, wstawiając szklanekę do kredensu.

- Przeze mnie? - Elka odwróciła się od zlewu i spojrzała zdziwiona na ciotkę. - Niby dlaczego?

- Ponoć Konopko była u ciebie i jej nieźle dogadałaś - odpowiedziała. - Ona zaś wściekła jak osa wpadła do sklepu i z miejsca dziewczynę zwolniła.

- Cholera - zakląła Wysocka. - Żeby wiedziała, to bym język za zębami trzymała. A ta Kaśka teraz bez pracy? - zapytała głupio i sama się zaraz poprawiła, mruczając pod nosem. - A niby jak inaczej. Hm... w przychodni nie ma sprzątaczk, Hanka sama wszystko robi, nie daje już rady. Namówię wójta, aby tę Buczmę zatrudnił. - Klasnęła w ręce. - Muszę jutro zajechać do tej dziewczyny po pracy.

- Dobry pomysł - pochwaliła Matylda. - A jak załatwisz jej tę pracę? - zapytała.

- „Kuzyn wojewoda” to magiczne słowa. - Elka roześmiała się, zaś Matylda zawtórowała jej.

Sobota przywitała Ruczaj słońcem i ciepłem, nie było najmniejszego wiatru. W dolince przy pałacu rozbrzmiewały radosne głosy i śmiech. Jedynie dzieci Basi i Bartka były zawiedzione, bo ciocia Ela zabroniła wyprowadzać konia poza ogrodzenie. Ale wspólne wędkowanie z tatą i wujkiem Tomkiem oraz pływanie łódką po stawie wynagrodziły zawód. Jak zwykle przy wielu gościach, w ostatniej chwili okazało się, że zabrakło kilku przypraw, bez których Matylda, szykując obiad, obejść się nie mogła. Elka, chcąc nie chcąc, musiała pojechać do sklepu. Nie można powiedzieć, że zrobiła to z ochotą, miała nadzieję, że nie natknie się na Elizę. Na ławeczce pod „Oscypkiem” siedzieli już stali bywalcy, którzy na widok pani doktor stanęli niemal na baczność, zdjęli czapki z głów i ukłonili się szarmancko. Elżbieta, mimo że czas ją naglił, podeszła do nich z uśmiechem.

- I jak zdrowie, panowie? - zapytała.

- Wszystko w najlepszym porządku - odparł Bukwa. - Te leki, które mi pani przepisała, bardzo mi pomogły.

- Cieszę się, ale pić pan w ogóle nie powinien. - Pogroziła mu palcem.

- Ależ pani doktor kochana, to co to by było za życie, gdyby i tę przyjemność sobie odebrać? - Walery posłał jej przepraszający uśmiech.

- Oj, panie Walery, bo się pogniewamy...

- Kochana doktorowo, jak można się gniewać na takiego jak ja sympatycznego staruszka? - odparował żartem.

Elżbieta roześmiała się i skierowała do sklepu. Kiedy miała już wejść, obróciła się jeszcze w stronę mężczyzn.

- Pamiętajcie, panowie, picie też musi mieć umiar.

W odpowiedzi ponownie się skłonili, po czym usiedli na ławce.

Elka wzięła głęboki wdech, pchnęła drzwi i weszła do sklepu. Ku jej rozpaczy za ladą stała Eliza. „Cholera jasna, ja to mam fart” - pomyślała w lekkim popłochu.

- Dzień dobry - przywitała się chłodno.

- Dzień dobry - odparła Eliza, wstała z krzesła, na którym siedziała, i odłożyła książkę. - Co podać? - zapytała sztywno.

- Proszę rozmaryn, majeranek, zioła dalmatyńskie... - Wysocka zaczęła wymieniać po kolei.

- A cóż to, gości pani ma? - zapytała obojętnym głosem.

- Tak, przyjechali i jak zwykle czegoś wówczas w kuchni brakuje. - Elka zaśmiała się nieco sztucznie.

- A Tomek pojechał już?

- Dokąd? - Elka pakowała do torby podawane jej torebki z ziołami.

- Jak to dokąd? Do zwierząt. Zawsze w soboty i niedziele gdzieś jeździ. Ale ukróci mu się to, oj ukróci. - Konopko skasowała kolejną torebkę.

- Niby dlaczego? - Elka spojrzała na nią przenikliwie.

- Jak się ożeni - odparła z satysfakcją w głosie.

- A z kim, jeśli można wiedzieć? - Ciekawość wzięła górę.

- Pani jest tu nowa, to nie wie. Aleja i Tomasz mamy się ku sobie. Rozumie pani? On przeżył wielką tragedię, a ja pomogłam mu się po niej pozbierać i... tak krok po kroku zakochaliśmy się w sobie...

- Dziwne, że jako jego narzeczona nie wie pani, co on robi w sobotę - zakpiła Wysocka.

- Miał jechać na hale do owiec - odparła pewnym siebie głosem Eliza. - Dlatego jestem trochę zaskoczona.

- Dziwne, że pani nie zaprosił do siebie...

- Dajemy sobie wolną rękę, nie możemy codziennie być razem, każdy z nas ma prawo do prywatności - odparła niezrażona. - Poza tym sama pani widzi, że pracuję.

- Dziwne... - mruknęła Elka z przekąsem. - Ile płacę?

- Piętnaście złotych trzydzieści pięć groszy.

* * *

W dolinie zapanowała błoga cisza. Po obiedzie każdy poczuł się rozleniwiony. Tomek z Bartkiem poszli dalej łowić ryby. Chcieli je upiec na wieczornym grillu, dzieci przywiozły ze sobą PS4 i podłączyły do telewizora w salonie, Matylda poszła do ogródka, popielić wschodzące warzywa, zaś Elka, Mańka oraz Basia leżały na leżakach, wystawiając twarze do słońca.

- Byłam wczoraj w galerii handlowej, nawet nie wiecie, jakie są promocje na zimowe ciuchy - powiedziała Barbara, moszcząc się w leżaku.

- A po cholere ci zimowe, jak wiosna jest? - zapytała Mańka, idąc w ślady Elki i wyciągając z torebki okulary przeciwsłoneczne.

- Na przyszły sezon, oczywiście. Kupiłam sobie kozaczki z Kazaru za bezcen dosłownie - pochwaliła się Baśka.

- Ile ten „bezcen” cię wyniósł? - zapytała Elka, mrużąc oczy pomimo okularów.

- Cztery stówki - odparła kobieta.

- Matko jedyna, ty chyba zgłupiałaś całkiem - wypaliła Mańka. - Tyle kasy? To już nie było nic tańszego?

- Moja droga, nie znasz się. To Kazar, powtarzam. W sezonie kosztowały osiemset złotych.

- Panie Boże... - westchnęła Mania.

- A co na to Bartek? - zapytała Wysocka.

- A co mu do tego? Nawet nie zauważy. On tylko o pracy myśli... - westchnęła z żalem.

- No pewnie, skoro musi ci starczyć kasy na takie fanaberie - dopiekła jej Mańka.

- Nie bój się, już on tego nie żałuje, wynagradzam mu to nocą.

- Kobieta zachichotała w odpowiedzi.

Obie jej przyjaciółki dołączyły do śmiechu.

- A ty, Elu, jak sobie radzisz z brakiem seksu? - Baśka nigdy nie potrafiła ugryźć się w język i często się zdarzało, że coś chlapnęła.

Marianna karcąco chrząknęła:

- Baśka, weź się opanuj...

- Spokojnie, Mania, mnie to nie uraziło - odparła Elżbieta. - Wraz z Markiem i chęć do seksu umarła, uwierzcie mi, nie brakuje mi tego w ogóle. Może wchodzę już w okres przekwitania? - odpowiedziała spokojnie.

- W okresie menopauzy chęć na seks wzrasta, Bartek mi mówił. - Basia odgarnęła z czoła grzywkę.

- U mnie widać odwrotnie jest - stwierdziła Elżbieta.

- A ty, Mania? Jak sobie radzisz, jak nie masz męża? - Baśka w gafach była niestrudzona.

- Hm... nie narzekam. Obecnie mam idealnego faceta, marynarza. Miesiąc go nie ma, a miesiąc jest.

- Uuu, tylko pozazdrościć - westchnęła żartobliwie Elka.

Słońce grzało mocno, kobiety pościęgały kurtki. Elka swoją zwinęła w walek i podłożyła pod głowę. Znajomy kos śpiewał wśród sosen. Senność powoli zamykała przyjaciółkom oczy. Morfeusz nadchodził.

Nie trwało to jednak zbyt długo, bo Mańkę i Baśkę z drzemki wyrwały wrzaski Elki. Obie kobiety skoczyły na równe nogi. Mańka, zaspana jeszcze, niemal się przewróciła, Basia zaś odruchowo zaczęła rozglądać się wokół za dziećmi jako przyczyną hałasu. Dopiero po kilku sekundach zorientowały się, że to krzyczy Elżbieta, a przyczyną pochylający się nad nią koń. Mania tym razem upadła na trawę, ale ze śmiechu, Barbara starała się opanować wybuch wesołości. Od strony jeziora biegł już w ich stronę Tomasz, odrzucając na bok trzymaną w ręku wędkę.

Kiedy dobiegł do kobiet, nie musiał o nic pytać, od razu chwycił Malwinę za uzdę.

- Cholera jasna, jak ona się wydostała? - zapytał retorycznie.

- Jak?! Jak?! Kogo o to pytasz? - wrzasnęła Elka, zrywając się z leżaka, w który tak się wciskała, że materiał trzeszczał.

-Uwierz, naprawdę była dobrze zamknięta, a przeskoczyć nie dałaby rady. Już wcześniej z trudem pokonywała płot, a teraz, kiedy go podwyższyłem, to po prostu niemożliwe - usprawiedliwiał się.

- Akurat! - syknęła Elżbieta.

Wysocka była wściekła. Co on sobie wyobraża? Myślała, że zawarli jakiś układ. A on konia wypuścił! Nie podaruje mu tego.

- Kochani, nie kłóćcie się. Domyślam się, kto wypuścił konia z zagrody - powiedziała Basia, wskazując na sosny, za którymi widać było płowe główki jej dzieci.

Gestem ręki przywołała je. Szły niechętnie, wiedziały, że nabroily.

-No, szybciej, moi mili - poganiała je matka. - Czy wiecie coś o koniu? - Spojrzała na dzieci groźnie.

- Nie - odparły zgodnie.

- Hm... w takim razie dzisiaj nie będziecie na ognisku, skoro nic nie wiecie na ten temat. O dziewiętnastej macie być w łóżkach - poinformowała je.

- No co ty, mammo! Przecież jest weekend! - protestowały zgodnie.

- Powiedziałam! Koniec, kropka! Skoro nic nie wiecie na temat konia. - Matka była nieubłagana.

-Bo my... bo my... ten... tego... Mamo, to my wypuściliśmy Malwinę, ale nie wiedzieliśmy, że ciocia boi się koni, naprawdę! Ciociu! - Dopadły do Wysockiej i objęły ją w pasie.

- Przepraszamy! Nigdy więcej tego nie zrobimy, naprawdę! - obiecywały.

- No, już dobrze. Wybaczam wam - odparła Elka. -Basiu, nie karz ich, skoro przyznały się i przeprosiły - zwróciła się do przyjaciółki.

Musiałowa skapitulowała. Tomasz spojrzał na Elkę z wyrzutem, także oczekiwał przeprosin, ale bez skutku. Wysocka obróciła się i z powrotem położyła się na leżaku, ignorując jego spojrzenie. Basia i Mania wraz z dziećmi ruszyły w stronę jeziora, gdzie na brzegu stał Bartek.

- Ktoś tu jest niezbyt dobrze wychowany - mruknął Tomasz, niby cicho, ale wystarczająco głośno, aby Elka go usłyszała. - Najpierw bezpodstawnie oskarża, a potem przeprosić nie potrafi. Wielka pani doktor... od siedmiu boleści.

Tego Elce było za wiele. Nie ochłonęła jeszcze po bliskim spotkaniu z koniem, a już ten... ten... doktor Dolittle ją poucza i poniza! Spojrzała na niego z wściekłością.

-Ty mówisz o dobrym wychowaniu? - zasyczała przez zęby. - A dlaczego to nie poinformowałeś swojej narzeczonej, co

dzisiaj porabiasz? Bidulka siedzi za ladą sklepową i wzdycha, tak że firanki w sklepie fruwały, jakby halny wiał.

- Że co? - Patrzył na nią, jakby nie rozumiał jej słów. - Jaka narzeczona? Zgłupiałaś?

- Panna Eliza Konopko, tutejsza piękność i niemal arystokratka - odparła Elżbieta już nieco spokojniejszym głosem. - Pytała mnie, kiedy byłam w sklepie, czy już pojechałeś do swoich pacjentów. Jakże była zdziwiona, że jesteś na miejscu. Nie omieszkała poinformować mnie, że jesteście narzeczeństwem, nie wiem, w jakim celu. Widocznie jakiś miała...

Tomasz spojrział na nią, na ustach pojawił się ironiczny uśmiech. Ujął mocniej Malwinę za uzdę.

- Widzisz, Malwinko, tak to już jest, gdy jedna jest starą panną, a druga podstarzałą wdówką. Obie chcą złapać męża, ale ich już nikt nie chce - stwierdził spokojnie, po czym odszedł wolno w stronę stajni, prowadząc za sobą konia i zostawiając w tyle osłupiałą z oburzenia Elżbietę.

Wysocka poczuła, jak łzy złości napływają jej do oczu. Więc uważał ją za podstarzałą wdówkę, która poluje na niego! To oburzające! Bezczelny chłystek! Myśli, że ona na niego poluje. Ona! Boże! Przecież dla niej istniał tylko Marek! Żaden inny, tylko Marek. Wraz z jego śmiercią umarło w niej pożądanie, umarła miłość...

Szybkim krokiem zaczęła iść w stronę pałacyku, łzy płynęły jej po policzkach, otarła je wierzchem dłoni. W drzwiach minęła się z Matyldą. Kobieta poszła za nią. Zastała ją w salonie siedzącą na kanapie.

- Co się stało? - zapytała spokojnie, siadając obok niej.

Elżbieta opowiedziała jej o wydarzeniach sprzed kilkunastu minut. Wycierała nos w podaną przez ciotkę chusteczkę.

-Widzisz, moje dziecko, wszystkie twoje poprzedniczki polowały na niego. Tak można to określić. Zbieg okoliczności chciał, że każda z nich albo była panną albo rozwódką. Oganiał się od nich, jak od uprzykrzonych much. Nie zrażały się tym. Wspólne mieszkanie sprzyjało dość częstym kontaktom, więc Tomek uciekał w pracę. Zaś Eliza... To dziwna kobieta. Piękna i zarozumiała, bogata i wpływowa, mściwa, a jednocześnie dbająca o swoją matkę i siostrę. Sama przyznaj, że Tomasz jest bardzo przystojnym mężczyzną, a co za tym idzie, podoba się kobietom. Eliza jest bardzo cierpliwa, długo klepała biedę, do bogactwa tak naprawdę doszła ciężką pracą i, mimo wszystko, szczęściem. Czy naprawdę kocha Tomka? Nie wiem, ale na pewno ubóstwia samą siebie i uważa, że należy się jej to, czego zapragnie. Myślę, że tak długo myślała o Tomku jako o swoim przyszłym mężu, że uwierzyła w to, że jest jego narzeczoną. Fakt, że kilka razy gdzieś razem wychodzili - na zabawę, spacer, ale potem nic nie było. A uwierz mi, ja bym pierwsza to wiedziała, gdyby było inaczej. Zachowanie Tomasza nie jest dziwne, choć okrutne, spodziewał się po tobie innego zachowania. Tymczasem ty nie kokietujesz go, a wręcz potrafisz go zaatakować, przypomnij sobie pająki. - Nieznaczny uśmiech zagościł na jej ustach.

Elżbieta powoli uspokajała się, a przypominając sobie Malinowskiego, skaczącego po pokoju jak pajac, sama się roześmiała.

- Ale i tak mu nie daruję! - odparła z zawziętością w głosie. - Popamięta mnie jeszcze - dorzuciła z mściwą satysfakcją.

Matylda roześmiała się i stwierdziła:

- Kto się lubi, ten się czubi. Chodź, musimy naszykować wszystko na wieczorny grill.

-Mam nadzieję, że ten... doktorek będzie miał na tyle kultury, że nie pojawi się po tym, co mi powiedział - odpowiedziała Elżbieta.

- Na twoim miejscu nie liczyłabym na to, moja droga. On będzie chciał być bliżej ciebie. Intrygujesz go.

Weszły do kuchni. Elka otworzyła lodówkę i zaczęła wyjmować warzywa na sałatkę.

- Daj spokój, mówisz tak, jakby mnie interesował, a mnie te sprawy już nie obchodzą.

* * *

Zabawa przy ognisku była bardzo przyjemna, nikt z gości nie zauważył, że Wysocka i Malinowski mają na pieńku. Dobrze to maskowali. Oboje mieli na tyle kultury, aby innych nie obarczać swoimi problemami. Jedynie dzieci dostrzegły, że ciocia jest obrażona na wujka.

Kiedy Tomasz szykował chrust na ognisko, podeszła do niego Matylda.

- Zadowolony jesteś z siebie? - zapytała, kiedy układał drzewo w zgrabny stos.

- Nie rozumiem, o co ci chodzi - odparł spokojnie.

- Typowy mężczyzna - zripostowała Matylda. - Jak mogłeś powiedzieć tyle przykrych rzeczy Elżbiecie? Co cię opętało?

- Mnie? Nic. To ona zaczęła gadać o Elizie, jakby zazdrosna była...

- Chciała ci tylko dokuczyć...

- To się przeliczyła, jak Kuba...

- Przestań. Dobrze wiesz, że niedawno została wdową, że obwinia się o śmierć męża. Ty od wielu lat nie potrafisz pogodzić się ze stratą swojej rodziny. Obwiniasz się o to, że przeżyłeś. Czy jest w tobie tak mało empatii dla niej? Naprawdę nie rozumiesz, co ona czuje, że tak bardzo ją ranisz? Rozczarowałeś mnie, chłopcze. To właśnie ty powinieneś najlepiej ją rozumieć, bo przeżyłeś to samo. Ona jest na początku tej drogi, ty na jej końcu.

- To dlaczego zaczęła gadać głupoty o Elizie i o mnie? Jakby zazdrosna była. - Wyprostował się i spojrzał na ciotkę.

-Malwina znowu ją wystraszyła, chciała się najzwyczajniej zemścić. To zachowanie typowe dla kobiet. Nie zauważyłeś jeszcze? Poza tym zapewniam cię, że jej się nie podobasz ani fizycznie, ani... - Zabrakło jej słów. - W ogóle. - Zakończyła i wróciła do pałacu.

Podczas zabawy przy ognisku, gdy Bartek zaczął grać na gitarze, Tomasz ukradkiem obserwował Elkę. Kiedy wrócił do pałacu, aby się umyć i przebrać po szykowaniu drewna, zaczął przeglądać się w lustrze znacznie dłużej niż zwykle. Przecież on podoba się każdej kobiecie. Bardzo dobrze zbudowany, czarne włosy, lekki zarost na mocno zarysowanej szczęce, wysoki. Wszystkie, które mieszkały w pałacu, latały za nim, we wsi także musiał się nieraz oganiać od ruczajank, nie wspominając o Elizie. Istotnie, czasami myślał o niej jak o kobiecie, której może pragnąć mężczyzna. Czasami nawet wydawało mu się, że byłby w stanie ją pokochać, ale wówczas przed oczami stawała mu Małgosia z jakimś dziwnym wyrzu-

tem czy skargą w oczach. Wzdrygnął się. Zresztą nie ma o czym myśleć, Elka również mu się nie podobała. Taka jakaś nijaka. Mały biust, szczupła aż za bardzo... ech. Machnął ręką do swoich myśli i poszedł na ognisko.

Późno w nocy, kiedy wszyscy szykowali się do spania, do pokoju Elki weszły dzieci Basi.

- Ciociu...

-Co, kochani? Coś się stało? - Podeszła do nich i spojrzała uważnie na zatroskane buzie.

- My wiemy, że zła jesteś na wujka Tomka, prawda?

- Hm... nie do końca, po prostu trochę mnie zdenerwował, ale już wszystko w porządku - zapewniła ich.

- Kurczę... - Zatroskał się dziesięcioletni Łukasz.

- Coś się stało? - Elka spojrzała na chłopca uważniej. - Siadajcie na kanapie i wszystko mi opowiedzcie. Widzę, że coś was trapi.

-No bo my podsłuchaliśmy twoją rozmowę i cioci Matyldy, a potem zapytaliśmy wujka Tomka, czy lubi pająki. On powiedział, że to najbrzydsze stworzenia na świecie - wyrzucił jednym tchem Łukasz.

- A niedawno w Krakowie było takie objazdowe zoo i tam były pająki - przerwał mu Jasiek. - Mama kupiła nam taki cały zestaw. Mówię ci, ciociu, wyglądają jak prawdziwe. Wzięliśmy je tutaj ze sobą, bo chcieliśmy zrobić im w naturze zdjęcia i pokazać w klasie, na pewno wszyscy uwierzyliby, że są prawdziwe. No i my te pająki włożyliśmy wujkowi do łóżka, żeby się zemścić za ciebie. Ale to chyba nie był dobry pomysł, co?

- Matko jedyna! - Elka zerwała się z kanapy. - Trzeba je natychmiast stamtąd zabrać, bo on mnie zamorduje!

Dopadła do drzwi, otworzyła je. W tym momencie dobiegł z dołu okropny, głośny męski wrzask. Elka zamar-

ła. Za późno. Cofnęła się do pokoju i z powrotem przysiadła na kanapie. Po chwili usłyszała szybkie i ciężkie kroki na schodach. Do jej pokoju wpadł rozjuszony Tomek, z całą siłą rzucił w jej kierunku garść gumowych pajaków.

- Tobie jednak odbiło! A ja się już zacząłem litować nad biedną wdówką. Ależ ze mnie idiota.

- Tomek, to nie tak... - próbowała się tłumaczyć, ale na darmo.

- Zapowiadam ci, wariatko, że Malwina będzie chodzić gdzie będzie chciała i kiedy będzie chciała. Guzik mnie obchodzi to, że się boisz koni. Jak ci nie pasuje, to się stąd wynoś! Co za paskudny babsztyl! - Obrócił się na pięcie i, nie czekając na jakiegokolwiek wyjaśnienia, z równym hałasem opuścił pokój.

Elżbieta ciężko westchnęła.

- Ciociu, przepraszamy. Naprawdę chcieliśmy dobrze... - Jasek przytulił się do niej, pogłaskała go po głowie.

- Wiem, kochanie. Idźcie już spać, późno jest. Jutro wszystko się wyjaśni - obiecała.

W niedzielę okazało się jednak, że już wczesnym rankiem Tomek z Bartkiem ruszyli do lasu. Dziewczyny zaś były na spacerze, potem się opalały i poszły do kościoła. Dzieci po dobrym śniadaniu szybko zapomniały o nocnym incydencie, szczęśliwe, że ciotka ich nie wydała, bo kara na pewno by ich nie ominęła.

Na obiedzie był tylko Bartek, bo Tomek został wezwany do jakiegoś chorego zwierzęcia. Wieczorem goście zaczęli się rozjeżdżać. Elżbieta wraz z Matyldą szybko uporały się z doprowadzeniem pałacu do stanu używalności. Wysocka nie miała ochoty na wieczorną pogawędkę, czuła się znużona. Szybko poszła spać.

W poniedziałkowy ranek nie widziała się z Tomkiem, co było jej nawet na rękę. W przychodni był tłum pacjentów, więc

szybko zaczęła ich przyjmować. Około jedenastej zrobiły sobie z Hanką przerwę na kawę.

- Słyszałam, że miała pani gości w weekend? - zagadnęła pielęgniarka, sadowiać się na krześle przeznaczonym dla pacjentów.

- Tak, było naprawdę super, ale mimo to czuję się bardzo zmęczona. Nie jestem przyzwyczajona do tylu ludzi naraz wokół siebie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

- Rozumiem, ja też za tym nie przepadam i staram się unikać. Jedynie w święta muszę przez to obowiązkowo przejść, kiedy zjeżdża się cała rodzina.

- Ja na szczęście mam tylko córkę, bo mąż... - Zamilkła.

- A teściowa? - Hanka nie wyczuła, że to drażliwy temat i brnęła dalej.

- Nigdy nie miałam z rodziną męża dobrych relacji. I powiem szczerze, że nigdy mi na ich opinii nie zależało. Marek i Majka byli całym moim światem, no i Beata, mój dobry duch z domu dziecka.

- Widzę, że niełatwe miała pani życie. Ale tak to już jest. Jedni rodzą się w czepku, inni mają kulę u nogi - stwierdziła Hanka.

Wstała z krzesła i podeszła do okna z filiżanką kawy w dłoni.

- O, widzę, że Eliza jedzie do Krakowa do stylisty - zauważyła.

- Skąd pani to wie? - zapytała Elżbieta na pozór obojętnym głosem.

- Bo jest poczochna - roześmiała się. - A to oznacza jedno.

-Tutaj wszyscy o wszystkich wszystko wiedzą -stwierdziła lekarka z sarkazmem.

- Nie ma się co dziwić, pani doktor, Ruczaj wielki nie jest. Zaś Eliza jest znana wszystkim, zwłaszcza z... - Nie dokończyła, bo do drzwi gabinetu ktoś zapukał. - Proszę.

Do gabinetu wszedł niewysoki mężczyzna, trzymając w ręku pomiętą gazetę.

- Dzień dobry, chciałem tylko prosić o receptę, bo mi się leki skończyły, a zaraz jest autobus do Zakopanego.

- Panie Gwidoń, chwileczkę. Pani doktor zaraz wypisze, ja pamiętam o panu - przerwała mu pielęgniarka.

Kiedy wyszedł, Elżbieta chciała usłyszeć zaczęty wywód na temat Elizy. Nie wiedziała, jak nawiązać do poprzedniej rozmowy.

- A wracając do Elizy, to nie da się ukryć, że lata za naszym doktorkiem... - dokończyła Hanka.

- Jak to lata? - Elka udała, że nie wie, o co chodzi.

- Chce za niego za mąż wyjść. To najlepsza partia w Ruczaju, a ona swoje lata już ma, nie da się tego ukryć.

- Ładna jest, to trzeba przyznać - zauważyła bohatersko Elka.

-Fakt, ale nasz Tomaszek nie garnie się do tej żeniaczki. Owszem, spotykają się od czasu do czasu, ale chyba nic z tego nie wyjdzie. On ciągle rozpamiętuje o swojej rodzinie. - Hanka podała lekarce kartę Gwidonia, aby mogła spisać na recepcie leki.

- Z czasem na pewno się im ułoży...

-E... wątpię. - Hanka wzięła do ręki wypisane recepty, otworzyła drzwi gabinetu. - Panie Gwidoń, proszę te recepty. - Podała je mężczyźnie.

Nim zdążyła zamknąć drzwi, do pokoju wpadł czternastoletni chłopak, spocony i zdenerwowany.

- Artur, co się stało? - zapytała Hanka, bo widziała, że trudno mu wypowiedzieć słowo, był roztrzęsiony.

- Kaśka... Kaśka, pani Haniu! - wykrztusił w końcu.

- Rodzi?

-Tak! Poszła wydoić na pastwisku krowę, poszedłem z nią, aby pomóc jej wiadra przynieść, a ona raptem zaczęła krzyczeć i padła na trawę!

- Szybko, pani Haniu, moja torba lekarska. Jedziemy. Proszę pacjentom powiedzieć, że resztę przyjmę po piętnastej. Zadzwoń pani jeszcze po pogotowie - zarządziła Wysocka. - Gdzie to pastwisko? - zapytała Artura.

- Ja pokażę, jak dojechać, bo i tak pani nie będzie wiedziała, gdzie to jest - odparł rezolutnie.

- Dobrze, to idziemy.

* * *

- Uff, nareszcie można się w spokoju kawy napić -stwierdziła z ulgą Elżbieta, siedząc z Matyldą na werandzie i pijąc kawę.

- Słyszałam, że ciężki dzień dzisiaj miałaś -stwierdziła kobieta, podsuwając Wysockiej dzbanuszek z mlekiem.

- Istotnie. Odebrałam na łące poród tej Kasi Buczmy. Śliczną dziewczynkę urodziła i zamiast się cieszyć, że wszystko sprawnie poszło, to płakać zaczęła...

- Pewnie z radości - stwierdziła Matylda.
- Taaa z radości, akurat... Z rozpaczy, bo pracę straciła, ten jej chłopak od dwóch tygodni nie odpowiada na SMS-y i telefony, ciągle ją zbywa. Boi się, z czego utrzyma siebie i córkę...
- Znając ciebie, domyślam się, że rozwiązanie już znalazłaś? - Matylda uśmiechnęła się pewnie.
- Oczywiście. zaproponowałam jej pracę w przychodni w roli sprzątaczk. Zgodziła się. Karetką odjeżdżała już szczęśliwa.
- Swoją drogą, to Eliza po świńsku postąpiła - zauważyła Matylda.
- Fakt. Niestety, z mojego powodu, więc jakkolwiek było, miałam wyrzuty sumienia. A swoją drogą, w Ruczaju nie ma apteki? - zapytała Elka, przypominając sobie Gwidonia.
- Ano nie ma, to kolejny problem. Powiem ci szczerze, że się dziwię, bo i turyści tu są, i mieszkańcy, a nikt o tym nie pomyślał... - Matylda spojrzała na Wysocką, a widząc jej zamyśloną twarz, uśmiechnęła się ukradkiem. - Czyżby kuzyn wojewoda miał już kolejne zadanie?
- Zgadłaś, tym bardziej że mam koleżankę, która w Krakowie prowadzi swoją aptekę, może zechce i tutaj otworzyć kolejną - odparła z lekkim przekąsem.
- Wszyscy by na tym skorzystali, moja droga.
- Wiem.
- Swoją drogą, odkąd tutaj jesteś, sporo się zmieniło na korzyść. Jesteś właściwą osobą we właściwym miejscu. Ruczaj czekał na ciebie. - Matylda położyła swoją dłoń na ramieniu Elżbiety.
- Zdaje ci się. Sama już nie jestem pewna niczego - westchnęła.
- Zobacz, ile się już wydarzyło, odkąd tu jesteś - przekonywała ją Matylda.
- Nie zauważyłam - odparła skromnie.
- A twoja wizja z Markiem?

- Jaka wizja? Zwykły sen. Zmęczona byłam i po prostu przysnęłam. - Wzruszyła ramionami.

-Nie zauważyłaś, że masz dar? Masz wizje, widzisz duchy... Posłuchaj mnie uważnie. Nie trafiłaś tutaj przez przypadek. Bóg pokierował twoim losem. Masz tu wiele do zrobienia, a dodatkowo musisz pomóc zabłąkanym duszom. Ja wiedziałam, że tu przyjedziesz, czekałam na ciebie...

- O czym ty mówisz? Jakie duchy? Jaka misja? -prychnęła w odpowiedzi.

-Dowiesz się wszystkiego w swoim czasie i zrozumiesz - odparła Matylda nieco tajemniczo. - A teraz delektujmy się wyjątkowo ciepłym popołudniem, a w zasadzie wieczorem. Wszystko w swoim czasie.

- Nie wiem, ile z tego delektowania wyjdzie, patrz, kto idzie. - Głową wskazała na ścieżkę, którą kroczył ksiądz Wojciech.

- Ten to usiedzieć na miejscu nie może, chyba przed Aurelią ucieka, bo ona potrafi dać popalić. - Matylda zachichotała.

- A mnie się ona spodobała. Energiczna, wszystko trzyma twardą ręką. I dobrze - zauważyła Elżbieta.

- Oczywiście, ja temu nie zaprzeczam, ale nie znasz jeszcze jej tak jak ja. Potrafi pokazać rogi. Wiele w życiu przeszła, ale o tym potem.

Ksiądz był od nich zaledwie parę metrów.

- Szczęść Boże - przywitał się, unosząc biret.

- Bóg zapłać. Co cię sprowadza? - Matylda wskazała mu krzesło. - Siadaj.

-Dzwoniła do mnie mama Kasi Buczmy. Ponoć córeczkę urodziła... - sapał, siadając przy stole.

- Spokojnie, zadyszki dostałeś, oddychaj głęboko. Masz tu wodę, napij się. Może kawy albo ciasta? - zaproponowała Matylda.

- Nie, dziękuję, ale twoją nalewką z jeżyn nie pogardzę. - Uśmiechnął się.

- Ty wiesz, co dobre. - Matylda roześmiała się. - Już idę. - Wstała i weszła do pałacyku.

Ksiądz zdjął biret i położył go na stole obok dzbanka z kawą.

- Wyjątkowo ciepło dzisiaj - zauważył.

- Faktycznie, ale to dobrze. Zima wszystkim dała się we znaki - odparła Elżbieta.

-Istotnie, wyjątkowo mroźno i wietrznie było. A wracając do tematu. Słyszałem, że pani naszej Kasi pomogła. - Spojrzał na Elżbietę, w jego oczach zauważyła podziw i podziękowanie. - To naprawdę dobre dziecko, ale i zarazem biedne...

- Chyba wiem, do czego ksiądz zmierza. - Na ustach Elki pojawił się uśmiech.

- E... ja... - Ksiądz zaczął się jąkać.

- Będzie miała pracę w przychodni i... może w aptece. - Szybko odparła Wysocka.

- Ale u nas nie ma apteki - zauważył Wojciech.

- Na razie nie ma, ale będzie, Ela o to zadba - odpowiedziała Matylda, która weszła na werandę z butelką nalewki i trzema kieliszkami w ręku.

- Jak to? - zdziwił się proboszcz.

- Ela założy u nas aptekę - odparła Matylda z uśmiechem. - Nie ma co się dziwić, sam wiesz, że potrzebna jest.

-Oczywiście, że jest niezbędna. Nikt nie będzie musiał do Zakopanego jeździć, a i dla turystów to dodatkowy atut. - Ksiądz Wojciech nie krył zadowolenia. - Może więcej szczegółów podacie?

- A o czym tu mówić? - Matylda wzruszyła ramionami.
- No jakże?! - ksiądz Wojciech nie krył oburzenia. -Dobrze, ale wpięrow napij się nalewki. - Kobieta rozlała do kieliszków ciemnoczerwony, niemal czarny aromatyczny płyn.

Wojciech z lubością uniósł kieliszek, chwilę delektował się aromatem i spróbował.

- Uwielbiam ten nektar - wyszeptał.

-On ma prawie czterdzieści procent - zauważyła Matylda.

-1 to jest najwspanialsze - stwierdził pewnym głosem.

Dalsza rozmowa dotyczyła samej gminy. Elżbieta zauważyła, że Matylda i Wojciech prezentowali wszystkie słabe punkty Ruczaju. Odniosła wrażenie, że to zmowa, która ma na celu ukierunkowanie jej. Uśmiechała się do swoich myśli i słuchała z lekkim politowaniem. Jej umowa opiewała na rok! I nie zamierzała jej przedłużyć. Pieniądze ze sprzedaży mieszkania w Łodzi, ubezpieczenie za Marka, wszystko to umieściła na lokatach. Za rok będzie miała wystarczająco pieniędzy, aby bez kredytu kupić mieszkanie w Krakowie. O pracę się nie obawiała, takich jak ona lekarzy wszędzie poszukiwali. Młodzi wyjeżdżali za granicę. Ona nie miała tam czego szukać. Przecież w Polsce mieszkała jej córka i przyjaciele...

Sobotni poranek był pochmurny. Elżbieta otworzyła oczy i spojrzała za okno. Krople deszczu spływały powoli, łącząc się i tworząc miniaturowe strumyki. Jeszcze wczoraj było słońce niczym w lipcu, a dziś? Elżbieta obróciła się na bok i patrzyła na okno. Majka miała przyjechać, ale w ostatniej chwili musiała zmienić plany. Mańka poznała jakiegoś faceta i była nim zauroczona. Co ona, Elżbieta, ma dzisiaj robić? Sprzątać? Przecież jest czysto. Gotować? Dla kogo? Chyba poczyta albo w internecie posurfuje.

Toaleta poranna nie zajęła jej wiele czasu. Matyldy nie było, bo zapowiedziała dzień wcześniej, że musi jechać do sąsiedniej wsi, do swojej przyjaciółki. Śniadanie zrobiła sobie dość skromne, nie z borku czasu, ale z lenistwa. Wrzuciła parę ubrań do pralki. Wyszła do ogrodu, gdzie zakwitły pierwsze wiosenne kwiaty. Patrzyła na nie i wdychała głęboko rześkie powietrze. Krople deszczu błyszczały nieśmiało w promieniach przebijającego się słońca. Elka przechadzała się alejkami, patrząc na grządki ziół, warzyw i kwiatów, które zasadziła Matylda. Spojrzała na las rozciągający się za ogrodzeniem. Przed nim rozpościerała się niewielka łąka, pokryta pierwszą soczystą trawą. Zaś po łące spokojnie przechadzała się Malwinka. Elka stanęła jak skamieniała. No nie! Tego było za wiele. Tomek złamał wszelkie układy! Zwierzak, widząc kobietę, z radosnym parsknięciem zaczął szarżować w kierunku... bardzo niskiego płotu. Wysocka na chwilę odzyskała zimną krew i chwyciła oparte o jabłonkę grabie.

- Spróbuj, cholero, przeskoczyć ten płot! A tak cię zdzielę, że nawet twój weterynarz ci nie pomoże! - zagroziła, wywijając grabiami w powietrzu.

Malwinka stanęła, przechyliła łeb i parsknęła, po czym zarżała.

- Jeszcze się śmiejesz?! - Elka postąpiła krok do przodu. - Jak cię twój pan nie umie upilnować, to chyba ja to zrobię. Ale tak, że nigdy nie będziesz chodzić swobodnie!

- Czego ty od rana się tak drzesz?! - Elżbieta usłyszała za sobą głos Tomasza, a po chwili i jego kroki. Obróciła się z impetem.

-Posłuchaj, doktorku, obiecałeś, że to bydlę nie będzie chodziło swobodnie. O mały włos, a przeskoczyłaby ogrodzenie. Nie jest dla niej żadną przeszkodą!

-Nie przeskoczyłaby - stwierdził pewnym siebie głosem mężczyzna.

- A właśnie że tak, tylko te grabieżą zatrzymały. - Elka wskazała na narzędzie, które nadal dzierżyła w dłoni.

- A ja ci mówię, że nie przeskoczyłaby, bo wie, że tutaj nie wolno. Matylda kiedyś jej wytłumaczyła i Malwinka tego się trzyma.

- Ty chyba zgłupiałeś, koń rozumie, że nie wolno? -Elka zakpiła. - To czemu nie rozumie, że ma do mnie się nie zbliżać?

- Bo chyba cię polubiła i to sam nie wiem, dlaczego. Bo w zasadzie to ty wredna jesteś. - Tomek stanął przy płocie i pogłaskał wesoło parskającą klacz.

- Bezczelny jesteś. A ja mam tego dosyć. Nie tego spodziewałam się tutaj. Chciałam odpocząć, spróbować zapomnieć chociaż na chwilę o tym, co mnie spotkało, a muszę... - Elka nagle rozplakała się.

Tomasz spojrział na nią zaskoczony. Nie wiedział, jak zareagować.

- E... no co ty, Ela? Ja zaraz zaprowadzę ją do stajni, musiałem wczoraj źle zamknąć drzwi. Przepraszam...

jąkał się, przestępując z nogi na nogę jak uczeń, który kaja się przed nauczycielem.

-Gdzieś to mam. Wszystko mam gdzieś! - Elka krzyknęła w odpowiedzi i pobiegła do pałacyku.

Tomasz patrzył za nią nierozumiejącym wzrokiem.

- Chyba, Malwinko, przesadziliśmy, wiesz? - szepnął do konia, przeskoczył płot i poprowadził zwierzę do stajni.

Elka siedziała w bibliotece w wielkim, wyściełanym czerwonym aksamitem fotelu. Wstydziła się słabości, którą okazała Tomkowi. Szukała usprawiedliwienia, ale nic rzeczowego nie przychodziło jej do głowy. Analizowała swoją postawę, fakt, że ostatnie miesiące wywróciły jej życie do góry nogami i nie potrafiła się z tym uporać. Jednocześnie zaczęła rozumieć postawę Malinowskiego. Tyle lat był sam, pewnie ciągle rozpamiętywał swoje życie, ostatnie chwile, które spędził z rodziną. Ona sama była w nieco lepszej sytuacji, miała Majkę, on nikogo. Wstała z fotela, kiedy usłyszała, że Tomasz wyjeżdża swoim samochodem. „Pewnie ma wezwanie - pomyślała. - Co dzisiaj mam robić? Nawet przyjaciół czy znajomych tutaj nie mam”.

Nie, nie może rozczulać się znowu nad sobą. Trzeba wziąć się w garść!

Nagle usłyszała, że samochód Tomka wraca, wyjrzała przez okno. Istotnie weterynarz cofał autem. Zatrzymał się przy oknie, przez które wychylała się Elżbieta.

-Jak nie masz nic pilnego do roboty, to może zechcesz ze mną pojechać? Mam wezwanie do krowy, która się cieli, a żona właściciela ponoć ostatnio niedomaga, to może byś ją zbadala? Przy okazji zobaczysz piękne widoki - zaproponował.

W pierwszej chwili chciała odrzucić ofertę, jednak, ku swemu zaskoczeniu zgodziła się. Wzięła z sypialni torbę lekarską, na ramiona zarzuciła kurtkę.

Droga do zagrody Kociubów prowadziła przez las, Elka szybko stwierdziła, że jej samochód nie poradziłby sobie z tymi wybojami.

- Dość daleko mieszkają - stwierdziła, aby przerwać niezręczną ciszę.

-Fakt, daleko i wysoko. Nie wiem, czy zauważyłaś, ale cały czas jedziemy pod górę. Zaraz coś ci pokażę. - Uśmiechnął się i zatrzymał auto. - Chodź - polecił.

Elka wysiadła. Tomek nieoczekiwanie wziął ją za rękę i zaczął prowadzić. Nie oponowała. Miał ciepłą i gładką skórę.

Przedzierali się przez krzewy jaśminu, co zdziwiło Elżbietę, potem przeszli niewielki brzozowy zagajnik. Nagle oczom kobiety ukazał się najwspanialszy krajobraz, jaki kiedykolwiek widziała. Zaparło jej dech. Tomasz pewnym krokiem skierował się ku kamiennej ławce i pociągnął ją za sobą. Elka usiadła i patrzyła zachwycona na panoramę Tatr. Część zboczy porośnięta była drzewami liściastymi, które o tej porze roku były soczystozielone, na kilku szczytach widać było jeszcze śnieżne czapy.

- Wspaniałe - szepnęła bardziej do siebie niż Tomka.
-Najpiękniej jest tutaj jesienią, takiej gamy barw nie zobaczysz nigdzie. To moje ulubione miejsce, a tam -wskazał sosnowy zagajnik - za tymi drzewami jest mały, drewniany domek. Często tu nocuję, gdy poczuję potrzebę samotności.

- Prawie go nie widać - zauważyła Elka.

- Tak, dobrze jest zamaskowany - potwierdził.

-Nadal tęsknisz za swoją rodziną tak samo mocno? - zapytała znienacka.

- Tak, bardzo za nimi tęsknię. Nie mogę się z tego otrząsnąć. Ty mnie na pewno rozumiesz, przeszłaś coś podobnego. Chciałem cię przeprosić za Malwinę i w ogóle za wszystkie złośliwe uwagi na twój temat. - Tomek patrzył przed siebie.

- Nie ma sprawy - mruknęła. - Ale powiedz... czy ten ból nigdy się nie zmniejszy?

- Po latach jest inny, ale czy mniejszy? Nie wiem, to chyba zależy od każdego z nas, jak to przeżywamy, rozpamiętujemy. Ja do tej pory słyszę krzyk Małgosi i płacz dzieci, potem były oślepiające światła, szcęk gniecionej maski samochodu i cisza, która zaległa po wszystkim. Kilka razy po wyjściu ze szpitala chciałem skończyć ze sobą, ale zawsze coś mi w tym przeszkodziło. Teraz wiem, że to Małgosia, ona ingerowała. Ostatnio śniła mi się, chociaż sam nie wiem, czy to był sen, czy jawa. Powiedziała, że moja rozpacz nie pozwala jej i dzieciom odejść w spokoju, że mam z tym skończyć... - Przerwał nagle i spojrzał na Elkę, która pośpiesznie wierzchem dłoni starła z policzków łzy.

- Przepraszam cię, ale to, co opowiadałeś, jest takie podobne do tego, co ja czuję. Mój ból wciąż jest świeży, gdybym Marka nie wysłała do sklepu, dziś żyłby i byłabym z nim - westchnęła.

-No, pani doktor, koniec ze smutkami, musimy jechać, czekają na nas. Oficjalnie pozwalam ci korzystać z mojej samotni. - Tomasz próbował rozładować napięcie.

-Dziękuję, ale moim samochodem to ja tutaj nie dojadę, a na piechotę to dość daleko - stwierdziła.

- Przyznam się, że oglądałem już dla ciebie auto, jeepa. Sprzedasz to swoje i będziesz mogła kupić terenówkę. W naszym zawodzie i w takich warunkach to niezbędny samochód.

- Masz rację. Pomożesz mi w sprzedaży i kupnie, jak rozumiem?

- Oczywiście. A teraz chodź, jedziemy. U Kociubów też jest pięknie, sama zobaczysz.

Istotnie zagroda położona była w malowniczym miejscu, otoczona lasem, niemal przez środek gospodarstwa płynął strumyk. Na powitanie wyszedł Kociuba wraz z żoną. Tomasz przedstawił ich Elżbiecie, po czym od razu zniknął z gospodarzem w oborze, skąd dochodziły głośnie ryki krowy.

- Pani Walerio. - Elżbieta zwróciła się do kobiety. - Tomek mówił, że pani niedomaga, przyjechałam, aby panią zbadać...

- Kto niedomaga? - zdziwiła się Kociubowa. - Ja?

- No tak, pani. Tomek mówił, że...

- Nie wiem, co tam doktorek powiedział, ale ja nie pamiętam, kiedy ostatni raz nawet katar miałam. Chodźmy do domu, bo zimno dzisiaj. Upiekłam pyszne ciasto, kawy zaraz zrobię, porozmawiamy sobie. Rzadko mam okazję z inną kobietą rozmawiać. Do nas za daleko, żeby ktoś przyjechał w odwiedziny, a i ja już za stara na piesze wędrówki, raz w tygodniu bratanek zakupy mi przywozi.

Udały się do niewielkiego drewnianego domku, usiadły w kuchni i zaczęły rozmawiać. Elżbieta nawet nie zauważyła, kiedy minęły cztery godziny, zanim ponownie zobaczyła Tomka. Wyszła na podwórko. Mężczyzna mył się w strumyku.

- 1 jak tam? - zapytała.
- Wszystko dobrze, mamy jałoweczkę. Mała jest zdrowa, a mama czuje się świetnie - odparł, parszkając głośno i otrząsając się z wody.
- To dobrze - ucieszyła się. - Czas już chyba wracać - zauważyła.
- Nie, jeszcze obiad zjemy.
- Nie myślisz chyba kłopotów gospodarzom robić? -zaoponowała Elżbieta.
- To spróbuj jej odmówić, życzę powodzenia. - Roześmiał się, zakładając koszulę. - Chodź, idziemy. - Wziął ją pod rękę i poprowadził do domu.
- Już miałam was wołać - przywitała ich Waleria. -Kaczusia gotowa, ziemniaki też. Siadajcie, państwo, jeszcze tylko swojego muszę z obory wyciągnąć...
- Nie wiem, czy się pani uda. - Roześmiał się Tomasz. - Cały czas tam klęczy i głaszcze swoją dziewczynkę.
- Z nim tak zawsze, nawet jak nam kaczką młode wyprowadziła, to łaził za nią po łące i pilnował, aby jastrząb nie zaatakował. - Waleria zaśmiała się i wyszła na podwórko.
- Pyszna ta kaczka - stwierdziła Elżbieta z zadowoleniem. - Dawno tak dobrej nie jadłam.
- Bo wszystko zależy od tego, czym ptaka karmisz. Kociubów nie za bardzo stać na sztuczną paszę, więc karmią resztkami ze swojego stołu.
- Ta surówka też jest pycha - odparła Elżbieta z pełną buzią kapusty.
- Oj, tak. Uwielbiam jeść u nich - przytaknął Tomasz.
- Niedziela obudziła Elżbietę słońcem. Z lubością przeciągnęła się w łóżku. Z dołu dochodziła ją krzątanka Matylda. Z ociąganiem wstała i narzuciła na siebie szlafrok.
- Dzień dobry - przywitała ją w kuchni Matylda.
- Dzień dobry - odparła Elka, siadając przy stole.

- Co zjesz na śniadanie?
- A co mam do wyboru?
- W zasadzie to jajecznicę. Tyle wczoraj oboje jajek przywieźliście od Kociubów, że trzeba je jakoś zużyć -odparła Matylda, wyciągając patelnię. - Tomek zaraz do nas dołączy. Elka spojrzała na nią niechętnie.
- Kurczę, to muszę się ubrać, a nie chce mi się - stwierdziła Wysocka.
- E... bez ceregieli, on też w starych portkach lata od rana. - Wzruszyła ramionami Matylda. - Co dzisiaj planujesz robić?
- Sama nie wiem. Powiem szczerze, że liczyłam na przyjazd Majki. Ale jest tak zakochana w tym swoim narzeczonym, że samotna matka przestała się dla niej liczyć - Elżbieta odparła z przekąsem.
- To może przejdiesz się na ten cmentarzyk, gdzie rodzina Kurcewiczów leży? Trzeba by tam trochę opielić, a ja czasu dzisiaj nie mam... - zaproponowała Matylda, wbijając kolejne jajko do miski.
- Wiesz, to dobry pomysł - przyznała jej rację Elka.
- Cześć. - W progu kuchni stanął Tomasz. Istotnie, miał na sobie tylko spodnie od dresu, nagi tors przyciągnął spojrzenie Wysockiej, a złapana na tym, że mu się przygląda, splonęła rumieńcem.

Droga na cmentarzyk wiała się pośród starych sosen. Elka zadarła głowę do góry i patrzyła, jak korony drzew pochylają się pod wpływem wiatru. Ich szum działał na nią kojąco. W plecaku przerzuconym przez ramię miała mały szpadek, grabki i dwa znicze, które Matylda wcisnęła jej w ostatniej chwili.

Idąc, zauważyła sporej wielkości jagodowisko. Zdziwiła się, że gdzieś tam widać już fioletowe kuleczki. Przystanęła i schyliła się, wyciągając po nie rękę. „Pyszne” - stwierdziła w myślach. Po chwili łasuchowania ruszyła dalej. Las nagle zgęstniał, drzewa rosły bliżej siebie, trawa też zdawała się jakby bujniejsza i wyższa, do tego całe połacie paproci utrudniały marsz. Szum ustał. Elka odwróciła głowę w prawo, bo wydawało jej się, że kogoś zauważyła. Zmrużyła oczy, żeby lepiej widzieć. Istotnie, między drzewami chodziła młoda kobieta w dziwnej sukni, jakby z innej epoki.

-Halo! - Elka pomachała ręką w jej stronę, ale kobieta nie zareagowała, w dłoni trzymała wiklinowy koszyk i co chwilę schylała się, jakby coś podnosiła z ziemi. - Halo! - zawołała kolejny raz.

Nagle, kiedy ponownie spojrzała, kobiety już nie było. Wysocka wzruszyła ramionami i poszła dalej. Z daleka dostrzegła niski drewniany płotek i kilkanaście drewnianych krzyży. Podeszła bliżej. Była na miejscu. Pośrodku cmentarzyka stał wielki, betonowy grobowiec. Widać było, że napisy na nim niedawno ktoś odnowił, nie były zarośnięte mchem. Przeszła przez płotek i zaczęła spacerować wśród grobów. Odczytywała imiona, nazwiska i daty pochowanych tu ludzi. Szczególne wrażenie zrobił na niej niewielki kopiec, na płycie wbitej w ziemię widniało nazwisko „Buczał Dominika, Jan, Dorota, Krystyna, Dominik”. Pod spodem data śmierci jednakowa dla wszystkich, jedynie lata urodzin były inne. Widocznie była to matka z dziećmi, musieli zginąć tragicznie.

Elka wzdygnęła się. Kolejny nagrobek także był niewielki, kucnęła, aby przeczytać napis. Elwira Os..., dalej był nieczytelny, kawałek tablicy ukruszył się, brakowało też daty urodzin i śmierci.

- Pewnie to ta guwernantka - powiedziała do siebie Elka, kucnęła i wyjęła plecaka grabki. - Faktycznie mały porządek tu się przyda.

Na końcu podeszła do wielkiego grobowca, wokół którego rosły polne kwiaty, małe i niepozorne. Nie dziwiło jej to nawet, gdyż las wokół nie przepuszczał prawie słońca. Usiadła na kamiennej ławce i powoli odczytywała nazwiska zmarłych, oprócz Kurcewiczów pochowani byli także Łozy-rowie, w sumie leżało tu dziesięć osób, w tym Stanisław.

- Dziwne - powiedziała do siebie. - Matylda mówiła, że pewnie jego widziałam, bo szuka Elwiry, a ona przecież też tu leży. Chyba że są w innych przestrzeniach... Matko jedyna, co ja za głupoty plotę, i to sama do siebie. - Roześmiała się.

- Dzień dobry... - Usłyszała nagle za swoimi plecami i aż podskoczyła ze strachu, obróciła się.

- Dzień... - Głos uwiązał jej w gardle.

Za nią stał ten sam mężczyzna, którego widziała u siebie w pokoju. Odruchowo przeżegnała się.

- Czy widziała pani Elwirę? - zapytał nieznajomy. Elka, struchlała ze strachu, tylko zaprzeczyła ruchem głowy.

- Tyle czasu jej szukam... - smutnym głosem oznajmił Stanisław.

- Ale ona jest pochowana w tamtym grobie. - Elka wskazała na grób nieopodal.

- Nie, jej tam nie ma - zaprzeczył mężczyzna. - Oni wrzucili jej ciało do jeziora, tylko grób dla niepoznaki zrobili. Nawet to mi odebrali.

- Ale Matylda mówiła, że ją pochowano tutaj - upierała się Wysocka.

Mężczyzna tylko pokręcił w odpowiedzi głową. -Ale wiesz, kiedy tutaj szłam, widziałam młodą kobietę w dziwnej sukni z koszykiem w ręku...

- Gdzie?! - Na twarzy Stanisława odmalowała się radość, wydawało się nawet, że na bladych, niemal sinych policzkach pokazał się rumieniec.

- Tam - wskazała ręką.

Mężczyzna obrócił się i po chwili rozplątał się w powietrzu. Elka wzdrygnęła się, dziwne dla niej było tylko, że dopiero teraz serce zaczęło jej walić niczym młot kowalski. Zimny pot spłynął po plecach.

- Boże, to mi się śniło? - zapytała samą siebie. Raptem straciła poczucie czasu, zaczęła myśleć o Stanisławie i Elwirze, czyżby tam, w lesie, to ona była? Jacy oni byli nieszczęśliwi. Nawet po śmierci nie dane im być razem, a przecież ją, Elżbietę, tylko myśl, że kiedyś znowu spotka Marka, powstrzymała od zrobienia czegoś głupiego. Zresztą była jeszcze Majka, chociaż już dorosła i samodzielna, to zawsze jednak potrzebowała matki. Nie, nie mogłaby jej tego zrobić.

Elżbieta zadarła głowę, aby spojrzeć na skrawek nieba, który wcześniej prześwitywał przez gęste korony drzew, lecz go nie dojrzała. Wyjęła z kieszeni telefon i spojrzała na godzinę, było wpół do piątej, a wokół zapadł mrok, jakby była co najmniej ósma wieczorem.

Rozejrzała się zaniepokojona. Czuła wilgotne i zimne powietrze sunące po ziemi. Wstała, przeżegnała się i ruszyła w stronę domu, drogę próbowała oświetlić sobie telefonem, jednak bateria szybko się wyczerpała. Żałowała, że nie posłuchała Matyldy i nie zabrała ze sobą latarki, ale nie myślała, że tyle czasu spędzi w lesie. Szła niemal po omacku, nie była pewna, czy idzie w dobrym kierunku. Odnosiła wrażenie, że wokół coś lub ktoś się czai i ją obserwuje. Każdy trzask złamanej gałęzi wzbudzał w niej lęk, przyśpieszyła kroku. Raptem poczuła, że leci w dół, zapada się w coś miękkiego, grząskiego. W odruchu paniki zaczęła szarpać się, ale im więcej nerwowych ruchów wykonywała, tym bardziej zapadała się.

- Ratunku! - wrzasnęła, ale wokół zapanowała niepokojąca cisza.

Była zanurzona już prawie do pasa, pod stopami nie czuła gruntu. Szybko zorientowała się, że kiedy wykonuje ruchy, zapada się, starała się więc nie poruszać.

- Ratunku! - ponowiła wołanie, nic. Cisza. - Boże, ratuj mnie, nie pozwól mi tutaj utonąć! Ojczy nasz... - zaczęła się modlić.

Było jej bardzo zimno, lepka maź była w jej butach, spodniach i pod kurtką, miała też wrażenie, że coś po niej pełza.

Raptem usłyszała wyraźnie trzaski gałęzi i odgłosy kroków, ktoś szybko nadchodził.

- Ratunku, tutaj jestem! Halo!

Po kilkunastu sekundach usłyszała radosne... rzenie! Zmrużyła oczy, jakby chciała lepiej widzieć w ciemnościach, które zapadły. Zobaczyła pochylającą się Malwinę. Koń machał łbem, jakby chciał, aby złapała go za uzdę. Elżbieta nie miała chwili do zastanowienia, musiała opa-

nować strach, aby się uratować. Była zanurzona już niemal po ramiona, każda chwila się liczyła. Wyciągnęła z trudem rękę i złapała za skórzany pasek uzdy. Koń zaczął się powoli cofać, jednocześnie Elka poczuła, że jej ciało się wynurza. Dopiero kiedy poczuła twardy grunt, obróciła się na plecy, puściła uzdę i głęboko odetchnęła. Nagle wstrząsnął nią szloch. Spojrzała w górę, Malwina pochylała się nad jej twarzą i delikatnie obwąchiwała ją. Elżbieta ponownie złapała za uzdę i wstała. Nieoczekiwanie poczuła potrzebę przytulenia się do zwierzęcia. Już się nie bała. Niemal pocałowała ją w szyję, poklepała i pogłaskała po pysku.

- Uratowałaś mnie, dziękuję. Wybacz, że taka wredna byłam dla ciebie. Jak mnie odnalazłaś? - przemawiała. - Jeszcze chwila i poszłabym na dno, to chyba jakieś bagno. Malwinka, zaprowadź mnie do domu, sama nie trafię. - Elka ujęła konia za uzdę i krok po kroku ruszyły przed siebie.

* * *

-To miałaś szczęście w nieszczęściu - stwierdziła Matylda, kiedy wykąpana i przebrana Elżbieta opowiadała o swojej przygodzie. - Zboczyłaś z drogi już przy samym cmentarzu. Zapomniałam ci powiedzieć, że tam bagno jest. Kiedyś było wielkie, z czasem zarosło, ale dalej jest niebezpieczne. Wójt obiecał je ogrodzić, bo tam i kilkoro ludzi utonęło, i zwierzęta, ale na obietnicach się skończyło.

- To chyba jak mu zrobię awanturę, to je ogrodzi. To nie do pomyślenia - stwierdziła Elka z oburzeniem. - Gdyby nie Malwina, byłabym już na dnie!

- Fakt - przyznała Matylda. - A swoją drogą, dziwne, jak ona wy dostała się ze stajni, bo sama sprawdzałam, czy Tomek dobrze zamknął drzwi przed wyjazdem do pacjentów - dziwiła się.

-Nie wiem, ale dzięki Bogu, że tym razem była puszczone. Ja też nie mogę się nadziwić, że mnie tam znalazła. - Elżbieta

pokręciła głową, spojrzała w okno, gdzie na trawniku spokojnie pasła się Malwina.

Kiedy Wysocka wykąpała się, sama dobrowolnie i już bez strachu wyczyściła zwierzę, które pobrudziła, kiedy się przytulała do niego w lesie. Nagle usłyszała dźwięk swojego telefonu, który też ucierpiał, ale, o dziwo, działał.

- Słucham, Wysocka... Dobrze, spokojnie, proszę powiedzieć, jakie są objawy? - Po wysłuchaniu odpowiedzi rzuciła jeszcze tylko w słuchawkę: - Już jadę, ale proszę też natychmiast zadzwonić po karetkę. - Wyłączyła telefon i schowała go do kieszeni. - Muszę jechać, pan Bukwa zasłabł przed sklepem. A mówiłam mu, że przy cukrzycy nie wolno mu pić pod żadnym pozorem! - zawołała oburzona.

- Taaa, jemu i reszcie możesz to mówić. Za długo już piją, aby raptem zrezygnować, obawiam się raczej, że nie brał leków - skwitowała Matylda. - Zapytaj go o nie, a sama zobaczysz.

- Pewnie masz rację, co prawda u niego to nie jest zaawansowana choroba, ale nieleczona naprawdę narobi mu kłopotów, poza tym jest już starszym człowiekiem - podsumowała Elżbieta, biorąc do ręki torbę lekarską i sprawdzając, czy w środku ma odpowiednie leki.

Idąc do samochodu, zauważyła kątem oka, że Malwina cwałuje w jej stronę. Kobieta przystanęła. Lekka panika pojawiła się jej w głowie, ale zaraz się opanowała.

Koń potrząsnął łbem, Elka wyciągnęła rękę i pogłaskała go po szyi.

- Muszę jechać, kochanie, ale niedługo wrócę i dam ci pysznych, chociaż zeszłorocznych jabłek, tych od pani Kociubowej. Ponoć je uwielbiasz? A teraz idź na łąkę.

Wysocka wsiadła do samochodu i ruszyła do miasteczka, po drodze minęła się z Tomaszem, zamigła mu światłami, zaś on podniósł rękę w geście powitania.

Malinowski zaparkował przed pałacykiem, musiał zabrać szczepionki i jechać z powrotem na hale, gdzie czekało na niego niewielkie stadko owiec. Z przerażeniem zobaczył pasącą się Malwinę, która na jego widok radośnie zarżała.

- Cholera, jak ona się wydostała? Zamknąłem ją w stajni i sprawdziłem skobel. Sama nie mogła wyjść. To mi dopiero Elka da popalić, kiedy wróci. Kurczę, a jak już w moim pokoju w ramach odwetu harcuje stado pajaków? - Wzdrygnął się na samą myśl o włochatych wrogach. - Matyldo! Ty wypuściłaś Malwinę? - Wsadził głowę przez okno do kuchni, w której ciotka szykowała kolację.

- Nie, nie ja - odparła spokojnie, krojąc kielbasę.

- To kto? Duch? - zapytał Tomasz z sarkazmem.

- Może i duch, kto to wie? Ale chodź, opowiem ci, co się stało - zaproponowała.

- Nie mam czasu, czekają na mnie nad Czarnym Runem, owce muszę szczepić - odparł.

- To zajmie chwilę, mam ciasto czekoladowe i świeżo zaparzoną kawę - kusila, a mężczyzna nie mógł się oprzeć takiej propozycji.

Kiedy ciotka opowiedziała mu przygodę Elki, Tomasz był blady.

- Matko jedyna, ta dziewczyna mogła się utopić! Tego wójta to bym powiesił na suchej gałęzi! W zeszłym roku turysta cudem tylko ocalał, bo jakiś grzybiarz tamtędy przechodził. A ilu

zaginęło? Może leżą na dnie. Jutro pojedę do gminy i zrobię z tym porządek. Boże, tak niewiele brakowało, a ona... - Głos ugrzązał mu w gardle.

- Widzę, że bardzo cię to ruszyło. - Matylda spojrzała na niego przenikliwie, ale uciekł przed jej wzrokiem.

- Nie o to chodzi, ja tylko... tylko... - zaczął się jąkać. - Dobra, muszę jechać. - Do ust wepchnął ostatni kęs ciasta. - Przynajmniej Malwiny przestała się bać - podsumował.

- Nie tylko bać, ale wręcz ją polubiła i sama na ławkę ją wysłała - przytaknęła Matylda.

* **

- Panie Walery, kiedy brał pan ostatni raz leki? - zapytała Elka, badając Bukwę.

Usłudni koledzy, gdy zasłabł, podnieśli go z chodnika i ułożyli na swojej ławeczce, wokół od razu zebrał się tłum gapiów na czele z proboszczem, który odprawił już ostatnią mszę i wracał na plebanie.

- Ano nie pamiętam, pani doktor - odparł słabym głosem Walery.

- Pani doktor, on nie pamięta, bo ich nawet nie wykupił - wtrącił się usłudnie Grzybek.

- Panie Bukwa, dlaczego pan nie kupił leków? - zapytała groźnie Wysocka, osłuchując serce mężczyzny.

- Bo apteka w Zakopanem, za daleko jak dla mnie - odparł chory.

- To mógł pan poprosić jakiegoś znajomego, który tam jechał.
- Nie dała się zwieść.

- No niby racja, aleja prosić nikogo nie lubię. - Walery nie poddawał się.

- O, już jest karetka - stwierdziła Elka, patrząc na wjeżdżający na chodnik samochód. - Pojedzie pan do szpitala, porobią panu badania i podkurują trochę. Ale z piciem definitywnie musi pan skończyć. - Pogroziła mu palcem.

Z karetki wyszedł z czerwonym plecakiem technik medyczny, podszedł do Wysockiej, która przekazała mu najważniejsze informacje o pacjencie. Potem z pomocą kompanów Bukwa wsiadł do samochodu.

Elka zebrała przyrządy i wsadziła do torby, tłum gapiów zaczął się rozchodzić. Podszedł do niej ksiądz Wojciech.

- Dzięki Bogu, że jest pani na miejscu - stwierdził, poprawiając koloratkę, która go uwierała w grubą szyję.

- Dobrze, że się tylko na tym skończyło - odparła, biorąc torbę do ręki.

- A ja dziś pani w kościele nie widziałem - stwierdził ksiądz z przekąsem. - To zły przykład dla parafian.

- Proszę księdza. - Elka spojrzała na niego groźnie. - Dzisiaj żadną siłą być na mszy nie mogłam, proszę mi wierzyć. I to nie z lenistwa, ale... zresztą. - Machnęła lekceważąco ręką. - Po prostu nie mogłam być i tyle. - Wyminęła ostentacyjnie Wojciecha i wsiadła do samochodu.

Ksiądz stał z otwartymi ustami. Takiego zachowania się nie spodziewał, nawet wójt czuł przed nim respekt. „No cóż, co miastowa, to miastowa. Trzeba z nią będzie w zgodzie żyć, bo dobry lekarz z niej, chociaż taka pyskata” - westchnął i ruszył na plebanię.

- Pani Aurelio! - wołał od progu. - Bukwa nam zasłabł na rynku, na szczęście... - Nie dokończył, bo gospodyni wyrosła przed nim niemal spod ziemi i nieźle się wystraszył.

- Wiem wszystko, proszę księdza - odparła spokojnie i wyminęła go, kierując się do kuchni. - Kolacja już czeka na stole.

-A skąd Aurelia wie? - zapytał ksiądz zdziwiony i podążył za nią.

- Co proboszcz taki zdziwiony? Ile ja tu lat pracuję? - Stała przy stole, oparła ręce na biodrach.

- No... z dziesięć już będzie - odparł Wojciech, sadowiając się za stołem i przysuwając sobie talerz z wędlinami.

- No właśnie, ponad dziesięć lat, to już ksiądz powinien wiedzieć, że zawsze wszystko wiem przed nim, a do tego więcej - odparła z dumą w głosie.

- Też prawda - przytaknął, krojąc pomidora na talerzu. - Poproszę jeszcze cukru.

-Za dużo ksiądz słodzi, trzeba by to ograniczyć -zauważyła Aurelia, ale posłusznie podała mu cukier. - Doszły mnie słuchy, że proboszcz znowu spięcie miał z lekarką...

- Matko jedyna, nic się przed Aurelią nie ukryje -westchnął głęboko i upił łyk herbaty.

- Bo ona nie mogła być dzisiaj na mszy żadną miarą. Topiła się w Czarcim Bagnie - poinformowała.

-Co?! - Ksiądz spojrział na gospodynię zdziwiony. - Naprawdę?

- Tak, byłoby już po niej, gdyby nie koń Malinowskiego, wyciągnął ją.

- Matko jedyna, to faktycznie miała niezłe przeżycie. Nie dziwię się, że nie była na mszy, ale swoją drogą, powinna podziękować Bogu za cudowne ocalenie.

- W swoim czasie podziękuje albo i już to zrobiła - stwierdziła pewnie Aurelia. - Ludzie w takich sytuacjach zwracają się do Boga zawsze, nawet ateści...

- Ale kiedy problem mija, to zapominają podziękować Panu Bogu - odparł Wojciech.

- Bo ksiądz to by chciał, żeby każdy, jak go coś dobrego spotka, to na mszę dawał...

- Pani Aurelio! - zawołał oburzony kapłan. - Tu już chyba pani przesadza, robi pani ze mnie jakiegoś chciwca! Aż jeść mi się odechciało! - Wstał gwałtownie od stołu i ruszył obrażony do pokoju.

- Niech się ksiądz nie obraża, bo nie ma o co. Przepraszam, jeśli uraziłam, ale nie to miałam na myśli. A kolację zaraz sprzątnę i głodny będzie do rana - zagroziła, był to strzał w dziesiątkę.

Ksiądz zawrócił i usiadł ponownie przy stole, nadal jednak udawał obrażonego. Aurelia wzruszyła ramionami i poszła przygotować mu łóżko na noc.

* * *

Elżbieta, wracając do domu, zatrzymała auto przy parku. Chciała pobyć trochę sama, z dala od ludzi. Odetchnąć po dzisiejszych przeżyciach. Wysiadła z auta i zamknęła je. Zaczęła spacerować alejkami. Przy jednej z nich usiadła na ławce i zapatrzyła się na skaczącą po drzewie wiewiórkę. Nie zauważyła, że ktoś zmierza w jej kierunku.

- Dzień dobry. - Usłyszała, podniosła głowę. Przed nią stała Eliza. „Jeszcze tego brakowało” - przeleciało jej przez głowę.

- Dzień dobry - odparła.

- Odpoczywa pani? - zapytała Eliza, siadając obok.

- Tak, ciężki dzień miałam i muszę trochę odetchnąć w samotności - podkreśliła ostatni wyraz.

-Rozumiem i już zmykam, proszę tylko przekazać Tomaszowi, żeby dzisiaj był u mnie trochę później, szykuję dla niego niespodziankę - odparła z satysfakcją w głosie, bo dostrzegła nieznaczny grymas przebiegający przez twarz Elżbiety.

- Nie może pani sama tego zrobić? Tomasz ma telefon...

- Tak, wiem o tym, ale nie odbiera, pewnie jest zajęty przy swoich pacjentach, a potem wpadnie do domu, tylko żeby się przebrać i może nawet nie spojrzeć na telefon. Naprawdę będę pani wdzięczna. - Eliza wstała i ruszyła przed siebie. - Do widzenia - rzuciła jeszcze przez ramię.

- Już ja mu powiem, bądź pewna - syknęła Elżbieta przez zęby.

Kiedy wróciła do domu, zastała Matyldę szykującą kolację. Na stole stały trzy talerze.

- Kogoś się spodziewamy? - zapytała.

- Nie, na kolacji będziesz ty, ja i Tomasz. Wrócił dopiero z hali, owce szczepił - odparła ciotka, stawiając na stole miskę z jajecznicą. - Siadaj i jedz, póki ciepłe - ponagliła.

- Tomasz ma zaproszenie do panny Elizy - odparła z sarkazmem Elżbieta, Matylda spojrzała na nią i uśmiechnęła się pod nosem.

- Nic mi o tym nie mówił. Kiedy wrócił, od razu tutaj przyszedł i zapytał, czy może dołączyć do kolacji, więc się zgodziłam, teraz chyba jeszcze się kąpie.

-Może to spotkanie bez kolacji - mruknęła pod nosem Elka i usiadła za stołem. Nim zdążyła sobie nalać herbaty z dzbanka, do kuchni wszedł Tomasz.

- Dobry wieczór - przywitał się i zasiadł naprzeciwko Wysockiej.

- Dobry wieczór - odpowiedziała na pozór obojętnie. - Spotkałam w parku twoją przyjaciółkę, prosiła, żebyś do niej przyjechał trochę później, szykuje ci jakąś super niespodziankę - powiedziała z udawanym spokojem.

- Jaką przyjaciółkę? - zapytał, nakładając sobie sporą porcję jajeczniczy.

- Pannę Elizę.

- Przyjaciółką moją nie jest - odparł spokojnie.

- To może kimś więcej w takim razie... Tomasz spojrział na Elkę uważnie i zapytał:

- O co ci chodzi?

- O nic, tylko przekazuję informację - odparła, czerwieniąc się.

Tomasz westchnął jedynie i pokręcił znacząco głową. Zapadła niezręczna cisza. Nawet Matylda nie wiedziała, jak zagadać, aby wypadło to naturalnie. W końcu Elżbieta wstała od stołu.

- Dziękuję, ale po dzisiejszych niespodziankach nie mam ochoty najedzenie. Pójdę się położyć, to chyba najlepiej mi zrobi.

Kiedy już leżała, usłyszała, że Tomasz odpala silnik swojej terenówki.

- Idiota - szepnęła do siebie i obróciła się na bok.

* **

W piątek Elka od rana przyjmowała pacjentów. Popołudniu miał przyjechać Kazik z żoną, więc chciała jak najszybciej być w domu, aby pomóc Matyldzie w kuchni. Jak na złość poczekalnia była pełna, a każdy z pacjentów, oprócz opowiadania o swoich dolegliwościach, obdarzał ją historią rodziny i genezą chorób, których doświadczył.

Najgorzej było zawsze z panem Grudą. Mężczyzna uczył w gimnazjum, był kawalerem i uważał się za doskonałą partię dla każdej kobiety, w tym oczywiście dla Elki. Do gabinetu przychodził kilka razy w tygodniu z wyimaginowaną chorobą. Siedząc naprzeciw lekarki, opowiadał jej, jak powinna wyglądać kobieta, która dostąpi zaszczytu i za niego wyjdzie.

- Pani wie, pani doktor, że ja jestem mężczyzną dojrzałym. Uczę w szkole przedmiotu ważnego dla każdego człowieka...

- Ta... bez plastyki to w życiu ani rusz, człowiek by sam płotu nie pomalował - mruknęła Hanka pod nosem, układając ligninę w szafce.

Elka uśmiechnęła się nieznacznie na tę uwagę, na szczęście Gruda nie słyszał słów pielęgniarki.

- Dom mam piękny...

- A jakże, kategoria lux wśród stodół... - Hanka westchnęła, zamykając szafkę.

- Ostatnio kupiłem nowe meble do kuchni i lodówkę...

- Z komisju.

- Żona moja musi być pracowita i inteligentna. Chcę tylko, aby na czas było ugotowane i posprzątane.

- I wyprane skarpetki, które ustawia na sztorc w progu domu, żeby przed praniem się przewietrzyły.

Elka nie wytrzymała, parsknęła głośno śmiechem, czym wywołała zdziwienie Grudy.

- Czy ja coś powiedziałem nie tak? - zapytał mężczyzna.

W zasadzie nie. Ale nie rozumiem, po co mi pan to mówi. To jakaś oferta matrymonialna? - Elka spojrzała na niego, starając się zachować powagę.

- Naturalnie - odparł Gruda. - Tylko pani nadaje się na żonę dla człowieka z moją pozycją.

-No cóż... jestem zaskoczona i dziękuję za propozycję, ale nie skorzystam. Teraz przejdźmy do pana dolegliwości. Co tym razem panu dolega?

-Ja na pani miejscu tak szybko bym nie odrzucał dobrej oferty. Ma pani swoje lata...

- Panie Gruda, a ja mam swoją cierpliwość! - przerwała mu. - Więc co tym razem pana do mnie sprowadza?

- Hm... stopy mnie swędzą - odparł, zażenowany nieco tonem lekarki.

- Proszę zdjąć skarpetki i pokazać.

Gruda wykonał polecenie. Elkę aż odrzuciło, kiedy zobaczyła jego stopy.

- Panie Gruda, zalecam panu nie wietrzenie skarpet, ale ich codzienne pranie, noszenie obuwia skórzanego. Przepiszę panu jeszcze maść. Ma pan klasyczną grzybicę.

-Ja? Ja, grzybicę? Pani chyba nie wie, co mówi! - zawołał oburzony i pośpiesznie naciągnął skarpetki.

- A jednak. - Trwała uparcie przy swoim.

- Istotnie, nie nadaje się pani na żonę dla człowieka z moją pozycją - stwierdził i dumnie wymaszerował z gabinetu.

Kiedy drzwi się za nim zamknęły, obie kobiety podsumowały to szczerym śmiechem.

- Trzeba przyznać, że tupet to on ma nadmiernie rozwinięty i to powinien leczyć - stwierdziła Hanka. - Może przerwa na kawę?

- Chętnie - zgodziła się Wysocka.

- On do każdej lekarki tu startował. Jedna to nawet miała ochotę, ale jak zobaczyła jego dom, a potem poznała wymagania, szybko się wycofała. - Hanka sypała kawę do filiżanek.

- Nigdy nie zrozumieję niektórych ludzi, skoro tyle razy dostał po nosie, to chyba czas, aby wyciągnąć z tego wnioski. - Elka pokręciła głową.

- Ma pani rację, ale w życiu bywa inaczej.

- Pani Haniu, kawę pijemy w szybkim tempie, dzisiaj mam gości... - przerwała jej Elżbieta.

-Tak, wiem. Zresztą wszyscy wiedzą, niech pani zobaczy, co się dzieje na ryneczku.

Elka podeszła do okna. Na placu i chodnikach sprząтали wszyscy, którzy pobierali zasiłek z gminy! Jedni zbierali śmieci, inni wycinali chwasty rosnące pomiędzy płytami chodnika czy bruku. Nawet w „Oscypku” myto okna.

- A co to się dzieje? Odkąd tu jestem, nie widziałam takiej akcji. Jakieś miejscowe święto? - zdziwiła się Wysocka.

-A gdzie tam święto. Pani kuzyn, wojewoda, ma przecież dzisiaj przyjechać, to wójt szaleje. Pani patrzy, nawet kwiatów na klombach przybyło i fontanna działa. - Uśmiechnęła się w odpowiedzi pielęgniarka.

- Rodem z „Alternatywy 4” - stwierdziła Elka, kręcąc z niedowierzaniem głową.

-I bardzo dobrze. Tak to by wójt nigdy się do tego nie wziął. Swoją drogą, to ten pani kuzyn mógłby częściej przyjeżdżać, więcej w gminie by się zrobiło - odparła pielęgniarka, stawiając na biurku filiżanki z kawą.

- To pani mi powie, co jeszcze potrzeba w gminie zrobić, taką okazję trzeba wykorzystać...

* * *

Popołudnie było bardzo ciepłe, bez najlżejszego wiatru. Powietrze niemal stało, a gdy się patrzyło na staw, wydawało się, że faluje. „Miejscowa fatamorgana” - pomyślała Elka, stojąc przy oknie w kuchni i patrząc przed siebie.

- Elu, sama nie wiem, czy usmażyć jeszcze mielonych? - zapytała Matylda, krzątając się przy kuchni.

- Myślisz, że to wszystko zjedzą? - zważyła Wysocka, odwracając się w jej stronę i patrząc na jedzenie piętrzące się na stole.

- Świeże powietrze, ruch, to wszystko sprzyja apetytowi. Zresztą sama mówiłaś, że twój kuzyn lubi zjeść - skwitowała Matylda, doprawiając mięso w misce.

- No, lubi. Ba... nawet zwracałam mu kilka razy uwagę, że go cholesterol dobije, jak nie zacznie jeść z umiarem i zdrowiej.

- Sama widzisz, nie oprze się, a lepiej, żeby było więcej niż mniej. Resztę się pomrozi i będzie na zaś - podsumowała kobieta i zabrała się do smażenia.

- Nie będę cię od tego odwodzić, bo i tak zrobisz jak zechcesz - westchnęła Elżbieta, wyglądając przez okno. - Ktoś do nas jedzie na rowerze. - Wyprostowała się i zmrużyła oczy, aby lepiej widzieć. - To chyba... Bury z Czarnego Pola... - Odwróciła się w stronę Matyldy i zobaczyła, że kobieta nieznacznie poprawia fryzurę i układa fałdy spódnicy. Uśmiechnęła się pod nosem.

- A ten czego tu chce? - zapytała na pozór obojętnie, poprawiając jeszcze niesforny kosmyk.

Mężczyzna podjechał pod pałacyk, zsiadł z roweru i oparł go o balustradę tarasu. Zdjął czapkę i podszedł do okna.

- Witam, piękne panie - przywitał się.

- Bury, nie czaruj - burknęła Matylda, opierając ręce na biodrach. - Czego chcesz?

Elka stała i patrzyła na ciotkę, zdumiona jej nieuprzejmością.

- Widzę, że Matylda jak zwykle w dobrym humorze, cieszy mnie to ogromnie. - Bury nie dał się zbić z tropu. - Ja z prośbą do ciebie...

- No pewnie, bo w odwiedziny byś sam z siebie nie przyjechał - parsknęła Matylda.

- A mało to razy bywałem? Zawsze mnie wyganiałaś! - odparł z wyrzutem.

Matylda zawstydziała się. Elka spojrzała na nią. Było oczywiste, że kobieta ma pewne grzeszki na sumieniu.

- Już dobrze, mów, czego chcesz - odparła znacznie łagodniej.

- Panie Józefie, zapraszam do kuchni, nie będziemy przecież przez okno rozmawiać - wtrąciła Elżbieta.

Bury spojrzał na nią zdziwiony. W jego oczach dojrzała nie tylko niepewność, ale i coś na kształt strachu. Przed kim?

- Zapraszam - ponagliła.

-E... ja... e... - jąkał się i spoglądał niepewnie na Matyldę.

-No co na mnie wybałuszasz oczy? To doktorowej dom, ma prawo zapraszać kogo chce, chociaż głupio robi - burknęła ciotka.

Mężczyzna ruszył niepewnie w stronę drzwi, aby po chwili z filiżanką kawy siedzieć z obiema kobietami przy stole kuchennym.

- To mów, co cię sprowadza - ponagliła go Matylda, starając się, aby jej głos był wystraszająco ostry.

-Zobacz, w kwietniu nie było deszczu, w maju też. To, co z gór spłynęło po zimie, poszło dalej. Trawa wysycha, na polach zboże nie chce nawet wzejść, jak nie pomożesz, wszyscy na tym ucierpią, i ludzie, i zwierzęta... - Obracał w ręku filiżankę, bojąc się, żeby nie stłuc kruchego tworzywa.

- A co ja mam niby zrobić? - zapytała i spojrzała niepewnie na Elżbietę.

- Dobrze wiesz, że możesz zrobić wiele, bo naprawdę będzie źle...

- Hm... - odchrząknęła. - Co ja niby mogę... -Matyldo, znamy się nie od dziś. Tylko ty możesz

pomóc wszystkim. - Upierał się. - Nie daj się prosić. Pani doktor, pani pomoże mi ją przekonać - zwrócił się do Elżbiety.

-Ja? - zdziwiła się. - Co niby ja mam zrobić? Naprawdę nic z tego nie rozumiem.

- Ale wie pani, że Matylda potrafi różne rzeczy? -zapytał ostrożnie.

- Niby jakie? Bo ja wiem, że zbiera zioła, wspaniale gotuje i piecze...

- Jest szeptuchą...

- Bury, bo zaraz zaczniesz żałować, że tu przyszedłeś! - wtrąciła się Matylda. - Idź już lepiej, zrobię, co będę mogła, ale już idź stąd!

- A nie mówiłem? - Udał, że nie słyszał słów kobiety. - Otóż, oprócz tych wszystkich zalet, o których pani wspomniała, to Matylda dodatkowo jest najpiękniejszą kobietą. Prosiłem już ją kilka razy o rękę, ale zawsze odmawiała. Ja jednak nie zrażam się. Do tego wszystkiego umie zaklinać deszcz, żeby padał lub nie. Umie też rozmawiać z duchami i zwierzętami... - W ostatniej chwili uchylił się przed lecącym w jego stronę talerzykiem, który Matylda szybko wzięła ze stołu i rzuciła w jego stronę.

- Bury! Teraz to nie licz na mnie! - krzyknęła oburzona.

- Jak chcesz. - Józef wstał od stołu. - Ale proboszcz się wybiera w tej samej sprawie do ciebie, o reszcie mieszkańców nie wspomnę. Niezłe wycieczki tutaj będą - podsumował, patrząc na nią. - Pani doktor... - Spojrzał błagalnym wzrokiem na Wysocką.

- E... Matyldo, czy to prawda, co pan Bury opowiedział o tobie?

- Tak... - ciotka odparła niepewnie.

- Nie rozumiem, dlaczego kryjesz się przede mną z tymi sprawami? Jeżeli możesz pomóc, to zrób to. Szkoda i ludzi, i zwierząt - odparła Elżbieta, starannie dobierając słowa.

- Dobrze - westchnęła ciężko kobieta. - Ale dopiero w poniedziałek zacznie padać, bo my tu ważnych gości będziemy mieć, chcą pospacerować, odpocząć, a nie oglądać oberwanie chmury...

- Cudowna jesteś! Kocham cię Matyldo! - krzyknął Józef, doskakując do zaskoczonej kobiety i niemal porywając ją z krzesła.

Nim się zorientowała, pocałował ją głośno w policzek. Odepchnęła go, ale niezbyt mocno, co nie uszło uwadze Elżbiety.

- Stary głupek! - fuknęła Matylda, ale rumieniec zdradzał, co naprawdę ma w sercu.

Józef postawił kobietę na podłodze, po czym szarmancko ujął jej dłoń i pocałował.

- Mogę być głupkiem i być może jestem, ale będę czekał na twoje „tak” - odrzekł, po czym wziął ze stołu czapkę i wyszedł z kuchni, rzucając przez ramię „do widzenia”.

- Hm... - chrząknęła Elżbieta, z jej ust nie schodził tajemniczy uśmiech.

-Tylko żadnego komentarza, bo poczujesz, czym jest gniew szeptuchy - zagroziła jej Matylda, spojrzały obie na siebie i roześmiały się.

-No, teraz to mi się nie wywiniesz, moja droga - stwierdziła Ela. - Musisz mi opowiedzieć wszystko i o tym, kim jesteś, i o... Józefie.

- A idźże mi stąd. Przeszkadzasz, tyle jeszcze pracy mam, a twój kuzyn niebawem tu będzie - przegoniła ją.

- Dobrze, pójdę, bo muszę jeszcze pokoje sprawdzić, ale obiecay, że mi o wszystkim opowiesz - poprosiła, stając we framudze drzwi.

- Dobrze, ale... - Matylda obróciła się w jej kierunku -jak goście wyjadą. Do tego potrzeba spokoju i ciszy, zresztą zabiorę cię w niedzielę do swojej chaty...

- Dziękuję - odparła Ela i wyszła z kuchni.

Okolo osiemnastej na podwórku rozległo się trąbienie, Malwinka zarżała w odpowiedzi. Elka ścieliła łóżko w pokoju gościnnym i wychyliła się przez okno. Drogą od mostu nadjeżdżał czerwony opel, ukochane auto Kazimierza. Wysocka pobiegła w stronę wyjścia. Auto stanęło tuż przed werandą, drzwi po obu stronach otworzyły się. Wsiadł Kazimierz i jego żona, Krystyna.

- Elu! - Mężczyzna podszedł do niej, szeroko rozpościerał przy tym ręce. - No jak się masz? - zapytał, zamykając ją w niedźwiedzim uścisku.

- Dobrze, dziękuję - odparła. - Krysiu, witaj. - Uwolniła się od Kazimierza i podeszła do kuzynki. - Jak podróż?

- Cześć. A jak miała wyglądać? Korki, bo to piątek, a dodatkowo on - wskazała na męża - cały czas gadał przez telefon, aż dziw, że policja go nie złapała - odparła kobieta, poprawiając włosy.

-Nie słuchaj jej, na starość zrobiła się marudna -odparł Kazik, podchodząc do samochodu i otwierając bagażnik.

- Przypominam ci, że jesteś ode mnie o sześć lat starszy - fuknęła obrażona Krystyna. - Widzisz - zwróciła się do Elki - zawsze wytyka mi, że ja już stara jestem.

-Dajcie spokój! W ten weekend macie u mnie odpocząć, pospacerować, pobyć ze sobą. Wiem, jaki Kazik zajęty na tygodniu, więc chociaż tutaj bądźcie ze sobą. - Ela próbowała załagodzić scysję.

- Ona zawsze zaczyna - stwierdził Wysocki, niosąc sporą walizkę.

Elka spojrzała na kuzynkę, zauważyła zmiany, jakie zaszły od chwili, kiedy widziała ją na pogrzebie Marka. Krystyna miała czterdzieści pięć lat, nigdy zawodowo nie pracowała, bo wychowywała czwórkę dzieci. Zawsze była na zawołanie męża; gospodyni, matka, żona i... kochanka. Gotowa o każdej porze dnia i nocy, aby służyć rodzinie. Kazimierz przyzwyczał się już do tego i traktował jak rzecz naturalną. Tak było, jest i będzie, po prostu. Tuż po pogrzebie Marka ich ostatnie dziecko wyfrunęło z domu. Krystyna raptem spostrzegła, że nie ma z kim porozmawiać, nikomu nie jest tak naprawdę potrzebna. Owszem, dzieci dzwoniły wtedy, kiedy potrzebowały pieniędzy, mąż ją widział, kiedy był głodny lub trzeba było wyprasować koszulę. Jej dzień nie przynosił żadnych niespodzianek. Rano wstawiała przed mężem i szykowała mu śniadanie, potem prasowała koszulę. Podczas gdy jadł, nie dało się porozmawiać, bo tkwił nosem w tablecie. Potem jechał do pracy, ona sprzątała po śniadaniu, myła naczy-

nia i szła do sklepu. Podszykowała obiad, a w zasadzie kolację, coś przeparała i... snuła się do wieczora z kąta w kąt. Wielokrotnie próbowała o tym porozmawiać, ale bezskutecznie. Nie wiedział, o co jej chodzi i czego chce. Dzieci na swoim, ona ma mniej roboty w domu, więc dlaczego jeszcze zrzędzi mu nad uchem? A te jej telefony, żeby zapytać, jaką surówkę chce do obiadu. Obojętne mu to było, zje, co da. Ech, te baby.

Kiedy Kazik wchodził do pałacyku z walizką, Ela podeszła do Krysi.

- Widzę, że coś nie tak z tobą - zauważyła. - Może porozmawiamy? - zaproponowała.

Krystyna spojrzała na nią, ledwie opanowując płacz.

-Tak, Elu, muszę się przed kimś wygadać. Sama wiesz, że nie mam przyjaciółek, rodziny... - Drobne łzy płynęły jej po policzkach, Ela objęła ją.

- Nie płacz, wieczorem porozmawiamy sobie w kuchni. Na pewno jakoś ci będę mogła pomóc, a teraz masz mieć na ustach uśmiech. Pokaż, że jesteś wesołą i pogodną kobietą! - doradziła Elżbieta.

Obie kobiety weszły do pałacyku, nie zauważyły, że w oknie kuchni stała Matylda. Ona już wiedziała zarówno co się stało, jak i co się wydarzy w przyszłości. Westchnęła i wróciła do podgrzewania zupy.

Wieczorem po kolacji wszyscy zebrali się na werandzie. Wieczór na szczęście nie był tak upalny jak dzień. Dołączył do nich Tomek i szybko znalazł wspólny język z Kazikiem. Obaj postanowili pójść na nocne łowienie ryb, tak więc dość szybko opuścili towarzystwo, aby przygotować potrzebny sprzęt.

- Krysiu, powiedz mi, co cię trapi - poprosiła Elka, kiedy mężczyźni poszli już w stronę stawu.

- Nie wiem, od czego zacząć, ale chyba jestem już stara i właśnie to sobie uświadomiłam. Na każdym kroku odczuwam to - zaczęła drżącym głosem.

- Spokojnie, pani Krysiu, proszę się napić nalewki. Rozluźni się pani trochę. - Matylda naląła jej kieliszek nalewki jeżynowej.

- Dziękuję. Sama nie wiem, co się ze mną dzieje. W zasadzie od rana do wieczora jestem sama w wielkim domu. Do pracy w moim wieku i z takim wykształceniem nikt mnie nie przyjmie. Kazik ciągle w pracy, wraca coraz później, je, ogląda telewizję i mnie nie widzi. Traktuje mnie jak powietrze, zauważa mnie dopiero wówczas, kiedy chce jeść lub potrzebna mu czysta koszula. W weekendy znika na całe dni, niby jeździ na ryby, ale wraca bez nich... - Zniosła się płaczem. - Boję się, że kogoś ma...

- Krysiu, to niemożliwe, nie Kazik. Na pewno cię kocha, możliwe, że się po prostu przyzwyczaił do ciebie. Może pomyślimy nad jakimiś zmianami? Nie chodzi mi

o sam wygląd, ale poszukamy dla ciebie jakichś zajęć. Na początek musisz sobie kupić laptop. Świat internetu stoi otworem - przekonywała Elka.

- Ja i laptop? Chyba żartujesz? - Krystyna nie mogła uwierzyć w propozycję Wysockiej.

- Nie, nie żartuję. Dziwię się, że jeszcze tego nie zrobiłaś. Jeżeli nie chcesz chodzić na jakiś fitness, do klubu osiedlowego, to popatrz, co oferują w internecie. Możesz sobie założyć blog, na którym będziesz pisać o tym, co cię trapi.

- Jak to tak? Mam pisać o osobistych przeżyciach? - zdziwiła się.

- W internecie nie musisz się przedstawiać z imienia i nazwiska, możesz mieć jakiś nick...

-Pani Krysiu, ja też prowadzę anonimowo bloga. Piszę o ziołach, nalewkach, maściach swojego wyrobu, a podpisuję się jako Czarownica - zachichotała Matyllda.

-Poza tym musimy pomyśleć o zmianie twojego wyglądu. Ten kok, który nosisz od ponad trzydziestu lat, jest już przestarzały. Umówię cię do dobrej fryzjerki i kosmetyczki. Musisz też zmienić trochę swoje przyzwyczajenia, a zobaczymy, jak szybko nadejdą efekty. Ale zaczynamy już teraz. Masz się uśmiechać, unikaj delikatnie Kazika, nie lataj i nie pytaj, czego potrzebuje. Koniec z nadskakiwaniem mu.

- Cholera, nie wiem, czy dam radę. Trochę dużo tego jak na jeden raz - westchnęła w odpowiedzi Krystyna.

- Da pani radę, my pomożemy. - Matyllda poklepała ją delikatnie po dłoni.

-No dobrze, skoro uważacie, że to pomoże, to się zgadzam - odparła niepewnie. - Obawiam się jednak, że on kogoś ma... To nie daje mi spokoju, bo gdzie te ryby, kiedy z nich wraca?

- A może faktycznie łowi i wypuszcza? Sama wiesz, że Kazik ryb nie lubi jeść - wtrąciła Elka, dolewając nalewki do trzech kieliszków.

- To za powodzenie naszych planów, moje panie. -Matyllda wzniosła kieliszek do góry, kobiety poszły jej śladem.

Sobotni ranek powitał Ruczaj słońcem. Matyllda stwierdziła, że znowu będzie upalny dzień i warto już rano wybrać się w góry, póki upał nie jest nieznośny. Kazik przystał na to z ochotą.

- A nie wiecie, gdzie jest Krystyna? - zapytał, jedząc jajka na miękko.

- Nie ma jej w pokoju? - zdziwiła się Elka.

- No, nie. Kiedy się obudziłem, nie było jej, koszula nocna była rzucona na fotel, co też mnie zdziwiło, bo zawsze układa wszystko w kostkę, nawet skarpetki.

- Dziwne. - Elka spojrzała na Matyldę, tego w planach nie miały, czyżby Krysia sama coś dorzuciła?

- No właśnie - przytaknął mężczyzna, smarując chleb masłem. Raptem od strony łąki usłyszeli głośnie rżenie Malwinki. Elka wyjrzała przez okno i zobaczyła, że klacz staje dęba, po czym opada i zaczyna galopować w stronę lasu.

- Malwina! - krzyknęła do niej, wychylając się przez okno. Zwierzę nie zareagowało, biegło przed siebie. Nawet wołanie Tomasza, który wybiegł na taras, nie pomogło.

- Cholera, co się jej stało, nigdy jej takiej nie widziałem - zdziwił się. - Muszę za nią chyba pobiec.

- Matyldo! - zawołała Elka, która dołączyła do Tomka. - Ona chyba pobiegła w stronę cmentarzyka, a tam blisko jest bagno, może Krysia pomyliła drogi jak ja.

- Matko jedyna! Możesz mieć rację - przeraziła się Matylda. -Może Krysia chciała pójść na spacer, wiadomo, w Krakowie wszędzie ma tylko bloki - zauważyła Elka.

- Jakie bagno? O czym wy mówicie?! - Do Elki dołączył Kazik, wyraźnie zaniepokojony.

-W lesie jest bagno, nieźle zamaskowane przez krzaki. Niedawno topiłam się tam i gdyby nie Malwinka... - Elka przetarła dłonią twarz.

- Nie gadajcie tyle, tylko lećcie tam. Każda minuta jest droga! - krzyknęła na nich Matylda.

Tomek pierwszy oprzytomniał.

- Biegiem! Autem tam nie dojedziemy.

Cała trójka rzuciła się w stronę lasu, nie zważając na gałęzie czepiające się ich włosów czy ubrań. Słysząc było tylko przyśpieszone oddechy. Kazik odstawał, potężny brzuch utrudniał mu bieg, sapał niczym parowóz i miał wrażenie, że serce wyskoczy mu z piersi. W pewnym momencie potknął się i upadł, nie miał siły podnieść się. Uniósł głowę, przed oczami zobaczył czyjąś wyciągniętą dłoń. Spojrzał do góry i zobaczył nieco dziwnie ubranego mężczyznę.

- Pomogę panu, proszę ująć moją rękę - odezwał się nieznajomy.

- Dziękuję, za gruby jestem. Muszę faktycznie trochę zadbać o siebie. A może pan widział kobietę, taka nieduża, szczupła, z kokiem na głowie, mogła być ubrana w dresy? - zapytał, wstając i otrzepując spodnie z igliwia.

- Kochają pan?

- Słucham? Nie rozumiem - odpowiedział, przyglądając się nieznajomemu. - Pan stąd?

- Tak, mieszkam tu od wielu, wielu lat - odparł mężczyzna.

- Dziękuję panu za pomoc, ale muszę szukać żony - odparł Kazik i chciał wyminąć nieznajomego, ten jednak wyciągnął rękę w jego stronę, tak jakby chciał go zatrzymać.

- W jednej chwili można stracić kogoś, kto zawsze był obok nas, kogo mieliśmy na wyciągnięcie ręki. Dopiero gdy go tracimy, zdajemy sobie sprawę, ile był dla nas wart, zapamiętaj...

- O czym pan... - Kazik chciał spojrzeć na nieznajomego, ale jego już nie było. - Kurde, co za licho? Fatamorgana, czy co? W głowę się nie uderzyłem, więc... - Pokręcił głową i zaczął ponownie biec przed siebie.

W końcu zobaczył przed sobą Malwinę, która spokojnie skubała trawę. Nieopodal na trawie klęczeli Tomasz i Elka,

przed nimi leżała Krystyna. W dwóch susach doskoczył do nich.

- Matko jedyna, Krysiu! Krysiu! Żyjesz?! Co się stało?! - Przykląkł przy niej i patrzył przerażony.

Cała oblepiona była błotem i trawą, ciężko oddychała, miała zamknięte oczy. Jedna ręka leżała wzdłuż ciała, drugą trzymała Elka i badała puls.

- Co z nią?! - krzyknął przerażony Kazik.

-Wpadła do bagna, na szczęście Malwinka przysłała jej z pomocą, tak jak mnie jakiś czas temu. Wszystko będzie dobrze, ale jest wyczerpana, na szczęście wpadła przy samym brzegu, tam jest płycej - odparła Elka. - Masz jakąś chustkę? Trzeba jej twarz obetrzeć z tego błota.

- Nie mam, ale chwilę - odparł Kazimierz, po czym bez namysłu zdjął koszulkę i podał ją Elce.

- Będzie dobrze - powtórzyła Wysocka i delikatnie zaczęła wycierać twarz kuzynki z błota, trawy i dziwnej mazi. - Trzeba ją zabrać do domu, musi odpocząć. Jest w szoku, nie wiem, czy sama da radę iść...

- Ja ją poniosę - odparł bez namysłu Kazimierz. - To moja żona! - Wstał z klęczek, pochylił się nad Krystyną, która wciąż miała zamknięte oczy, i delikatnie uniósł ją na rękach.

- Kazik, pomogę ci - zaoferował się Tomasz, kładąc rękę na ramieniu Wysockiego.

- Nie, dziękuję. Ona jest taka lekka... - odparł spokojnym i opanowanym głosem, po czym ruszył przed siebie, nie czekając na nich.

Podążyli za nim powoli, asekurując go z dwóch stron. Leśna ścieżka była miejscami nierówna, wystawały z niej korzenie drzew, krzaki pchały się na drogę, wysoka trawa oplatała nogi do kostek, ale Kazimierz nie zważał na to. Szedł pewnie, tuląc do siebie żonę. Co chwilę pochylał się nad jej twarzą i coś szeptał. Kobieta nadal miała zamknięte oczy, jedynie lekki uśmiech pojawiał się na jej ustach.

Kiedy doszli do pałacyku, Elka powiedziała Kazikowi, co ma zrobić. Chciała mu pomóc, ale odmówił. Zaniósł tylko do pokoju, w którym nocowali, środek wymiotny i miskę, aby Krystyna mogła pozbyć się mazi błotnej, której się nałykała podczas wypadku.

Po godzinie Kazimierz zszedł na dół i dołączył do reszty domowników na tarasie. Usiadł ciężko przy stole i chciwie zaczął pić piwo, które podsunął mu Tomasz.

- Boże, myślałem, że ją stracę, tak się bałem- wykrztusił w końcu, kiedy w butelce ukazało się dno.

- Może tak miało właśnie być? - odparła cichym głosem Matylda i dała znak Elżbiecie.

- Chodź ze mną na chwilę, mam problem w ogrodzie, jakiś szkodnik jest na kwiatach, może zobaczysz, co to? - zapytała Wysocka, jednocześnie wstając i dając znak Tomaszowi, aby zrobił to samo.

Kiedy zniknęli, Matylda spojrzała na Kazimierza.

- Zamierza pan coś z tym zrobić?

- Niby z czym? - odpowiedział pytaniem.

- Czy zrozumiał pan, jak ważna jest w pana życiu Krystyna? Że dziś mógł pan ją stracić...

- Tak... uświadomiłem to sobie, kiedy ją niosłem, a potem, kiedy już wykąpaną położyłem do łóżka. Z trudem mówiła, ale powiedziała mi, co ją boli w naszych relacjach. Nie zauważałem tego, nie wiedziałem, że czuje

się zaniedbana przeze mnie. Myślałem, że jak ma piękny dom, pełne konto, to jest szczęśliwa. Traktowałem ją przedmiotowo, a ona myślała, że kogoś mam. Boże, jaki ja ślepy byłem. Wie pani, że kiedy ona wpadła w to bagno, nawet nie wołała o pomoc? Chciała umrzeć, uważała, że los za nią zdecydował, co ma zrobić, poddała się. Dopiero kiedy pokazała jej się kobieta, a po chwili Malwina przy-galopowała. Krysia powiedziała, że była dziwnie ubrana i fryzurę też taką inną miała niż teraz. Powiedziała jej, że musi walczyć o swoje życie i szczęście, że jej koniec jeszcze nie nadszedł. Wtedy przybiegła Malwina, a Krysia ostatkiem sił złapała za ramię od uzdy i tak została wyciągnięta...

- Czyli wyjaśniliście sobie wszystko?

-Tak, chociaż czeka nas jeszcze wiele rozmów. Muszę ją zrozumieć, chociaż nie będzie to łatwe, ale kocham ją i zrobię wszystko, byśmy byli szczęśliwi. Zwłaszcza teraz, kiedy dzieci poszły na swoje i mamy czas dla siebie - odparł pewnym głosem.

- To dobrze, drogi chłopcze. Macie czas, aby na nowo się poznać, nie wolno wam tego zmarnować. - Matylda poklepała go po ramieniu, zaś on nie zwrócił uwagi na określenie, którym zwróciła się do niego. Czuł, że kobieta ma rację.

Kolację jedli na tarasie. Krysia była jeszcze oszołomiona wypadkiem, ale starała się uśmiechać. Kazik obejmował żonę. Czuł, jakby poznał ją na nowo, jakby ponownie się zakochał. Kiedy jeszcze spała po lekach, które zaaplikowała jej Elżbieta, zadzwonił do Bartka,

opowiedział mu, co się stało. Syn odparł, że nie dziwi się mamie, sam chyba czułby się podobnie, gdyby Gabrysia, jego żona, tak go traktowała. W szczerzej rozmowie przypomniał ojcu ich życie. Tak, chłopak miał rację.

Kazik poznał Krystynę na Mazurach, na obozie żeglarskim. Zakochali się w sobie, nie od razu, ale jednak. Pobrali się, kiedy Bartek był już „w drodze”. Zamieszkali u jego matki. Nie były to dobre lata. Teściowa Krystyny była siostrą matki Marka, męża Elki. Kobiety miały podobne charaktery, były kłótniwe, synowe nie były ich w stanie zadowolić. Konflikty wybuchały niemal codziennie. Wyprowadzili się do wynajętej kawalerki, było ciasno, ale w końcu zapanował spokój. Kazimierz zaczął piąć się po szczeblach kariery politycznej, Krystyna wychowywała dzieci: Bartka, Sylwię, Beatę i Maćka. Wysocki coraz rzadziej bywał w domu, pochłonięty pracą i budową domu. Krystyna miała nadzieję, że pewnego dnia wszystko się unormuje. Tak się jednak nie stało. Kiedy kończył się jeden etap w ich życiu, pojawiała się coś nowego, co absorbowało całkowicie jej męża. Tak mijały lata. A on nie wiedział, nie chciał widzieć, że z jego żoną dzieje się coś złego. Przecież miała wszystko, o czym marzy kobieta. Nie robił awantur, nie nadużywał alkoholu, nie kontrolował jej wydatków, więc...?

Rozmowa z synem tylko potwierdziła to, co Krysia mu powiedziała. Bartek stwierdził, że jeżeli zadzwoni do reszty swoich potomków, to każdy powie mu to samo.

- Tato, zwolnij trochę i dostrzeż mamę, bo jutro może być za późno - zakończył rozmowę.

Te słowa zapadły mu głęboko w serce. Teraz gotów był nosić żonę na rękach. Już zaplanował im wakacje, do domu będzie wracał równo o szesnastej, w weekendy będą gdzieś wyjeżdżać. Tak będzie, już on tego dopilnuje. To co chciał, osiągnął, teraz czas na nich samych. Ukradkiem pocałował

żonę w szyję, uśmiechnęła się do niego szczęśliwa i oparła głowę na jego ramieniu.

- A swoją drogą, to dlaczego nikt nic nie zrobił z tym bagnem?
- zapytał Tomasza.

- Wójt wie, że to niebezpieczne miejsce, ale nie jest nawet oznaczone. Przecież niedawno Ela też tam się topiła - odparł zagadnięty.

- Co roku dziwnym trafem ginie tam jakiś zabłąkany turysta. Zawsze ktoś widział delikwenta w tamtych okolicach, a potem słuch po nim ginał - dorzuciła Matylda, dokładając sobie sałatki.

- A policja? - zapytał Wysocki.

- Były tu ich całe tabuny, ale okazało się, że bagno jest bardzo głębokie i nikt nie ma pieniędzy, aby je zdrenować, osuszyć - odpowiedziała Elka. - Chciałam w tej sprawie iść do wójta, ale tyle innych spraw miałam na głowie, że zapomniałam.

- Pieniądze muszą się na to znaleźć, obiecuję, że się tym zajmę.

Wysocky wyjechali nazajutrz rano. Krysia była zmęczona przygodą, nie miała ochoty na wycieczki ani spacer. Wraz z mężem obiecali, że wpadną jesienią na grzyby.

* * *

-1 weekend minął - stwierdziła Elka, siedząc w salonie i pijąc wodę z lodem. - Ten upał wykańcza, a to dopiero maj. Co jest z tą pogodą? A właśnie, coś obiecałaś panu Buremu i mnie zresztą też - przypomniała.

- Nie podarujesz, co? - zaśmiała się Matylda, która też popijała z wysokiej szklanki chłodną wodę.

- Ano nie. Czekam na twoje zwierzenia... Matylda wstała, odstawiła szklankę na stolik. Wyjrzała przez okno, słońce dotykało szczytów górskich.

- Czas zacząć. Chodź, idziemy do mnie - zakomenderowała i ruszyła do wyjścia, nie czekając na Elkę.

Lekarka poderwała się z kanapy, odstawiła pośpiesznie szklankę na stolik i pobiegła za Matyldą.

Szły wąską ścieżką wśród wysokich jeżyn, które czepiały się ubrań ostrymi kolcami. Po pięciu minutach Elżbieta miała ręce podrapane do krwi. Nie pomogło nawet naciąganie rękawów bluzki. W końcu doszły do dużej polany otoczonej sosnami. Po lewej stronie stał domek myśliwski.

Co zadziwiło Elkę, to fakt, że był murowany, nawet dachówka była ceramiczna jak w pałacyku. Był to niewielki parterowy budynek, do którego wchodziło się po kilku stopniach. Elka rozglądała się ciekawie. Na łące panował dziwny spokój, emanujący z każdego źdźbła trawy, liścia na krzewie. Dziwne było i to, że chociaż wszędzie panowała susza, tutaj trawa była soczysta, a dywan kwiatów pokrywał niemal cały teren. Przed domkiem stała drewniana ławka, zaś przy niej leżał ogromny pień dębu. Przed nim było palenisko otoczone kręgiem z polnych kamieni.

Elka weszła do domku za Matyldą. Z małego przedpokoju weszły do dużego pokoju, kiedyś pełniącego rolę salonu łowczego, gdzie na ścianach wisiały trofea myśliwskie, teraz zaś wielkie wiechcie ziół.

-Jak ci się podobają moje salony? - zaśmiała się Matylda, biorąc z podłogi wiklinowy kosz i urywając z poszczególnych kęp zioła.

- No, muszę ci powiedzieć, że robi wrażenie. Trochę tu strasznie, gdybym cię nie znała... - zaczęła ostrożnie Elżbieta, rozglądając się wokół.

-No tak, typowa chata czarownicy - przytaknęła Matylda. - Jedynie biblioteczka przypomina normalny pokój, reszta to pomieszczenia, gdzie królują zioła.

- A po co zrywasz teraz te rośliny?

- Chyba pamiętasz, co obiecałam Józefowi? - Matylda usiadła przy drewnianym stole i wskazała Elżbiecie drugie krzesło. - Siadaj, może herbaty chcesz?

- Nie, dziękuję - pokręciła głową Wysocka.

- Sama wiesz jako lekarka, że każde zioło może pomóc albo zaszkodzić człowiekowi. W połączeniu z modlitwą sprowadza te zjawiska lub zdarzenia, które chcemy.

- Tak jak leki, połączone składniki pomagają na różne choroby - wtrąciła Elka.

- Ale nie zjawiska.

- Fakt.

- Moja rodzina od lat parła się zielarstwem, czyli medycyną naturalną, jak teraz to się nazywa. - Matylda, mówiąc to, wsypała do glinianej misy pokruszone zioła, dołała dziwnego, żółtawego płynu z butelki stojącej na stole i poczęła powoli rozcierać je drewnianym tłuczkiem. - W mojej rodzinie kobiety miały dar uleczenia, przekazywany z pokolenia na pokolenie. Wiele lat temu do tego daru dołączyła umiejętność wywoływania pewnych zjawisk przyrodniczych, jak deszcz, śnieg, wiatr czy słońce. Nauczył tego moją prapraprababkę pewien szaman.

- Indianin? Tutaj? - zdziwiła się Elka.

-Dokładnie. Pewnego razu właściciel tych ziem wyruszył w daleką podróż, skąd przywiózł ze sobą szamana. Nie będę ukrywała, że szlachcicem kierowała chęć zysku. Miał zamiar sprzedać tego człowieka do objazdowego cyrku, aby zarobić. Indianin poczuł się bardzo oszukany. Na tego, który go okłamał, rzucił klątwę, a że nie mógł fizycznie wrócić do siebie, osiadł tutaj.

-Nie rozumiem, skoro był szamanem, to nie przewidział tego, co się z nim stanie? Przecież chyba potrafił, mógł nie jechać.

- Tego nie wiem, być może wiedział, jakie jest jego przeznaczenie, ale mimo to chciał ufać komuś, kto nazywał się jego przyjacielem. Los chciał, że trafił do tej leśniczówki. Mieszkała tu wówczas Maria z córką Katarzyną. Oczywiście ten dom inaczej wtedy wyglądał, nie był murowany, ale drewniany i pokryty strzechą, ale stał w tym samym miejscu co teraz. Dziewczyna z czasem zakochała się w mężczyźnie, który ją intrygował. Kiedy okolicę nawiedziła susza, on jeden potrafił sprowadzić deszcz, a kiedy była powódź, odwracał biegi rzek. Wkrótce urodziła się im córka, która miała w sobie dar swego ojca i matki. I tak od wieków zielarstwo i odczynianie jest w mojej rodzinie przekazywane z pokolenia na pokolenie.

- A ty komu to przekażesz? - zapytała ostrożnie Elka. -Ja? Nikomu, niestety. Na mnie wygasa ród, tak

mówiła przepowiednia tamtego szamana. Tak miało być. - Matylda westchnęła ciężko w odpowiedzi. - Idź do kuchni tymi drzwiami, na parapecie stoi doniczka z ziołami, przynieś mi ją całą - poprosiła, Elka spełniła jej życzenie.

- No, a co powiesz o panu Burym? - zapytała Wysocka, stawiając przed ciotką przyniesioną doniczkę.

- Nie darujesz sobie? - Matylda uśmiechnęła się.

- Nie, obiecałaś opowiedzieć.

- No dobrze. Z Józefem znam się od dziecka, razem się tutaj, w Ruczaju, wychowywaliśmy. Stanowiliśmy nierozłączną parę. Już będąc małym chłopcem, powiedział mi, że się ze mną ożeni. Niestety, los chciał inaczej. Mój przodek przepowiedział, że właśnie na mnie wygaśnie cały ród, więc znasz już odpowiedź. - Matylda ostrożnie przelała miksturę z misy do niewielkiego glinianego garnka.

- To śmieszne - zauważyła Elka, bawiąc się gałązką rozmarynu.

- Śmieszne? - Matylda spojrzała na kobietę zdumiona. - Powiedz raczej, że nie wierzysz w to, co opowiedziałam - zachnęła się.

- Nie o to chodzi. Znałaś słowa przepowiedni i wbiłaś sobie do głowy, że tak musi być. Nie próbowałaś jej przeszkodzić...

- E... niby masz rację, zrobiłam tak, jak ona „chciała” - stwierdziła Matylda. - Nigdy od tej strony na to nie patrzyłam... Być może teraz byłabym już babką kolejnego pokolenia...

-Właśnie, sama pozwoliłaś, aby ta przepowiednia się spełniła - podkreśliła Elka.

- Ale było tam jeszcze coś. Ponoć ma się pojawić gwiazdeczka, która da początek nowemu pokoleniu... - Matylda zmarszczyła brwi, usiłując sobie dokładnie przypomnieć słowa przekazywane w jej rodzinie z pokolenia na pokolenie. - Dziewczynka będzie miała na imię Aszta... - Kobieta potarła dłonią czoło. - Tak, na pewno była i o tym mowa, ale ciężko mi sobie już coś przypomnieć po tylu latach - westchnęła ciężko.

-Rozumiem, ale dlaczego w takim razie teraz odrzucasz oświadczyzny Burego? - zapytała Elka, patrząc przenikliwie na ciotkę.

- No, bo... e... no. - Kobieta nie wiedziała, co ma odpowiedzieć.

- A widzisz, nawet nie wiesz, co masz powiedzieć. Działasz machinalnie, a może warto jednak spróbować?

- Co też tobie po głowie chodzi? Ja, stara baba, za mąż miałabym iść? Teraz? W tym wieku? - Matylda nie kryła oburzenia.

- Niby w jakim wieku? Ile ty masz lat? - zapytała Elka.

- Nie powiem...

-No dobrze, ale powiedz mi, tak szczerze, czujesz coś do Józefa?

W odpowiedzi Wysocka zobaczyła tylko lekki uśmiech na ustach ciotki i wesołe ogniki w oczach. Słowa nie były już potrzebne.

- To co teraz robimy? - zapytała.

- Teraz idziemy przed dom, usiądziesz sobie na ławce, możesz obserwować, ale nie wolno ci nic mówić - poinformowała ją ciotka. - Rozumiesz?

Elka skinęła głową w odpowiedzi. Matylda wstała od stołu i wzięła do ręki gliniany garnek. Obie wyszły na zewnątrz. Wysocka usiadła na ławce, zaś Matylda na małym pieńku przy palenisku, na którym piętrzyło się kilka szczap drewna i chrust. Z kieszeni spódnicy wyjęła zapałki i podpaliła je. Zamknęła oczy, a kiedy z paleniska zaczął się snuć dym, kobieta powoli wylewała na niego płyn z garnka. Zaczęło syczeć i w górę wystrzelił ogień. Wokół rozszedł się dziwny, nieco mdlący zapach.

Matylda odchyliła nieco głowę i zaczęła śpiewnym głosem wypowiadać jakieś zaklęcia. Elce skojarzyło się to od razu z amerykańskimi filmami, gdzie szamani w taki sam sposób modlili się do swoich bogów. Bacznie obserwowała wszystko, ale mimo upływu czasu w zasadzie nic dziwnego nie działo się. Ciotka raz po raz wstawiała i obchodziła ognisko, wrzucając do niego garść suszonych ziół lub wlewając swoją miksturę. Po godzinie ogień sam zgasł.

- Skończone - powiedziała Matylda, obracając się w stronę Elżbiety.

- Niby jak? - zapytała Wysocka, zadzierając głowę do góry i patrząc na niebo, szukając jakichkolwiek oznak nadchodzącego deszczu.

- Kochanie, to nie jest bajka, a ja nie mam czarodziejskiej różdżki i nie mogę zrobić „czary-mary” - roześmiała się Matylda. - Chodź, dam ci grzybków marynowanych, na kolację macie zrazy, to będą pasowały jak ulał - powiedziała i weszła do domu.

Elka została na zewnątrz i dalej uparcie wpatrywała się w niebo.

* * *

Kiedy doszła do pałacyku, zobaczyła Tomka rąbiącego drewno przy szopie. Malwinka pasła się w swojej zagrodzie, ale z daleka dojrzała Elkę i wesoło zarżała. Malinowski podniósł głowę i spojrzał w stronę kobiety. Szła wolno, krok za krokiem, trzymając w rękach jakieś zawiniątko. Oparł siekiere o pień, na którym rąbał drwa.

Tomasz po raz pierwszy miał do czynienia z kobietą, która nie zabiegała o niego jak inne, wręcz odnosił wra-

zenie, że go odpycha. W zasadzie jej zachowanie dawało się tłumaczyć tym, że jest od niedawna wdową, cierpi po stracie ukochanego. Nieraz, będąc na sympozjach weterynaryjnych, po zajęciach siedząc z kolegami po fachu w barze, opowiadał, jakie ma powodzenie. Zazdrościli mu, on sobie nie. Ot, gadał byle gadać, ale tak naprawdę nie cieszyło go to. Wszystkie te kobiety były nachalne, męczyły go swoją troską. Każdą porównywał z Małgosią, nawet Elizę. Ta była najbardziej wytrwała. Bywał u niej, od czasu do czasu sypiał, ale kiedy się kochali, w ramionach trzymał Małgosię, nie Elizę. Zdawał sobie sprawę, że krzywdzi ją w ten sposób, ale nie potrafił inaczej. Jednak z czasem coraz bardziej zaczął mu ten układ przeszkadzać, zwłaszcza kiedy... kiedy w Ruczaju pojawiła się Elżbieta. Kobieta z charakterem, która mu nie nadszkakiwała, która nie patrzyła na niego pożądliwie, chociaż nie raz specjalnie tak się ubierał, aby wyeksponować swoje walory. A ona nic, nie reagowała. Czasami wydawało mu się nawet, że patrzy na niego pogardliwie. Nie, nie była w niczym podobna do Małgosi. Była jej przeciwieństwem, a jednak intrygowała go bardzo. Teraz patrzył, jak idzie powoli w jego stronę.

-Cześć, wiesz, co robiłam z Matyldą? Nie uwierzysz - zawołała, będąc od niego kilka metrów.

- Błedego pojęcia nie mam, ale widzę, że dzierzysz w ręku jej grzybki, czyli mamy dzisiaj na kolację zrazy - ucieszył się.

- Chwileczkę, zrazy i grzybki to mam ja, a tym masz to, co sobie przygotujesz na kolację - odparła całkiem poważnie, a nawet mogło się wydawać, że impertynencko.

-No... ale... Matylda zawsze gotowała dla mnie i lokatorki, która mieszkała obok - zaczął się tłumaczyć.

- A dałeś na mięso pieniądze? - zapytała.

- E... no nie, nikt mi nie powiedział, zawsze jadłem i...

- „Zawsze” ma też swój koniec. Ja nie zamierzam cię utrzymywać. Jesteś dorosły, pracujesz i zarabiasz - odparowała.

- Ale nie przeszkadzało ci to, kiedy w sobotę jadłaś kaczkę, którą przyniosłem - zaatakował, pewnie opierając się na siekierze.

- Po pierwsze kaczkę dostałeś w prezencie, żeby nie powiedzieć „łapówce”, nie płaciłeś za nią, a po drugie zezarłeś kotlety wieprzowe zrobione z mięsa kupionego za moje pieniądze, wychlałeś piwo, które ja kupiłam dla swoich gości - odparowała.

-Zezarłeś, wychlałeś? Piękne słownictwo, nie ma co - zakpił, ale już mniej pewnie.

Elka podeszła do niego blisko, zbyt blisko. Czuł zapach jej perfum, delikatny, lekko piżmowy, musiał wziąć głęboki wdech, aby opanować pożądanie, które zaczęło go ogarniać.

Wysocka spojrzała na niego pogardliwie, trąciła stopą siekierę, na której się opierał, tak że mężczyzna zachwiał się i o mały włos nie upadł.

- To, jak jadłeś i piłeś, nie da się inaczej określić. Niedobrze mi było, kiedy na ciebie patrzyłam. Co za łakomstwo, wstyd! - Uniosła głowę i pomaszerowała w stronę pałacyku, nie oglądając się za siebie.

Patrzył za nią, czuł wzbierającą złość i... coś, czego nie potrafił lub nie chciał określić. Podniósł siekierę i zaczął ze złością rąbać drewno.

Po półgodzinie zobaczył Elkę na tarasie, rozkładała talerze na stole.

- Tomek, chodź, kolacja gotowa - zwołała.
- Dziękuję, nie skorzystam - odkrzyknął butnie.
- Jak chcesz, zraziki, grzybki, ziemniaczki i maślanka. Dwa razy zapraszać nie będę - odparła głośno, ale spokojnie, bez żadnych emocji.

Tomek toczył ze sobą walkę, był głodny, a w lodówce tylko światło mu się paliło, chleba też nie miał. Liczył na to, że sporo jedzenia zostało po gościach i będzie mógł z tego skorzystać. Tymczasem ONA tak go potraktowała! O nie, nie da jej tej satysfakcji, mowy nie ma. Woli być głodny! Niestety, poczuł zapach zrazów, łąpczywie wciągnął go do płuc. Cholera! Rzucił siekierę i ruszył w stronę tarasu.

Usiadł za stołem, przed nim stał pusty talerz. Czekał.

- No, co jest? - zapytała Elżbieta, która kroїła w krążki zraza.
- Pusty talerz - odburknął.
- Będzie pełny, jak sobie nałożysz - odparła spokojnie.
- Jak? - zapytał głupio.
- No więc bierzesz z tej salaterki łyżkę i nakładasz ziemniaki, tyle, ile zjesz, potem z tego półmiska na widelec nabijasz mięso, a z tej miseczki nakładasz sobie grzybki. Wszystko robisz powoli i ostrożnie, by nie pospadało, zanim trafi na talerz - odparła z ironią.

Tomek zaklął pod nosem, ale, nie mając wyjścia, nałożył sobie jedzenie „według instrukcji” tej wiedźmy, jak ją zaczynał nazywać w myślach.

Jedli w milczeniu, co zaczynało Elce przeszkadzać.

- Będziemy tak jeść w milczeniu? - zapytała.
- Ponoć kiedy się je, to nie powinno się mówić, by nie doszło do zakrztuszenia - odparł ironicznie Tomasz.
- Istotnie, ale wówczas, gdy mówisz i masz w ustach, chociaż ty to w jamie gębowej, jedzenie. Kiedy jednak je przełkniesz, możesz użyć swojego aparatu gębowego do konwersacji - zripostowała szybko.

Malinowski nie wytrzymał i roześmiał się na głos, Elżbieta zawtórowała mu.

- Nie ma na ciebie mocnych, kobieto - wykrztusił.

- Biorę tę uwagę za komplement - odparła.

- To o czym będziemy rozmawiać?

- Byłam dziś u Matyldy, odprawiała jakieś czary, by sprowadzić deszcz, nie bardzo wierzę w takie... nie wiem, jak to określić. - Nalała z dzbanka soku sobie i Tomaszowi.

- Odczynienia? - podpowiedział.

- Może, sama nie wiem, bo nigdy nie miałam z tym styczności - odpowiedziała. - Chciała wywołać deszcz, ale chyba jej coś nie wyszło, bo nadal słońce świeci i jest upał. Powietrze niemal stoi. Dobrze, że tutaj mamy cień.

- Ja bym taki pewien nie był, czy jej się nie udało - odparł, spoglądając na zagrodę Malwinki. - Spójrz na naszą pupilkę, biega wzdłuż ogrodzenia, jest podenerwowana, coś się szykuje.

Elka obróciła się na ławce, by spojrzeć w stronę zagrody. Istotnie klacz biegała wzdłuż płotu, od czasu do czasu rżała nerwowo.

- Boi się?

- Tak, zwierzęta nie lubią burzy. Chce, aby ją zaprowadzić do stajni, sama teraz nie przeskoczy ogrodzenia - odparł.

- Jak to, a ostatnio? Kiedy topiłam się w bagnie? - zapytała Elżbieta, sięgając po kolejną porcję mięsa.

- Tego też nie rozumiem. Wypuszczę ją, OK? - Spojrzał na kobietę, kiwnęła głową na zgodę. Wstał od stołu

i ruszył w stronę zwierzęcia. - Tylko nie sprzątaj jeszcze ze stołu, ja nie skończyłem! - zawołał przez ramię, będąc już przy bramie zagrody.

Elka uśmiechnęła się tylko, naszykowała jeszcze ciasto i kawę, ale miała to być niespodzianka.

Wypuszczona Malwina pocwałowała w stronę Wysockiej, zatrzymała się przy barierce tarasu i zaczęła machać łbem. Elka wstała i pogłaskała ją pieśczośliwie po szyi.

- Boisz się burzy? Ja też - szepnęła jej do ucha. - Ale nie mów o tym nikomu. I co, nie zaprowadzasz jej do stajni? - skierowała pytanie do Malinowskiego, który stanął obok konia.

- Sama pójdzie, ona, wyczuwając zmianę pogody, musi mieć swobodę ruchów, aby zdecydować, kiedy jest czas na rejteradę. - Uśmiechnął się.

Wszedł na taras i usiadł z powrotem za stołem, zabierając się do jedzenia.

- Zwierzęta jednak są lepsze od nas. Nimi kieruje instynkt. Nami - żądze - zauważyła.

- Masz rację. Dlatego wśród ludzi jest tyle cierpienia, nienawiści, zbrodni. Mamy umysł, logicznie myślimy, ale tak naprawdę nie potrafimy korzystać z tych zasobów. - Tomek pokiwał głową i nałożył sobie kolejną porcję ziemniaków. - A odbiegając od tematu, ja naprawdę tak łapczywie jem?

- Tak, teraz nie, ale wczoraj i wcześniej jadłeś tak, jakby ktoś chciał ci talerz zabrać sprzed nosa.

- Ale obciach - podsumował Tomasz.

- Fakt, wszyscy na ciebie patrzyli, wstyd mi było za ciebie - odparła.

- Tobie było wstyd za mnie? Dlaczego? - Nie rozumiał.

- Też tego nie mogłam zrozumieć - odparła. - Może dlatego, że jednak mieszkamy pod jednym dachem? Sama nie wiem... O, ktoś jedzie. - Wskazała na drogę przy moście, zmrużyła oczy, by lepiej widzieć. - Hm... chyba to do ciebie.

- Do mnie? - Tomasz zdziwił się i obrócił, by spojrzeć na drogę.

- Tak, do ciebie, bo pani Eliza ze mną nie ma interesów - odpowiedziała. - To ja chyba pójdę do siebie albo do ogrodu.

- Nie przesadzaj, może coś się stało z jej psem. Kupiła sobie sznaucera, ale z wadą bioder, więc lecę go, ale chyba do końca życia będzie kulał - powiedział spokojnie i zaczął dalej jeść.

-Aha - westchnęła i usiadła na powrót, chociaż z mieszanymi uczuciami.

Eliza zgrabnie zaparkowała przed pałacykiem. Otworzyła drzwi samochodu, Elżbieta najpierw zobaczyła smukłe nogi w szpilkach, potem nie mniej powabną resztę. Westchnęła w myślach: „Gdzie mnie do niej? Młoda, zgrabna, ech... Trzeba pogodzić się z czasem”.

-Witam panią - powitała Elkę skinieniem głowy. - Cześć, Tomaszu. - Zgrabnie weszła po schodach na taras i pocałowała mężczyznę w ustach, zaś on machinalnie otarł je ręką i spojrzał na Konopko zdziwiony. - Widzę, że przerwałam późny obiad? Tomaszku, zabieram cię do Krakowa do tej restauracji, o której ci wczoraj w nocy opowiadałam - powiedziała seksownie, łaszcząc się do niego jak kotka.

Tomek nie wiedział, co ma zrobić. Zawstydzony popatrywał na Elkę, której mina wyrażała pogardę, czuł się po prostu głupio.

- Przepraszam, ale jak widzisz jestem po obiedzie, zresztą...

- Daj spokój, to zjesz pyszny deser, chociaż wiem, że wolałbyś co innego, ale to zostawimy sobie na noc... - Niby szeptała mu do ucha, ale tak, aby jej słowa dotarły do Wysockiej.

- Hm... - Elka dała do zrozumienia, że wszystko słyszy.

- Zakrzuszyła się pani? - zapytała słodko Eliza. - Proszę popić soczkiem. W tym wieku musi pani uważać na siebie - dodała złośliwie.

Wysocka zacisnęła usta i wstała z ławki.

- Eliza, uspokój się, co cię opętało?! - zawołał Malinowski. Był między młotem a kowadłem. - Niestety, nie mogę, zaraz jadę do pacjentów, nagłe wezwanie miałem. Przełożymy to na inny dzień. Przepraszam, ale muszę się przebrać. - Wstał i skierował się do drzwi, za którymi przed chwilą zniknęła Wysocka. - Zadzwoń w tygodniu - rzucił do Elizy już w progu.

Konopko zacisnęła usta, Tomasz popatrzył na nią. Rzadko ją widział w takich sytuacjach, jej twarz była wykrzywiona, z grymasem złości, nie było w niej tego powabu i czaru, który kiedyś go uwiódł. Westchnął i wszedł do budynku.

Eliza ze złością wzięła torebkę ze stołu, wsiadła do samochodu i odjechała, zostawiając za sobą tumany kurzu.

Elżbieta, wbrew własnym zasadom, nie mogła się oprzeć i podsłuchiwała ostatnie słowa Tomka i Elizy. Sprawily jej ogromną satysfakcję. Tym bardziej że Tomek poszedł do siebie i włączył radio, czego nie robił, kiedy miał wyjeżdżać, a więc? Po prostu chciał się wykręcić!

Wyjrzała przez okno salonu na taras, musiała sprzątnąć naczynia. Poszła do kuchni, skąd wzięła tacę. Kiedy układała na niej brudne naczynia, usłyszała, że ktoś stanął w drzwiach.

- A deser jakiś jest? - W progu stał Tomek, ubrany tak samo jak podczas obiadu, tylko w spodnie od dresu i adidas.

- Nie pojechałeś z nią? - Udała zdziwienie, dalej kładąc naczynia na tacę.

- Miałem wezwanie...

- Ale widzę, że nie pojechałeś - zwróciła mu uwagę.

- Bo gospodarz przysłał SMS-a, że już wszystko jest dobrze. Krowa mu się zaczęła krztusić jabłkiem...

- Aha. - Elka odwróciła się, tak aby nie widział jej uśmiechu. - To siadaj, zaraz podam kawę i ciasto, a potem skopałbyś grządkę pod fasolkę? - zapytała, kierując się z tacą do budynku.

- Za kawę i ciasto zrobię, co chcesz, kochanie... e... przepraszam - sumitował się.

- W porządku. Swoją drogą, nikt tak nie mówił do mnie, odkąd Marek zginął - odparła i weszła do pałacyku.

Kiedy kończyli pić kawę, Tomasz spojrział na południową stronę lasu.

- Patrz - wskazał ręką - jakie chmury idą od południa.

Elka spojrzała we wskazanym kierunku. Istotnie, nadchodziły ciemne niczym smoła chmury. Spiętrzone, tworzyły dziwne kształty, przerażały ją. Wzdrygnęła się. Nie uszło to uwadze mężczyzny.

- Boisz się burzy? - zapytał, niby od niechcienia, chociaż wiedział, jakiej odpowiedzi może się spodziewać od tej kobiety.

- Nie, oczywiście, że nie, tylko jakoś zimno mi się zrobiło - zaczęła paplać z prędkością pendolino.

- W porządku, to ja na razie zaprowadzę Malwinę do stajni i pozamykam drzwi od stodoły i obórki. Dasz sobie radę? - zapytał.

Elka dojrzała w jego oczach coś na kształt troski, poczuła miłe ciepło rozlewające się wokół serca. W odpowiedzi kiwnęła głową.

- Zaraz wrócę - rzucił jeszcze przez ramię i poszedł na łąkę.

Kiedy odszedł, Elżbieta jeszcze raz spojrzała na chmurę, pośpiesznie zaczęła zbierać talerzyki i filiżanki ze stołu. Do domu wpadła niemal jak błyskawica w chwili, kiedy od strony lasu usłyszała pierwsze pomruki nadchodzącej nawałnicy. Szybko przebiegła wszystkie pokoje w domu i pozamykała okna, na końcu wbiegła do kuchni, odstawiła tacę i stanęła przed zamkniętym oknem. Pomruki burzy były coraz głośniejsze, błyski raz po raz przecinały granatowe już niebo. Objęła się rękoma za ramiona. Wyszła szybko z kuchni i skierowała się do biblioteki, tam przynajmniej okno zasłaniało rozłożyste drzewo. Skuliła się na kanapie, żałowała, że nie wzięła z salonu koca, pod który mogłaby się teraz schować. Każdy grzmot wprawiał ją w drżenie. Podskoczyła, kiedy drzwi gwałtownie otworzyły się i stanął w nich Tomasz. Miał mokre włosy, krople wody spływały mu na nagi tors, potrząsnął głową. Wokół rozsypały się kropelki deszczu. Spojrzał na Elżbietę i bez słowa usiadł przy niej. Objął ją i przytulił. Nie opierała się, wręcz przeciwnie, jeszcze mocniej wtuliła się w niego i zamknęła oczy. Każdy grzmot wprawiał jej ciało w drżenie, przy błysku, którego światło jednak rozbłyskiwało na ścianie pokoju, zamykała oczy. Tomasz głaskał ją po włosach.

- Zaraz przejdzie, nie bój się - szeptał jej do ucha. -Nie bo...ję się, tylko... - Próbowwała zachować resztkę godności.

- Wiem, wiem - potwierdził.

Siedzieli tak jeszcze ponad pół godziny. Deszcz bębnił o parapety, drzewa uginały się pod wpływem wiatru, dotykając gałęziami ziemi. Za oknami widać było jedynie ścianę wody. Po godzinie wszystko zaczęło powoli cichnąć, Elka odprężała się coraz bardziej. Zawstydzona, chciała odsunąć się od Tomasza, ale nie zwolnił uścisku.

- Puść, to nie wypada. Przepraszam za tę słabość... -zaczęła się tłumaczyć.

- Nie musisz nic mówić, wszystko rozumiem - powiedział spokojnie, pochylił głowę i spojrzał jej w oczy.

Nigdy nie widział tak pięknych, bursztynowych oczu, nawet Małgosia... to była chwila, impuls... Przywarł ustami do jej warg. Rozchyliła je. Jego język zaczął swój taniec. Oboje ogarniało coraz większe pożądanie. Nawet nie wiedzieli, kiedy oboje nadzy leżeli na dywanie w miłosnym uścisku. Długo tłumione i niezaspokojone żądze ogarnęły Elżbietę, poddała się swoim uśpionym fantazjom.

Tomasz pokrywał jej ciało pocałunkami, przed oczami miał jej twarz! Jej! Elżbiety, nie Małgosi. Ogarniała go namiętność, nie było to tylko pożądanie, chęć zaspokojenia seksualnego, ale coś więcej. Coś, czego na razie nie potrafił określić. Pragnął tej kobiety od samego początku, od chwili, kiedy po raz pierwszy stawiała mu kontrę. Kochając się, nie śpieszyli się, każda pieszczota zdawała się być przemyślana. Badali nawzajem swoje ciała i ich reakcję na dotyk, pocałunek...

Kiedy później leżeli obok siebie w miłosnym uścisku, Elka zażenowana zapytała:

-1 co teraz?

- Nie rozumiem? - odpowiedział pytaniem na pytanie. - Co ma być? Jesteśmy dorośli, wolni... - W tym momencie głos mu lekko zadrżał.

- Sam widzisz, ciągle masz żonę w sercu...

- Tak, mam ją w sercu i dzieci też, ale chyba to dobrze, prawda?

- Tak, tak powinno być. Ja też nie mogę zapomnieć o Marku. Tyle lat byliśmy razem. On był moim pierwszym mężczyzną, w którym się naprawdę zakochałam, nigdy go nie zdradziłam, był tym pierwszym i ostatnim - westchnęła głęboko.

- Ja z Małgosią miałem podobnie. Ale chyba czas zacząć żyć na nowo, ciągła żałoba nie pomoże nam odzyskać spokoju. Wiesz, wydaje mi się, że powinniśmy ich wspominać z uśmiechem - odparł, mocniej przytulając do siebie Elkę.

- Może masz i rację, ale dla mnie to chyba za świeże rany.

* * *

Przez kolejne dni unikali się nawzajem, jeżeli przypadkowo się spotkali, jedno popatrywało na drugie z zażenowaniem. Matylda obserwowała ich uważnie, uśmiechała się tajemniczo do siebie i upychała w ich szafach woreczki z ziołami. Po co? To tylko na wiedziała.

Przez kolejne noce padało, w dzień słońce wędrowało nad szczytami gór i wierzchołkami lasów. Trawa na pastwiskach rosła jak oszalała, wszyscy byli zadowoleni. No, prawie wszyscy, ponieważ z wdzięczności ruczajanie zaczęli znosić Matyldzie różne dobra: a to kaczkę oskubaną już i opaloną, a to udziec jagnięcy, a to kopę jajek, a to kosz papierówek czy worek ziemniaków. Spiżarnia w pałacyku pęczniała, zamrażarki nie chciały nic więcej przyjąć. Elka załamywała ręce, w czwartek, kiedy przyjechał Bartek i Mańka, obdarowała ich, czym tylko mogła, nie słuchając protestów.

W piątek po pracy Wysocka zmuszona była wstąpić do sklepu Elizy po drobne sprawunki. Odetchnęła z ulgą, widząc, że za ladą stoi nowa ekspedientka. Elżbieta pośpiesznie wybierała towary z półek i wkładała do koszyka. Kiedy chciała podejść do kasy, dzwonek u drzwi oznajmił, że ktoś wszedł. Odruchowo odwróciła głowę. Kilka metrów przed nią stała Eliza.

- Dzień dobry - przywitała się.

- Dzień dobry - odparła Elka.

-Słyszałam, że dzięki ciotce mamy w końcu zachowaną równowagę w pogodzie - zagadnęła Eliza z szyderym uśmiechem.

- Nic mi o tym nie wiadomo. Deszcz i susza to chyba nie są nadzwyczajne zjawiska - stwierdziła Elka, podając ekspedientce pieniądze.

-Mam nadzieję, że nie będzie padać w przyszłą sobotę...

Elka spojrzała na nią, ale nie zapytała „dlaczego”, nie chciała dawać jej satysfakcji, czuła, że kryje się za tym kolejna uszczypliwość. Postawiła koszyk na ladzie i zaczęła pakować produkty do torby. Konopko, nie mogąc się doczekać pytania, sama zaczęła mówić:

- W przyszłą sobotę będzie festyn zdrowia „Ćwicz, biegaj razem ze swoim pupilem”...

W odpowiedzi Elka jedynie na nią spojrzała.

- Wójt na pewno będzie z panią o tym rozmawiał...

- Ze mną? A w jakim celu? - Elka w końcu zapytała. - Samo hasło chyba o tym mówi. Jest namiot,

w którym lekarz udziela odpowiedzi na pytania zarówno mieszkańców, jak i turystów. Zawsze w festynie biorą udział lekarze. Tomasz także będzie, w końcu to też lekarz, chociaż ma innych pacjentów. Nawet pani nie wie, ale bywało, że ludzie częściej byli w jego namiocie i pytali o swoich pupili, niż o własne zdrowie...

-Na razie nic mi o tym nie wiadomo. Zresztą nie mam jeszcze tak dalekosiężnych planów. A teraz przepraszam, muszę jechać, bo córka dzisiaj przyjeżdża ze swoim narzeczonym, mam trochę pracy w domu.

- Po festynie będzie zabawa, oczywiście każdy powinien przyjść na nią ze swoim partnerem. My z Tomaszem co roku stanowimy doskonały tandem. A pani się pojawi?

Elka nie wiedziała, co ma odpowiedzieć, wzruszyła jedynie ramionami.

- Wiem, że Kotek chciał panią zaprosić - rzuciła złośliwie Konopko.

- Pani Elizo, niech pani zajmie się w końcu swoimi sprawami, a nie moimi - odparła podenerwowana i wyszła ze sklepu.

Wychodząc, natknęła się na Grzybka siedzącego na ławeczce. Mężczyzna, widząc ją, poderwał się, szybko zdjął czapkę i ukłonił się nisko.

-Witam panią doktor - powiedział z szerokim uśmiechem, chowając za siebie butelkę z winem.

- Dzień dobry - odparła. - Widzę, że nie zmienił pan zwyczajów?

- Jakich? - zapytał, udając, że nie rozumie, o co jej chodzi.

W odpowiedzi pogroziła mu żartobliwie palcem. W tym momencie na rynecek wjechał swoim samochodem wójt. Zaparkował przed sklepem, wysiadł i skłonił się Elżbiecie.

- Dzień dobry - przywitał się. - Dobrze, że panią widzę, bo mam do pani dwie sprawy. Zechce się pani doktor pofatygować ze mną do urzędu? Tam wszystko spokojnie opowiem.

-Trochę się śpieszę, dzisiaj mam gości... - odparła niepewnie. Wójt, widząc jej wahanie, podszedł bliżej, wziął ją pod ramię i zachęcił:

- To doprawdy z dziesięć minut potrwa, nie dłużej, obiecuję. A mogę zapytać, kto przyjedzie? Może wojewoda? - Zajrzał jej w oczy, chcąc odczytać z nich informację.

- Nie, Kazik będzie dopiero na jesieni, wpadnie na grzyby. Córka z narzeczoną ma przyjechać, dlatego mam mało czasu - odpowiedziała, czym uspokoiła wójta.

- To chodźmy, szybko wszystko załatwimy. - Poprowadził ją w stronę urzędu.

Weszli do gabinetu. Marian od razu zaprosił Elkę, by zajęła miejsce na kanapie. Zadzwoił po Kotka, który zjawił się w kilkanaście sekund.

- Pani doktor - zaczął rozmowę Kryszał, siadając obok Elki na fotelu. - W przyszłą sobotę organizujemy coroczny festyn propagujący zdrowie ludzi i zwierząt. Chcielibyśmy panią zaprosić do uczestnictwa. Będzie namiot, w którym kilka godzin posiedzi pani i odpowie na pytania mieszkańców czy turystów. Oczywiście, jest to akcja społeczna... - Nieco się zawahał.

- Tak, słyszałam od pani Konopko o tym. Powiem szczerze, że nie wiem, co będę robiła w przyszły weekend.

-Kochana pani doktor, proszę nam nie odmawiać. To naprawdę fajna impreza, można poznać ciekawych ludzi... - wtrącił się Kotek. - Catering będzie dla pani i pana Malinowskiego darmowy oczywiście.

- Wow, ale kuszące - odparła nieco złośliwie Elka. -Dobrze - westchnęła.

- Bardzo pani dziękuję! - zawołał szczerze ucieszony wójt.

- A ta druga sprawa? - zapytała Wysocka.

- Jaka sprawa? - Kryszał spojrział na nią lekko zdezorientowany i podrapał się po głowie.

- Tego ja nie wiem, to pan o niej mówił na ryneczku, kiedy się spotkaliśmy - wyjaśniła.

-Racja! - krzyknął i uderzył się dłonią w czoło. - Otóż jutro przyjeżdżają z Krakowa strażacy ze specjalnym sprzętem i będą wypompowywać szlam i błoto z tego bagna w lesie...

- O! - Elżbieta nie kryła zaskoczenia. - Tak szybko? Kazimierz...

-Pan wojewoda sfinansował częściowo tę akcję. Zresztą był już czas, aby to zrobić - odparł wójt.

-Ponoć kilku turystów zaginęło w tamtych okolicach - stwierdziła Elżbieta, wygodnie sadowiąc się na kanapie.

- Istotnie... - Wójt zaczerwienił się.

-A pan nic z tym nie zrobił, wiadomo, że na ratunek za późno, ale rodziny mogłyby ich chociaż pochować. - Wysocka spojrzała się na niego wymownie.

- Ależ pani doktor, ci ludzie mogli zginąć na szlakach, spaść w jakąś przepaść albo po prostu nie chcieli wracać do domu... - wtrącił Franciszek.

- Oczywiście! Kotek ma rację! Mało to ludzi wychodzi z domu i nie wraca, bo nie chce? - Marian był wdzięczny zastępcy.

- Ta, jasne. - Elka pokręciła głową w geście niedowierzania.

-Ale wracając do sprawy - ciągnął wójt. - Jeżeli pani chce, to może uczestniczyć w tej akcji.

- Hm... Wie pan, skuszę się. Sama tam o mały włos nie utonęłam. Zresztą i żona Kazimierza, Krystyna, także. O której to będzie?

- O dziewiątej rano zacznie się akcja - odparł wójt, zadowolony, że niewygodny temat zaginięć turystów zakończył się.

- A co potem będzie? Bo przecież tam jakieś ciekie podskórne są i dlatego zbiera się woda - dopytywała Elka.

- Cały teren zostanie ogrodzony, będą też rozstawione tablice informacyjne - odpowiedział z dumą wójt.

- To wspaniale - szczerze ucieszyła się Elka. - A teraz przepraszam, ale muszę już jechać, bo nie dam rady się przygotować na przyjazd córki - odparła i podała wójtowi rękę na pożegnanie.

- Aha, byłbym zapomniał. Po festynie odbędzie się zabawa, będą tańce i pieczony baran. Chciałbym zaprosić panią do stołu VIP-ów - pośpiesznie poinformował.

- VIP-ów? - Elka nie kryła rozbawienia.

- No... tak. - Wójt lekko się zmieszał. - Może trochę niezręcznie się wyraziłem, ale... chodzi o to... - jąkał się.

- Proszę się nie tłumaczyć. Dziękuję za zaproszenie, ale nie wiem, czy dam radę, mogę być naprawdę zmęczona po całym dniu.

- Festyn kończy się o siedemnastej, a zabawa zacznie się około dwudziestej. Przyjechałbym po panią z żoną, chyba że będzie pani z osobą towarzyszącą.

- A sama nie trafię? - zapytała z uśmiechem.

- Nie to miałem na myśli. Zabawa odbędzie się pod namiotem, na hali przy Czarnym Potoku, nie wiem, czy już tam pani była.

- Istotnie, nie byłam, ale poradzę sobie, o ile przyjdę. A teraz do widzenia. - Skierowała się do drzwi.

- Panie Kotek, proszę odprowadzić panią doktor i dać harmonogram festynu. - Wójt wydał polecenie Franciszkowi.

Kotek posłusznie podreptał za nią. Kiedy byli już na korytarzu, mężczyzna zagadnął:

- Proszę tu poczekać, ja tylko przyniosę ze swojego gabinetu ten harmonogram.

- Dobrze - odparła i stanęła przy oknie, patrzyła na rynecek, gdzie na ławeczce siedzieli już trzej panowie.

Dyskutowali zawzięcie, szczególnie poruszony wydawał się Grzybek, który w końcu wstał i ruszył do „Oscypka”. Elka mimo wszystko lubiła ich, ot, nieszkodliwi pijaczkowie, którzy pracować nie chcieli, ale też nie szkodzili nikomu. Skąd brali pieniądze? Tego mogła się tylko domyślać.

Po minucie na korytarzu pokazał się Kotek. W ręku trzymał kartkę formatu A4.

- Pani doktor, tutaj jest harmonogram oraz mapka, na której pani namiot oznaczony jest numerem pięć. - Stał przy niej i zaczął objaśniać rysunki.

- Fajnie, wszystko jasne. - Kiwnęła głową. - Dziękuję bardzo, a teraz już lecę.

- Pani doktor... - zaczął trochę nieśmiało Franciszek.

- Tak? - Przystanęła przed schodami i odwróciła głowę w jego stronę.

- Mam dla pani propozycję - zaczął ostrożnie. - Otóż wiem, że na zabawę idzie pani sama, więc może moglibyśmy razem? Wiadomo wszystkim, że Malinowski z Elizą pójdzie jak co roku. A pani? Przyjechałbym po panią, a potem oczywiście odwiózł... - Poczynał sobie coraz śmieiej, widząc lekki uśmiech na ustach Elżbiety i biorąc to za dobrą monetę. - Chyba że pojechalibyśmy do mnie na lampkę koniaku...

- Hm... - odchrząknęła Wysocka. - Dziękuję panu, to ogromny zaszczyt dla mnie...

-No ja myślę - mruknął Kotek pod nosem, ale wystarczająco głośno, aby Elka to usłyszała.

- O ile wybiorę się na zabawę, to sama, nie interesują mnie już mężczyźni z tego punktu widzenia, o którym pan myśli, panie... Kotek.

- A z jakiego interesują? - zapytał, zbliżając się do niej.

- Medycznego, a ostatnio szczególnie intryguje mnie ich tok myślenia, który popycha ich do dziwnych zachowań i nieprzemyślanych wypowiedzi.

- Szanowna pani, od dawna wiadomo, że kobieta nie jest w stanie zrozumieć prawdziwego mężczyzny. Jej logika nie jest na poziomie, który dorównałby mężczyźnie, a w szczególności mnie. Nie wiem, czy pani wie, ale mój iloraz inteligencji wynosi 110. - Wypiął dumnie pierś do przodu.

-Radzę zmienić stronę internetową z testami dla dzieci na tę dla dorosłych - poradziła ironicznie.

- Ja bym się na pani miejscu zastanowił, druga taka okazja może się pani nie trafić. W Ruczaju jedynie ja i Malinowski możemy być dla pani partnerami, ale wiado-

mo, że doktorek za Elizą się ugania. Zostaję zatem jedynie ja. Mam wyższe wykształcenie, stałą pracę, stanowisko, aparycji też niejeden może mi pozazdrościć...

Jego wywód przerwał wybuch śmiechu Elżbiety. Spojrzał na nią szczerze zdziwiony.

- Nie rozumiem, czym panią tak rozbawiłem - syknął przez zęby.

- Czy pan czasem nie jest w okresie andropauzy? -zapytała, tłumiąc resztki rozbawienia.

-Czego?

-Andropauzy - powtórzyła. - Proszę się do mnie zgłosić w poniedziałek, spróbuję panu pomóc - odparła i zbiegła po schodach, zostawiając osłupiałego Franciszka.

Kotek zacisnął zęby i ruszył do gabinetu wójta. Kiedy wszedł, zobaczył, że wójt leży na biurku i zaśmiewa się do łez, widząc zaś podwładnego, oparł się na łokciach.

- Co, nie wyszło ci? - zapytał, ocierając łzy śmiechu, które spływały mu po policzkach.

- Nie wiem, o czym pan wójt mówi - odparł trochę niepewnie Kotek.

- Trzeba było za sobą dobrze drzwi zamknąć. - Ponownie roześmiał się.

Kotek wzruszył jedynie ramionami i zasiadł na krześle przed biurkiem.

- Ta lekarka to za wysokie progi na twoje nogi, Franek - stwierdził przyjacielskim tonem Kryszał.

- Też mi coś - prychnął Kotek.

- Do tego świeża wdowa, a ty z bucioremami takie propozycje jej składasz, jeszcze do tego chwalisz się czymś, co trudno w twoim przypadku udowodnić. Nie tak zacząłeś, trzeba było na zabawie do niej uderzać, nie tak po chamsku, ale inteligentnie, poprzez konwersację - doradzał wójt.

- Przez co? - zapytał Kotek, marszcząc nos.

- Oj, Kotek, kup sobie słownik wyrazów obcych -polecił wójt.
- A teraz bierzemy się do roboty. Masz kosztorys festynu?

* **

Elka wyszła z gminy i skierowała się w stronę zaparkowanego przed sklepem samochodu. Kiedy przechodziła koło ławeczki, poderwał się z niej Grzybek.

- Pani doktor, ja chciałem się o coś zapytać...
- Słucham. - Przystanęła i zaczęła się w myślach modlić, aby nie był to kolejny adorator.
- Widziała pani tę nową ekspedientkę w sklepie? -zapytał, miętoląc w rękach czapkę.
- Niby tak, ale nie za bardzo się jej przyglądałam -odparła.
- Bo ja chciałem się doradzić...
- Poradzić - poprawił go Walery.
- Poradzić - powtórzył jak echo Grzybek. - Jak do niej zagadać, żeby jutro na zabawę ze mną poszła? Bo ona po szkołach jest, technikum gastronomiczne w Krakowie kończyła, tylko na maturze ją oblali...
- Ja mam panu doradzić? - zdziwiła się Elka. - A do tej pory jak pan sobie radził w takich sprawach?
- No do tej pory to ja szusowałem do naszych, to znaczy ruczajaneł, ale ona z wielkiego miasta przecież, to inaczej trzeba.

Elka miała ochotę wymówić się brakiem czasu, co zresztą było prawdą, ale spojrzała na Grzybka. W jego oczach dostrzegła prośbę o pomoc, on naprawdę liczył na to, że mu pomoże. Westchnęła głęboko, spojrzała na zegarek.

- No, dobrze. Usiądźmy - odparła.

- Panowie, miejsce dla pani doktor - zakomenderował Krzysztof.

„Panowie” od razu przesunęli się na koniec ławki, przy czym Walery zrobił to tak energicznie, że Paźyr o mały włos nie klapnął na chodnik. Elżbieta usiadła wraz z Grzybkim.

- Jak ma na imię ta dziewczyna? - zapytała.

- Zofia - odparł z namaszczeniem w głosie Grzybek.

- Proszę do niej pójść, ale nie tak ubranym jak teraz, i trzeźwym przede wszystkim. - Pogroziła palcem. - I po prostu zapytać: „Pani Zosiu, czy nie wybrałaby się pani ze mną na zabawę? Byłbym najszcześniejszym mężczyzną na świecie, gdyby pani wyraziła zgodę”.

- Chwileczkę - poprosił Krzysztof i zaczął wyciągać z kieszeni pomietą kartkę. - Paźyr, daj no długopis.

- A co pan chce robić? - zapytała Elżbieta, trochę zdziwiona.

- No, zapisać sobie muszę, co pani doktor mówi, bo nie spamiętam - odparł szczerze. - To jeszcze raz pani mi powie...

Elka, tłumiąc śmiech, powtórzyła mu całe zdanie. - No my mu doradzaliśmy wersję bardziej romantyczną, ale nie chciał - wtrącił Walery.

- Jaką wersję? - zapytała Wysocka, spoglądając na Bukwę.

- No kupiłby dwie butelki „Muńka” i zaprosił Zośkę tu na ławeczkę albo nad potok.

Elka patrzyła na niego zdumiona, zastanawiała się, czy nie potrzebny jej laryngolog, czy może tym ludziom psycholog.

- E... myślę, że ten romantyczny pomysł mógłby nie wypalić - stwierdziła. - Skoro ona jest z Krakowa i po szkołach, to

znaczy, że ma wysoki poziom kultury - zaryzykowała. - Do takich kobiet trzeba inaczej, z szacunkiem...

- A nasze wino nie okazuje niby szacunku? - zdziwił się Walery. - Przy okazji dziewczyna poznałaby miejscowe smaki...

- Walery, weź no przestań. Pani doktor rację ma, do takich uczonych kobiet trzeba inaczej, a doktorka wie, bo też, jak Zosia, kształcona przecie - stwierdził Grzybek, chowając zapisaną kartkę.

Elka powstrzymała śmiech, wstała z ławki i ruszyła do auta.

- Życzę panu powodzenia i proszę mi potem powiedzieć, czy się panu udało zaprosić Zosię na randkę - powiedziała, otwierając drzwi.

-Na pewno powiem, dziękuję! - odkrzyknął Grzybek, sięgając za pazuchę wyświechtanej kurtki i wyciągając butelkę.

- Miałeś być trzeźwy - zauważył Walery.

- Ale dzisiaj i tak już piłem jednego „Muńka”. Jutro do niej pójde odparł Grzybek i pociągnął spory łyk.

* * *

Elka jechała w stronę pałacyku, denerwowała się, gdyż Majka wraz z Rafałem mogli już być na miejscu. Dodatkowo wąska i wyboista leśna droga nie pozwalała na

szybką jazdę. Kiedy przejechała mostek, zobaczyła przy tarasie pałacyku dwa samochody. Jeden na pewno należał do Majki, ale drugi? Może to Rafała? „Przyjechali dwoma autami. Nieważne zresztą, grunt, że już są” - pomyślała, parkując obok. Kiedy wyszła z auta, z otwartego okna w kuchni doleciał ją gwar rozmów i śmiechy. Wśród nich najbardziej pobrzmiwał głos Majki. Tak długo jej nie widziała, rozmawiały tylko przez telefon albo na Skypie. Wzięła z bagażnika tor by i podeszła do okna. W kuchni było sześć osób, wśród nich trójka nieznanym.

-Dzień dobry! - zawołała, próbując przekrzyczeć harmider.

- Mama! - krzyknęła Majka i w dwóch susach stanęła przy parapecie. Jednak zanim wyciągnęła do Elki ręce, pobladła na twarzy, jej oczy spozierały gdzieś poza matkę. - Nie ruszaj się i nie denerwuj, wszystko będzie dobrze - szepnęła.

- Ale o co chodzi, córciu? - zapytała Elka, równie konspiracyjnym głosem.

-Za tobą stoi... koń.

- Aha - odpowiedziała Wysocka, po czym obróciła się i pogłaskała klacz po głowie. - To Malwinka, moja przyjaciółka. Choćby nie wiem gdzie była, jak wracam, zaraz jest przy mnie.

- Ale to koń! - upierała się dziewczyna.

-Wiem, kochanie. Już idę do środka, musisz mi przedstawić gości - odpowiedziała i podała córce przez okno reklamówki z zakupami.

Kiedy weszła do kuchni, gwar ucichł. Majka podeszła do niej i mocno się przytuliła.

- Nareszcie jesteś, córciu - szepnęła jej do ucha Elka.

-Mamuś, to jest Rafał, mój narzeczony. - Majka wyciągnęła rękę w kierunku ciemnoskórego mężczyzny, opierającego się o szafkę.

Podszedł do Wysockiej wolno, Elka uśmiechnęła się do niego i podała mu dłoń, którą z pełną gracją pocałował. Poczowała ulgę, bo chociaż istotnie miał bardzo ciemną karnację, to jego rysy były typowe dla Europejczyka, pół-długie, kręcone włosy opadały mu na ramiona, miodowe oczy wyrażały szczerą intencję. Od pierwszej chwili go polubiła. Majka знаła na tyle swoją matkę, by już po wyrazie twarzy poznać jej uczucia. Odetchnęła.

- Witam, nazywam się Rafał Monoli - przedstawił się.
- Ogromnie mi miło, Elżbieta Wysocka.
- A to moi rodzice: mama Rosa i tata Paul - zaprezentował rodziców, którzy podeszli do Elżbiety i wymienili uściski dłoni.

Zapadła trochę krępująca cisza, którą przerwał Tomek.

- Proponuję poczekać na obiad na zewnątrz. Matylda nie lubi, kiedy się ktoś kręci, gdy gotuje.

Pomysł został przyjęty z entuzjazmem. Wszyscy wyszli na taras i rozsiedli się w fotelach przy stole. Elka przypatrywała się ukradkiem rodzicom Rafała. Matka miała jasną karnację, co ją nieco zdziwiło, bo przecież była Włoszką. Na pewno przekroczyła już czterdziestkę, widać było na jej twarzy zmarszczki uśmiechu, włosy miała upięte w wysoki kok na czubku głowy. Była dość pulchna, ale poruszała się z wdziękiem modelki. Na tarasie usiadła obok Elki, aby móc z nią rozmawiać. Paul był „typowym Murzynem”, jak określiliby Marek. Chociaż on ująłby to dosadniej. W twarzy ojca Rafała błyskały jedy-

nie białka oczu i zęby. „Dzięki Bogu, że Rafał wdał się z urodą w matkę” - pomyślała odruchowo i zaraz się za to skarciła.

- Proszę, mały aperitif przed obiadem. Matylda dała - powiedział Tomek, stawiając na stole dwie butelki wina i kieliszki. - Aby łatwiej nam było rozmawiać, jak to określiła - dodał, sadowiąc się obok Paula.

- To może ja naleję? - zaproponował Rafał.

- Dorabia w restauracji jako kelner - wyjaśniła od razu matce Majka.

- Bardzo się cieszę, że mogę w końcu panią poznać - odezwała się Rosa, mówiła poprawnie po polsku, chociaż w jej głosie słychać było wyraźnie obcy akcent.

- Ja również - odparła Elka. - Ale może będziemy sobie mówiły po imieniu, skoro za pewien czas będziemy świekami - zaproponowała, wznosząc kieliszek.

- Z ogromną przyjemnością - ucieszyła się Rosa.

- To też... doł... dołączam - wykrztusił Paul, jego wymowa była znacznie gorsza niż żony.

Elka nawet była tym zaskoczona, bo skoro tyle lat mieszkali w Polsce, a on na dodatek był adwokatem, to powinien sobie lepiej radzić z polskim. Rosa jakby czytała w jej myślach, bo zaraz powiedziała:

- Paul szybko się uczy, ale jego język jest taki... jakby tu określić... sztywny! Chociaż niekiedy mu się to przydaje! - wykrzyknęła radośnie Rosa.

Wszyscy parsknęli śmiechem, kobieta była lekko zdezorientowana, patrzyła na nich niepewnie. Elka pochyliła się do niej i wyjaśniła szeptem, jak jej słowa mogły zostać odebrane. Pani Monoli zaczerwieniła się i zaczęła się szybko tłumaczyć:

- Ale mi chodziło o to, że w sądzie podczas rozpraw sędzia przychylniejszym okiem patrzy na takiego obrońcę, który...

Wzbudziła tym jeszcze większą wesołość, w końcu machnęła ręką i sama zaczęła się śmiać.

Na obiad Matylda podała zupę gulaszową i kaczkę z jabłkami, czym wzbudziła zachwyt gości.

- Tyle lat mieszkam w Polsce, ale ani takiej zupy, ani kaczki nie jadłem - zauważył Paul, dokładając sobie buraczków z salaterki.

- No nie powiesz, że kaczki nigdy nie jadłeś - zwątpiła Matylda, siadając obok Majki. - U was, to znaczy w twoim kraju, nie ma kaczek?

- Nie, no są, oczywiście, ale są skubane i pieczone.

- No, to tak jak u nas - stwierdziła Matylda.

- Nie, u was inaczej się ją robi, w środku są jabłka, dużo przyprawa, małe ziemniaczki i te boskie buraczki! - wykrzyknął z pełnymi ustami.

- Ciekawa jestem twojej narodowej kuchni - powiedziała Matylda.

-Chociaż mam nigeryjskie korzenie, to urodziłem się w Syrii. Dopóki tam mieszkałem, wszystko było dobrze. Po prostu żyłem w środowisku, w którym się urodziłem. Uważałem, że to, co mnie otacza, jest dobre, bo znane od dzieciństwa, dopiero potem... - Zawahał się i sięgnął po kieliszek z winem. - Do Polski przyjechałem na studia, miałem szczęście, że mój wuj był bezdietny, ale miał pieniądze. Tu wszystko było inne: od kuchni po obyczaje. Przez pierwsze lata byłem ciągle w szoku. Wyzwolone kobiety, alkohol na każdym kroku, swoboda obyczajów. To wszystko nie mieściło się w mojej gło-

wie. Czułem się obco do czasu... - spojrział z czułością na Rosę, która uśmiechnęła się do niego - aż poznałem moją ukochaną. Ona była katoliczką i to tak zawziętą... Co ja z nią miałem! Na pierwszy ogień poszła oczywiście kuchnia. Na samym początku włoska: makarony, pizza. Jak ja wówczas przytyłem, to się w głowie nie mieści. Ale moja ukochana wzięła mnie podstępem. Kiedyś zachwycąłem się lasange, była wspaniała, a mięso w niej! Sam cud. Okazało się, że to wieprzowina! No więc zrobiłem awanturę jak przykładowy muzułmanin. Rosa tak się na mnie wściekła, że trzy miesiące ją przeproszałem. Potem zaczęła mnie nawracać. Ile to trwało, kochanie? - zwrócił się do żony.

- Jakies dwa lata - odparła. - Zaprowadziłam go do znajomego księdza, który tłumaczył mu zasady naszej wiary i porównywał Biblię z Koranem. I co ważne, nie oceniał, która religia jest lepsza, osąd pozostawił jemu.

- No niby tak, ale za to ty suszyłaś mi głowę - stwierdził z uśmiechem Paul.

- Oj tam. - Machnęła lekceważąco ręką.

- Myślałem sobie, że będę do tego księdza chodził, byleby Rosa za mnie wyszła. Ale, jak to krewka Włoszka, postawiła mi warunek: „Albo będziesz katolikiem, albo fora ze dwora”. Byłem zbyt zakochany, aby odmówić.

- Podziwiam - wtrąciła cicho Matylda. - Bo przecież popełniłeś według swojej wiary grzech ciężki, do tego z dość wątpliwych pobudek.

- Masz rację, ale nie widziałem życia poza Rosą. Najgorsze było to, że musiałem powiadomić swoją rodzinę o ślubie. Umówiliśmy się, że jak oboje tam pojedziemy, to już po zawarciu związku, a do tego na razie nie będziemy mówić im, że w jednym dniu wzięłem chrzest, bierzmowanie i ślub - roześmiał się na to wspomnienie. - Tym razem Rosa zgodziła się ze mną bez oporów.

-Bałam się tak bardzo, że nawet nie pisnęłam -potwierdziła. - Kiedy tam pojechaliśmy na dwa tygodnie, zrozumiałam, że zrobiliśmy dobrze. Musiałam chodzić w burce, to okropny ciuch, krępował ruchy i nic nie widziałam. Do tego zgodnie z ich zasadami, idąc ulicą, chcieli, abym szła za Paulem, nie mogłam go wziąć pod rękę, no i dwa razy wywinęłam orła.

- A ja pocitem się jak mysz kościelna. Co chwilę zerkałem przez ramię i wiedziałem, przez co przejdę, kiedy wrócimy do domu. Poza tym niestety, wstyd mi to przyznać, ale moja rodzina traktowała ją bardzo źle. Zresztą ja, żyjąc już tyle lat w Polsce, sam zauważyłem mankamenty kulturowe, które ograniczają muzułmanów. Rosa, na domiar złego, dostała rozstroju żołądka po naszym jedzeniu...

- Nie tylko po jedzeniu, ale i po wodzie - wtrąciła Rosa, sięgając po kieliszek z winem. - Twoja matka okłamywała mnie, mówiąc, że piję wodę z butelki, a dawała ją ze studni...

- Fakt, no i po pięciu dniach wyjechaliśmy... -Odprowadzani złorzeczeniami twojej mamusi, tatusia i braci - dorzuciła Rosa.

- Tak, wiem. Ale jednak to moja rodzina - westchnął Paul, wyraz jego twarzy zmienił się. Sposepniał i myślami odbiegł gdzieś daleko.

- Po powrocie okazało się, że jestem w ciąży. W samą porę wróciliśmy, bo to ich jedzenie i woda mogły zatruć Rafała - Rosa kontynuowała opowieść za męża.

-I tak potoczyło się nasze dalsze życie - zakończył Paul. - A co do kuchni, to powiem ci szczerze, Matyldo, kiedy spróbowałem włoskiej, a potem polskiej, to nie wyobrażam sobie innej, zwłaszcza polski bigos, gołąbki,

schabowe to raj dla podniebienia. - Nieomal się oblizał na samo wspomnienie.

- Tak, uwielbia te potrawy - wtrąciła Rosa. - Przepraszam, ale czy mogę prosić o kawę? - zwróciła się do zasłuchanej Elżbiety.

- Oczywiście - odparła kobieta, ale uprzedziła ją Majka.

- Wy sobie rozmawiajcie, a ja dla wszystkich zaparzę kawę.

- I więcej do twojej rodziny nie pojechaliście? - zapytał zaintrygowany Tomasz.

- Nie, to znaczy ja sam tak, ale Rosa i Rafał nie. Ona bała się go tam puścić...

- Ta... za to oni zaczęli nas nawiedzać, a konkretnie jego braciszkanie - warknęła Rosa.

- Asama po dwóch miesiącach wywaliła z domu bez żadnych oporów - dorzucił Paul.

- Wybacz, ale to zwykły nierób i brudas. Pokój, który zajmował, zamienił w chlew. Kazał się obsługiwać i chciał swoje rządy wprowadzać w moim domu...

- Fakt, on z moich braci jest chyba najbardziej zatwardziałym islamistą, przestrzegającym zasad Koranu.

- Bo to wygodne, ale niestety trafił na mnie. - Rosa uśmiechnęła się z satysfakcją.

- No i przestali przyjeżdżać - zakończył Paul.

- Niesamowita historia - stwierdziła Elka, dolewając wszystkim wina. - Tomasz, możesz przynieść jeszcze butelkę? - zapytała Malinowskiego, który od razu poderwał się i zniknął w drzwiach pałacyku.

- A nie tęsknisz za rodziną? - zapytała Matylda, patrząc Paulowi prosto w oczy.

- Oczywiście, że tęsknię. Odwiedzam ich raz do roku, ale widzę tak ogromną przepaść między nami, że jest nie do pokonania - westchnął ciężko.

-Zmieńmy temat - zaproponowała Wysocka. -Teraz tu jest twój dom i rodzina, a niedługo synową zyskasz - zaśmiała się nieco sztucznie.

- Wiem i to mnie naprawdę cieszy. Oboje kiedyś przejmą po mnie kancelarię.

-Mam nadzieję, że ze ślubem nie będą się młodzi śpieszyć - zaznaczyła Rosa.

-Też tak uważam. Dobrze byłoby, żeby najpierw skończyli studia, zrobili aplikację...

- Mamo... - wtrąciła Majka, która rozstawiała filiżanki z kawą na stole. -I tak mieszkamy razem, a ślub? Na co komu papierek? Potem więcej problemów podczas rozstania. ..

-Majka! Bój się Boga! - zawołała oburzona matka. - Jeszcze nie jesteście ze sobą na dobre, a już o rozstaniu mówisz?

-Taka prawda. - Dziewczyna wzruszyła ramionami. - Lepiej żyć razem, ale bez zobowiązań, bo...

- Ja zgadzam się z twoją mamą, Majka. Ślub to nie tylko zobowiązanie, ale deklaracja uczciwości, zrozumienia i akceptacji - wtrąciła Rosa.

- Teraz są inne czasy - wtrąciła ostrożnie Majka, szukając oczami pomocy Rafała, ale ten zawzięcie pałaszował szarlotkę.

- To po co były zaręczyny? - wtrącił się Paul.

- Bo nie dalibyście nam spokoju, gdybyśmy zamieszkali razem bez jakichkolwiek planów na przyszłość.

- Co za czasy! - westchnęła zrezygnowana Rosa.

- Nie rozumiemy ich, to inne pokolenie - przytaknęła Elka.

Wieczorem zrobili ognisko nad jeziorkiem, w nocy Tomasz zabrał Paula na ryby, które potem jedli wszyscy przez dwa dni.

* **

W sobotę rano, zaraz po śniadaniu, Elka wybrała się na bagna. Kiedy tam dotarła, zastała ekipę straży pożarnej, która debatowała nad sposobem wypompowania błotnistej mazi. Teren otoczyli taśmą, za którą dostrzegła palącego nerwowo papierosa wójta, który stał wraz z Kotkiem. Ten ostatni spoglądał na Elkę z pogardą i wyniosłością. Kobieta uśmiechnęła się do siebie. Podeszła do obu.

- Dzień dobry, jakieś problemy? - zapytała.

- Witam, niestety tak - odparł Kryszał. - Pompa ciągle im się zapycha. Pani spojrzysz tam. - Wskazał na dość spory pagórek. - Cały czas jakieś rzeczy im się w nią zasysają.

- Matko jedyna, to chyba nie...? - zapytała z trwogą w głosie.

-Niestety, to najprawdopodobniej rzeczy osobiste różnych ludzi: plecaki, buty, kurtki... - odparł szczerze strapiony wójt.

- Szczęść Boże. - Usłyszeli za sobą znajomy głos i odwrócili się.

- No nie wiem, czy taki „szczęść”. - Elka wskazała księdzu pagórek, ten zaś odruchowo przeżegnał się.

- Ciekaw jestem, kto za to odpowie - zaatakował od razu proboszcz.

- Do mnie pijesz? - Doskoczył do niego wójt.

- A niby do kogo innego? - Ksiądz nie stracił rezonu, widać było, że w utarczkach w Krysztalem miał już wprawę. - Ile to lat ci o tym bagnie mówiono? Co? I gdyby nie pani doktor, to dalej by się tu ludzie topili!

- Proszę państwa, proszę się odsunąć. - Podeszedł do nich policjant.

Wykonali posłusznie polecenie, patrząc, jak strażacy z dołu po bagnie wyciągają jakieś podłużne przedmioty i ostrożnie układają je na foliowych workach ułożonych wokół.

- Szeffie - zawołał jeden ze strażaków, przecierając twarz i brudząc jednocześnie błotem. - Tutaj mamy zmumifikowane ciało... cholera, i jeszcze jedno...

Zawołany podbiegł do dołu i pochylił się nad nim.

-Matko jedyna... ile tu tego jest... - stwierdził z przerażeniem.

Proboszcz spojrzał wymownie na wójta, który zapalił kolejnego papierosa.

- No, ktoś za to beknie - pokiwał głową Wojciech.

- Zamknij się lepiej, bo nowej dzwonnicy nie zobaczysz - syknął do niego wójt.

- Ty mnie nie strasz, bo się ciebie nie boję. Pieniądze na dzwonnice zostały przez Unię przyznane i guzik ci do nich - odparował z satysfakcją ksiądz.

Marian rzucił papierosa na ziemię i przydeptał go butem.

- Niech to szlag trafi - warknął do siebie.

Po południu wszyscy siedzieli na tarasie przy kawie. Rosa i Paul opowiadali o wycieczce w góry, którą odbyli

z Majką i Rafałem. Byli zmęczeni, ale ogromnie zadowoleni.
- Muszę zauważyć, że jednak są jeszcze szlaki, na których turystów jest niewielu - stwierdził Paul, krojąc widelczykiem ciasto.

- Ludzie zwykle idą w najbardziej oblegane i znane miejsca, zapominając o tych terenach, które także warto zobaczyć - stwierdził Tomasz, dolewając sobie mleka do kawy.

- Masz rację. Dzisiaj dzięki tobie zobaczyliśmy naprawdę unikatowe miejsca - zauważyła Rosa. - Dziękuję.

- Nie ma za co - odparł skromnie Malinowski.

- A jak sprawy na bagnach? - zapytała Matylda, podsuwając Paulowi kolejną porcję ciasta.

-No cóż... - westchnęła Elka. - Wydobyto osiem zmumifikowanych ciał. Naprawdę są w doskonałym stanie, w tym jedno należące do kobiety w dziwnym stroju... - Spojrzała znacząco na Matyldę, która pokiwała głową. - Wójt jest przerażony, bo w gminie jest kilkadziesiąt podań z prośbą o zasypanie bagna, a on przez lata nie reagował.

- Zasypanie nic nie da, pod spodem są wody gruntowe, wokół torfowisko. Za jakiś czas to bagno znowu się zregeneruje - stwierdził Tomasz, drapiąc się po karku.

- To nic się nie da zrobić? - zapytała z niedowierzaniem Elka.

-Można jedynie otoczyć teren płotem i powiesić tabliczki ostrzegające - wzruszył w odpowiedzi ramionami.

- Dobre i to, ale Kryszał dawno powinien to zrobić. Z drugiej strony, jaka paranoja to jego nazwisko: Kryszał, któremu daleko chyba do nieskazitelnosci - zauważyła Majka.

- Masz rację, córciu. Kochani, ale żebyście widzieli, jak wójt i ksiądz skakali sobie do oczu. Kryszał o mało zawału nie dostał, gdy proboszcz stwierdził, że jak nie uda się identyfikacja ciał, to gmina na swój koszt musi katolickie pogrzeby wyprawić. Mało Mariana szlag nie trafił - roześmiała się Elka.

Całe towarzystwo jej zawtórowało.

-Ale mnie kości bolą. - Rosa przeciągnęła się i ziewnęła. -
Może pójdziemy gdzieś na spacer? - zaproponowała.

- Dobry pomysł - ucieszyła się Matylda. - Idźcie na
jagodowisko, jak nazbieracie jagód, to jutro jagodzianki wam
upiekę.

Wszyscy przyklasnęli pomysłowi. Ciotka poszła do składziku
za pałacykiem, skąd po chwili przyniosła dwie kanki i trzy
metalowe kubki.

- W to będziecie zbierać - nakazała, wręczając każdemu
naczynie.

* * *

W poniedziałek Elka miała dużo pracy, po przyjęciach
pacjentów w przychodni musiała pojechać jeszcze na wizyty
domowe do dość odległych miejsc w Ruczaju. Nie bardzo jej
się to uśmiechało, ale nie miała wyjścia. Hanka tym razem nie
mogła z nią jechać. Na szczęście nie były to nagłe przypadki,
więc jechała powoli, podziwiając okolicę i mijając rzesze
turystów po drodze.

- Ale ludzi, nie ma co się dziwić, lato jest naprawdę
wyjątkowe - mruknęła pod nosem, omijając zgrabnie kolejną
grupkę idącą poboczem.

Wizyty odbywały się bez większych niespodzianek, dopiero na hali przy Czarciej Przełęczy podczas badania jednego z juhasów ze skręconą nogą w kostce, drugi zasłabł nagle. Elka po szybkim badaniu stwierdziła, że to może być zawał. Jej telefon nie miał tu zasięgu, na szczęście w bacówce była radiostacja, szybko wezwano na pomoc śmigłowiec medyczny. Przez cały ten czas Elka starała się pomóc ciężko oddychającemu mężczyźnie leżącemu na trawie. Dała mu pod język nitroglicerynę i mierzyła ciśnienie. Na szczęście już po dziesięciu minutach helikopter lądował na łące. Owce wpadły w panikę i zaczęły uciekać, każda w inną stronę. Reszta juhasów, niewiele myśląc, ruszyła za nimi w pościg, próbując ponownie z pomocą trzech psów uformować je w stado. Na szczęście sprzęt, który lekarz pogotowia miał ze sobą, wskazał wstępnie na stan przedzawałowy. Wszyscy odetchnęli z ulgą, a mężczyznę zabrano do szpitala. Przy okazji Elka wsadziła do śmigłowca mężczyznę ze skręconą nogą, upierała się przy zrobieniu mu zdjęcia rentgenowskiego. Chory, będąc już w helikopterze, wyklócał się z nią, że nie ma takiej potrzeby, na szczęście medyk zamknął mu drzwi przed nosem i po trzech minutach byli już w powietrzu. Cisza, jaka zaległa po odlocie, wypełniła całą łąkę. Znowu można było słyszeć odgłosy natury. Elka spakowała torbę, wstała i przeciągnęła się. „Jak tu pięknie” - pomyślała, rozglądając się wokół.

- Pani doktor, mam pytanie. - Podszedł do niej młody mężczyzna ubrany w dres.

- Słucham. - Obróciła się w jego stronę.

- Ponoć pani była podczas osuszania bagna?

- Tak, to prawda. A o co chodzi? - Zarzuciła torbę na ramię.

- Czy odnaleziono tam ciało kobiety w dziwnej, takiej staromodnej sukni? - Patrzył jej prosto w oczy.

- Tak, chociaż wie pan, po tylu latach, to raczej strzępy sukni, ale w obecnej dobie na pewno komputerowo odtworzą

wszystko, chociaż pewnie zajmie to mnóstwo czasu - wyjaśniła. - Dlaczego to pana interesuje?

- Bo... widzi pani... ja wiem, że to dziwnie zabrzmiało, ale ja widziałem w lesie kilka razy kobietę w takiej dziwnej czerwonej sukni i włosy też tak staromodnie miała upięte. Ja wiem, że to brzmi dziwnie, jakbym oszalał, ale to prawda, dlatego pytam. - Nerwowo skubał skórki u paznokci.

- Jak pan ma na imię? - zapytała Elka.

- Michał, Michał Zwardoń - odparł.

- Panie Michale, nie oszalał pan. Ja też ją widziałam, a do tego również i Stanisława. Zna pan historię pałacyku? - Elka patrzyła na mężczyznę z powagą.

Widziała, jak jej się przygląda, próbując zgadnąć, czy z niego żartuje, czy może jednak mówi poważnie.

-Naprawdę? - Michał uśmiechnął się i odetchnął z ulgą. - Może przysiadzimy na tym pniu na chwilę i opowie mi pani o tym? - zaproponował.

Usadowiła się na pniu i spojrzała przed siebie.

- To zna pan tę historię? - zapytała ponownie.

- Tak, oczywiście, że znam. Co prawda nie mieszkam tu od urodzenia, ale o tym słyszałem. Więc kiedy pani ją widziała? - ponowił pytanie.

-Kilka tygodni temu poszłam na cmentarz, ten koło bagna, i zobaczyłam ją między drzewami. Chodziła z jakimś koszykiem w ręku i coś zbierała, nie zwracała na mnie uwagi. Gdyby nie jej dziwny strój, to myślałabym, że to normalna, żywa kobieta. Najprawdopodobniej na

omentarzu jest jej grób, ale pusty, bo tam jej nie pochowano. Ciekawe, dlaczego.

- Być może to ciało z bagna to właśnie ona. W tamtych czasach taka miłość to mezalians - stwierdził Michał, podpierając się ręką na szerokim pniu zwalonego drzewa, na którym siedzieli.

- Zgadzam się, ale nadal nie rozumiem, po co wystawiono jej pusty grób? - upierała się Elżbieta.

- Może zrobili to ze względu na Stanisława? - zasugerował.

- A jeżeli w ogóle jej nie otruto, tylko wrzucono do bagna? - głośno myślała Elżbieta.

-E... chyba nie, w końcu według przesłanek, przynajmniej ustnych, Stanisław widział ją martwą, otrutą, więc raczej ta hipoteza odpada.

- Chyba że podano jej bardzo silne ówczesne środki nasenne. Musimy pamiętać, że w tamtych czasach było mnóstwo takich kobiet jak nasza Matylda i to wcale nie o czystych sercach - zauważyła.

- Racja. Wie pani, że może i tak było? - zastanowił się. - Mogli ją uspić, jemu pokazać ciało, a potem utopić w bagnie i niby pogrzeb wyprawić.

- Widzę, że bardzo pana ta historia intryguje - zauważyła Elżbieta.

Ja w ogóle lubię historię jako naukę, a z natury jestem romantykiem, więc jedno z drugim się wiąże. Wie pani, ja nawet napisałem powieść, taki romans historyczny. To znaczy jeszcze ją piszę i opieram opowieść właśnie na Stanisławie i Elwirze, na ich życiu. - Zaczerwienił się, co bardzo spodobało się Elżbiecie.

-Aha, teraz rozumiem, skąd to zainteresowanie. Obiecuję, że jak tylko dowiem się, jakie są wyniki badań ciała tej kobiety, to pana poinformuję, by mógł pan dokończyć powieść. Ale wesoła to ona nie będzie, jak sędzę - zauważyła.

- Niby tak, ale jeszcze pomyślę - przytaknął.
- Jeżeli mogę zapytać, to jaką szkołę pan kończył? -zapytała ciekawie.
- Jestem po filologii polskiej i historii - odparł lekko zawstydzony.
- Uu... nieźle - podsumowała Elka. - Przepraszam, ale skoro skończył pan dwa fakultety, to dlaczego pan pasie owce? Nie to, żebym uważała tę pracę za uwłaczającą, ale... - Nie wiedziała, jak delikatnie zapytać mężczyznę o jego pracę.
- Odpowiedź jest prozaiczna, tutaj więcej zarabiam. Paranoja, prawda?
- Raczej tak, ale takie mamy czasy - westchnęła i wstała z pnia.
- Muszę już jechać, późno się robi i głodna jestem, a Matylda dzisiaj zrazy miała zrobić na obiad - wyjaśniła.
- Dam pani trochę oscypków, świeże są, dopiero co uwędziliśmy. Proszę zaczekać, zaraz przyniosę - zaproponował i pobiegł w stronę baczki.
- Elka patrzyła za nim i zastanawiała się, jaka przyszłość czeka młodych ludzi, którzy kończą po kilka fakultetów, a potem albo wyjeżdżają za granicę, albo pasą owce. Wzruszyła ramionami i pokręciła głową z niedowierzaniem.
- Proszę. - Michał podał jej papierową torebkę. - Niedługo będziemy też część serów marynować, to podrzucę je pani do przychodni, naprawdę są pyszne. Jadła już pani?
- Niestety, nie miałam okazji, więc naprawdę chętnie spróbuję
- odparła, biorąc od niego torebkę.

Matylda piekła na festyn już trzecie ciasto, które miało być sprzedawane, a pieniądze chciano przeznaczyć na remont toalety w szkole podstawowej. Oczywiście, była to kropla w morzu potrzeb, ale organizatorzy działali w myśl zasady „ziarnko do ziarnka”.

- Matko jedyna, jak to ciasto pachnie - zauważyła Elka, wciągając głęboko słodkie powietrze.

- Ten aromat czuć nawet na dworze - zauważył Tomek, który wsadził głowę do kuchni przez otwarte okno.

- Nawet nie próbuj się do niego dobrać! - Matylda pogroziła mu drewnianą łyżką.

- Ojej, a dla nas nic nie upiekłaś? - rozżalił się, robiąc przy tym minę skrzywdzonego małego chłopca.

- Jak dziecko, jak dziecko - westchnęła ciotka.

- Ela, jadę do Ruczaju, muszę zobaczyć, jak wygląda namiot dla mnie. W zeszłym roku nie doprowadzili tam prądu i nie mogłem używać laptopa. Jak nie masz nic do roboty, to może pojedziesz ze mną i sprawdzisz swój? - zapytał, opierając się na zewnętrznym parapecie.

- Hm... chyba skorzystam, poza tym muszę jeszcze do sklepu zajść - stwierdziła, wstając od stołu.

- Elu, kup pieprz w ziarnach, skończył się, a chcę na kolację sałatkę zrobić - poprosiła Matylda, ustawiając blachę na drewnianym stole i przykrywając ją lnianą ścierką.

Rynek w miasteczku był pełen ludzi, wszędzie stawiano namioty, panował chaos i rozgardiasz.

- Nie wiem, czy oni skończą do jutra? - zwątpiła Elżbieta, patrząc na ogólny bałagan.

- Dadzą radę, zobaczysz. W zeszłym roku też tak było, i jeszcze w poprzednim - podsumował Tomasz, zamykając drzwiczki samochodu. - Chodź, nasze namioty stoją obok siebie. - Wskazał na dwie niebieskie płachty materiału ustawione wzdłuż krawężnika ulicy.

Tomasz sprawdził swój, a potem pomógł Elżbiecie, wskazywał jej punkty, na które powinna zwrócić uwagę. Pytał, jak planuje udzielać porad, z czego chce przy tym korzystać. W ciągu godziny wszystko obejrżeli i zatwierdzili.

- Wiesz co? Zapraszam cię do kawiarni na lody - zaproponował Tomasz.

- Do jakiej? - Elka rozejrzała się wokół.

- Do tamtej, na wolnym powietrzu, można już dzisiaj z niej korzystać, poza tym jest blisko sklepu, więc potem kupisz tam pieprz dla Matyldy. - Wskazał ręką przed siebie.

Istotnie, obok sklepu rozstawione były plastikowe stoliki i krzesła, przy niektórych siedzieli już turyści, racząc się kawą lub piwem. Oboje zajęli wolne miejsca.

- Co sobie życzysz? - zapytał Tomasz, biorąc do ręki kartę z menu.

- Jest tak ciepło, że chętnie wezmę mrożoną herbatę i lody - odparła, zaledwie rzucając okiem na kartę. - Chyba mają to tutaj?

- Na pewno. Ja napiję się mrożonej kawy i zjem napoleonkę - stwierdził Malinowski.

- Lubisz słodczy - zauważyła Elka.

- Lubię to, co... słodkie - szepnął Tomasz, patrząc jej prosto w oczy, czym ją speszył, nie spodziewała się takiego zachowania.

- Daj spokój - odpowiedziała pośpiesznie.
- Elu... - westchnął głęboko. - Chyba tamta noc coś znaczy dla ciebie? Spójrz na mnie - poprosił. - Musimy zacząć żyć na nowo, zarówno twój Marek, jak i moja Małgosia chcieliby tego - tłumaczył.
- Skąd wiesz? Po majakach nocnych? - zakpiła.
- A nawet gdyby, to co?
- Nic, sama nie wiem... - W jej głosie przebijała się niepewność.
- Nie jestem ci obojętny, wiem to - stwierdził pewnym głosem.
- Skąd możesz to wiedzieć, nigdy na ten temat nie rozmawialiśmy - odparła.
- Bo nie należysz do kobiet, które kochają się z pierwszym lepszym facetem, tylko po to, aby zaspokoić swoje potrzeby seksualne - odparł.
- Przestań...
- Dlaczego? - zapytał, mieszając kawę, którą postawiła przed nim kelnerka.
- Zawstydzasz mnie, nigdy z obcym mężczyzną nie rozmawiałam na takie tematy - wyjaśniła, czerwieniąc się przy tym.
- Elu, nie zachowuj się jak nastolatka. - Położył rękę na jej dłoni.
- Chyba się zapominasz... Tamto to była zwykła pomyłka, chwila uniesienia, nic więcej... z mojej strony! Poza tym pamiętaj, że jesteś z Elizą, chyba że traktujesz ją jak zabawkę. - Wyszarpnęła swoją rękę. - A teraz muszę iść do sklepu, będę wdzięczna, jeżeli poczekaasz i mnie odwieziesz, jeżeli nie czujesz się urażony. Pamiętaj: nie ma i nie będzie „nas”.

Patrzył, jak wchodzi po schodach do sklepu. Zacisnął zęby. Czyżby aż tak się pomylił? Kiedy w końcu wyszedł z kokonu i wydawało mu się, że spotkał kobietę, która wypełni pustkę po Małgosi, ona się nim zabawiła. Chyba tak trzeba to nazwać. Jeszcze będzie tego żałować. Zacisnął zęby i dopił kawę, która teraz straciła dla niego smak, była bezwonną beżową breją.

Elżbieta rozstrojona nerwowo weszła do sklepu, szarpnęła koszyk z półki i zaczęła chodzić bezwiednie między półkami. Była zła na siebie. Dlaczego tak zareagowała? Przecież to, co powiedziała, było nieprawdą, co innego myślała. Nie rozumiała samej siebie. Czyżby klimakterium? Już? To już nastąpiło? Potrząsnęła przecząco głową do swoich myśli. Niemożliwe. Nie zauważyła, kiedy stanęła przed nią Eliza. Podniosła głowę i spojrzała na kobietę.

- Widzę, że pani doktor doskwiera samotność - syknęła przez zęby Konopko.

- Nie rozumiem - odpowiedziała zaskoczona Elżbieta.

-Idiotką pani nie jest. Proszę zostawić Tomasza w spokoju, tworzymy parę, a niedługo będziemy małżeństwem. Proszę sobie znaleźć innego faceta!

- Pani chyba oszalała! - Elka była zdezorientowana.

- Ostrzegam! Jeżeli zbliżysz się do niego, to gorzko pożałujesz!

- Pani chyba naprawdę oszalała. - Wysocka chciała ją ominąć, ale ta zastawiła jej drogę.

- Nie skończyłam z tobą. Były tu różne lekareczki, każda próbowała z lepszym lub gorszym skutkiem, ale w końcu wyjeżdżały, a on i tak do mnie wracał...

- Więc nie widzę powodu do zmartwienia. A teraz przepraszam, chcę zapłacić i jechać do domu. - Ponownie chciała ją wyminąć.

- Ale ja widzę. Siedzisz sobie z nim i za rączkę go trzymasz jak nastolatka - wysyczała przez zęby.

- Nie ja jego, tylko on mnie. Poza tym... Zresztą nie mam obowiązku się przed panią tłumaczyć. Proszę mnie przepuścić do jasnej cholery! - Elkę powoli zaczynała ogarniać złość, ruszyła do przodu.

Konopko odsunęła się.

- Pamiętaj, masz się trzymać od niego z daleka, bo pożałujesz!
- ostrzegła ją ponownie, ale Wysocka zdawała się tego nie słyszeć, rzuciła koszyk z towarami na ladę i po prostu wyszła.

Podeszła do stolika, Tomasz wstał. Widział jej zdenerwowanie.

- Coś się stało? - zapytał zaniepokojony.

- Nic, po prostu pieprzu w sklepie zabrakło. I co teraz zrobimy? - Starła się przybrać normalny wyraz twarzy, ale Malinowski patrzył na nią podejrzliwie.

-To pojedziemy do drugiego, na końcu Ruczaju - zaproponował.

- Dobrze - odparła i szybkim krokiem ruszyła w stronę samochodu, nawet nie oglądając się na sklep.

Czuła na sobie wzrok Elizy. Czy naprawdę miała się jej bać? Cholera jasna! Po co jej to wszystko? Przecież nadal kocha Marka i za nim tęskni. Tomasz nic dla niej nie znaczy, nic. Kątem oka patrzyła na niego, szedł obok. Wysoki, dobrze zbudowany, inteligentny. Wtedy... w nocy, kiedy za oknem szalała burza, było jej dobrze w jego ramionach. Było inaczej niż z Markiem... lepiej.

Czuła, że tymi myślami zdradza swego nieżyjącego męża, a przecież... potrząsnęła głową.

- Coś mówiłaś? - zapytał Tomek, otwierając drzwi samochodu.

-Nie, nic. Mam zwyczaj mruczenia do siebie -zaśmiała się sztucznie.

Spojrzał na nią podejrzliwie, potem na sklep. Czuł, że tam w środku coś się wydarzyło. Coś, co wyprowadziło Elżbietę z równowagi.

Sobotni poranek był ciepły, słońce zapowiadało kolejny upalny dzień. Elka stanęła w otwartym oknie i spojrzała przed siebie. Nad stawem widać było parę czapli brodzących w wodzie. Pływało po nim niewielkie stadko kaczek z młodymi, które wylęgły się zaledwie tydzień wcześniej. Matylda codziennie prowadziła tam ich kaczki z kurnika, aby i one mogły pobyc w środowisku, do którego stworzyła je natura.

Elka z niechęcią myślała o festynie. Wczoraj wieczorem wymówiła się od wspólnej kolacji z Tomkiem i ciotką i poszła do siebie. Leżała na łóżku, długo nie mogła zasnąć. Chciała przeanalizować to, co naprawdę czuła do Malinowskiego. Nie był jej obojętny, to fakt. Podobał się jej pod względem fizycznym i intelektualnym, to też był fakt. Więc czego naprawdę chciała? Czego się bała? Przecież kochali się i było jej cudownie, chociaż sama przed sobą nie chciała się do tego przyznać. Od śmierci Marka upłynęło już kilka miesięcy, co prawda nie rok, jak

nakazuje religia katolicka, ale... co ma zrobić? Czy ma walczyć o swoje szczęście? Być egoistką? A ta cała Eliza? Nie lubiła tej kobiety, ale ona chyba miała większe prawo do Tomka. Zwodził ją? Dlaczego tyle czasu zwlekał, aby się tamtej zadeklarować? Chociaż... Skoro teraz dopiero doszedł do wniosku, że czas skończyć z kilkunastoletnią żalobą po żonie, to może i czasu, i okazji nie było, aby to zrobić? Próbowала postawić się na miejscu Konopko.

Kobieta sukcesu, wywodziła się z biednej rodziny, do wszystkiego doszła sama. Kiedy zorientowała się, że za chwilę może być za późno na założenie rodziny, rozpaczliwie chciała to zmienić. Zakochała się w Tomku, nie ma się czemu dziwić, bo to naprawdę atrakcyjny mężczyzna. A tu pojawiła się ona, Elżbieta. Z tego, co mówiła Matylda, Malinowski wobec żadnej z jej poprzedniczek tak się nie zachowywał jak w relacjach z nią. Trzeba trzeźwo spojrzeć na fakty. Musiała nie być mu obojętną, tamta noc coś jednak dla niego znaczyła.

A Majka? Kiedy była u Elżbiety z rodziną Rafała, wieczorem obie poszły przejść się do lasu. Pamiętała ich rozmowę.

- Mamo, czy ty i Tomasz jesteście razem? - zapytała dziewczyna.

- No coś ty, dziecko! - zawołała oburzona matka. - Ja kocham tylko twojego ojca i żaden facet nie jest w stanie go zastąpić.

-Mamo, nie gniewaj się, ale to, co robisz, to klasyczna martyrologia i nic więcej. Ojcu życia tym nie przywrócisz, on jest gdzie indziej i być może martwisz go twoim zachowaniem...

- Majka, co ty wygadujesz? Jego tu nie ma, to jak może się o mnie martwić...

- No właśnie, sama sobie odpowiedziałaś. - Dziewczyna uśmiechnęła się do niej.

-No, moja droga, w ten sposób nie możemy do tego podchodzić. - Elka zreflektowała się, że sama sobie zaprzeczyła, nie wiedziała, jak teraz z tego wybrnąć.

- Mamo, ja widzę, jak Tomek na ciebie patrzy - zauważyła, podnosząc z ziemi gałązkę i bawiąc się nią.

- Niby jak? - Elka zdawała się tego nie rozumieć.

- W jego oczach, oprócz pożądania, jest coś jeszcze, coś głębszego. To nie ochota na niezobowiązujący romans. Nie wiem, jak to określić... - Maja szukała odpowiednich słów. - To nie zapowiada flirtu, ale coś głębszego. Zresztą pasujecie do siebie.

- A co ty możesz o tych rzeczach wiedzieć? Masz dwadzieścia kilka lat - oburzyła się Elka.

-Mamo, mam oczy i widzę, poza tym tak samo patrzył na ciebie tata - odparła cicho. - Nie zmarnuj szansy...

- A może on mi się nie podoba? Pomyślałaś o tym? -odparowała Elka, schylając się pod niskim konarem drzewa i przechodząc na drugą stronę ścieżki. Maja podążyła za nią.

- Nie sędzę, widziałam, jak chwilami ukradkiem na niego spoglądasz - odparła pewnie.

Elka zatrzymała się, westchnęła głęboko i odwróciła się do córki.

- Maju, ja... nie wiem, co mam robić, jak dalej żyć. Ciągle czuję wyrzuty sumienia. - Zakryła dłońmi twarz, dziewczyna objęła ją.

- Mamo, zacznij żyć normalnie. Pozwól dojść uczuciom do głosu. Sama widzisz, że życie mamy jedno i nie wolno go marnować. Tatę będziesz miała zawsze w sercu.

Miłości starczy i dla niego, i dla... - Nie dokończyła, nie musiała, objęte wróciły do pałacyku.

Czy faktycznie powinna zrobić, jak radziła Majka? Taka młoda, a tyle życiowych rad potrafiła jej udzielić. Nawet nie zauważyła, jak jej dziewczynka stała się kobietą. Westchnęła i podeszła do szafy. Musiała zastanowić się, w co się dzisiaj ubrać, będzie upał, to pewne, a rozgrzany namiot nie ułatwi sprawy. Wyjęła bluzkę z krótkim rękawem, rybaczki i bieliznę. Dzisiaj zamierzała wszystko zrobić na odwrót, najpierw się ubrać, potem umyć. Kto powiedział, że zawsze musi być tak samo?

Zdjęła koszulkę od pizamy, stanęła półnaga przed lustrem. Zaczęła się krytycznie przyglądać swojemu ciału. Biust stracił jędrność już dawno temu, żadne balsamy ani cudowne kremy nie pomogły, aby znowu stał się taki, jak kiedyś. Westchnęła i obróciła się wokół własnej osi. Najchętniej rzuciłaby czymś w to lustro. Ale cóż, prawdy nie da się ukryć. W zasadzie jak ona może nawet rywalizować z Elizą? Tamta kobieta ma trzydzieści parę lat, nigdy w ciąży nie była. Zawsze zadbana i elegancko ubrana, a ona? Jedyne do pracy narzucała na siebie coś bardziej przyzwoitego.

Ela ponownie otworzyła szafę, głęboko westchnęła i zaczęła przesuwać wieszaki. Trzy sukienki, rodem z lat dziewięćdziesiątych, sześć bluzek na krzyż, z osiem bluz i sześć par spodni dresowych. W co miałyby się ubrać, nawet na dzisiejszą zabawę? Nie zamierzała tańczyć, ale ot tak sobie posiedzieć i popatrzeć, tyle chociaż tej rozrywki miałyby. Zamknęła ze złością drzwi. Zaczęła się ubierać jak zwykle, na wierzch narzuciła bluzę, naciągnęła spodnie. Skrzywiła się do swojego odbicia.

W kuchni zastała Matyldę owijającą blachy ciasta w folię aluminiową i wkładającą je do sporego kartonu.

- Dzień dobry - przywitała się ciotka.

- Dzień dobry. Kawa jest już? - zapytała Elka, ziewając i przeciągając się.

- Jest, oczywiście. Tomek nie zacząłby dnia bez niej - odparła Matylda, podając Elżbiecie dzbanek.

- To on już tu był? - zapytała zdziwiona Wysocka.

- Dziwisz się, jakbyś go nie znała. - Matylda wzruszyła ramionami.

- Ale dziś sobota - próbowała się bronić, nalewając sobie do kubka kawę i siadając za stołem.

- Ale festyn dzisiaj, poza tym wezwanie miał do jakiejś klaczy - wyjaśniła Matylda. - Zjesz coś lekkiego?

- W sumie... chyba tak, a co proponujesz?

- Mam sałatkę ryżową albo może być zupa mleczna.

- Blee, to ja już wolę sałatkę - odparła Elka. Jako lekarz zalecała zupy mleczne swoim pacjentom, ale sama nie brała ich nigdy do ust.

- Nie wiesz, co dobre - westchnęła Matylda. - Idziesz po festynie na zabawę?

- Nie - odpowiedziała krótko.

- Dlaczego? - Kobieta nie kryła zdziwienia.

- Nie mam ochoty. - Elka wzruszyła pogardliwie ramionami. - Poza tym mam tam iść i gapić się na pary wokół? To mało przyjemne i od razu powracają wspomnienia.

- Dałabyś już z tym spokój - fuknęła na nią Matylda. - Ile można? Tomek ponad dziesięć lat w żałobie był, teraz kolejna się znalazła. Tyle już przesłanek miałaś, a ślepa jesteś jak kret.

- W głosie Matyldy wyraźnie

można było wyczuć irytację. - Stracisz być może jedyną szansę na drugą miłość.

- Przestań. Co ci tak zależy, żeby mnie wyswatać? - zachnęła się Elka. - Mnie te sprawy już nie interesują, przekroczyłam czterdziestkę i bardziej mi wnuki niańczyć, niż się zakochiwać.

- Taka niby mądra jesteś, a taka głupia! - Matylda odłożyła, a w zasadzie rzuciła, pokrywkę od garnka do szuflady.

- Dlaczego tak się irytujesz? - zapytała zdziwiona Elka. - Przecież to moje życie.

- Ale szlag mnie trafia, kiedy widzę, jak je marnujesz. Zobaczysz, ta cała Eliza sprzątnie ci Tomka sprzed nosa i pretensję będziesz mogła mieć tylko do siebie.

Elka zdenerwowała się już nie na żarty. Każdy chce jej mówić, co dla niej najlepsze, dawno skończyła osiemnaście lat, to po pierwsze. Po drugie zaś miała już doświadczenie życiowe. Wzięła głęboki wdech.

- A czy pomyślałaś może, że Malinowski kocha tamtą? Sama zobacz, przede mną były tu różne lekarki, tak? I co, każda wyjeżdżała, a on zostawał... z Elizą. Może oni się kochają jednak? I co, mam wejść między nich? Mam odebrać jej szczęście dla własnego dobra lub kaprysu? Przecież to świństwo! Nie mogłabym tak. Jeżeli oni mają się ku sobie, to nic tu po mnie. Tak trudno to zrozumieć? - Spojrzała pytająco.

Matylda westchnęła i usiadła za stołem naprzeciwko niej. Położyła rękę na jej dłoni.

- Przepraszam cię, nie powinnam ci mówić, jak masz żyć, ale... - szukała w myślach odpowiedniego wyrażenia - nie mogę patrzeć, kiedy sobie to życie marnujesz na jakieś fochy.

- Rozumiem, że ci zależy na moim dobru, ale nie mogę po nie sięgać czyimś kosztem - odparła spokojnie.

- A czy ty nie widzisz, jak Tomek na ciebie patrzy? Że odkąd tu jesteś, stał się innym człowiekiem, wyszedł z kokonu, którym się otoczył po śmierci swoich najbliższych. Nigdy nie widziałam, aby tyle się śmiał, by jadł w tej kuchni śniadanie wspólnie z innymi, by siedział wieczorem na tarasie, pijąc kawę. On tu przemykał jak zbieg jakiś. A teraz? Teraz jest otwarty, wesoły, rozmowny. A wszystko to stało się, odkąd ty przyjechałaś - tłumaczyła Elżbiecie Matylda. - Idź na tę zabawę, proszę cię.

- Sama nie wiem, on będzie tam z Elizą, a ja co? Z Kotkiem mam iść?

- Proponował ci?

- A jakże. I to w jakiej formie. Na koniec wyszło, że odrzucam życiową szansę i będę tego gorzko żałować.

Matylda parsknęła śmiechem, łzy leciały po jej pomarszczonych policzkach.

- Oj, ten Kotek, od małego zarozumiały był, że drugiego takiego ze świecą znaleźć. I co, odmówiłaś?

Elka spojrzała na Matyldę, w jej oczach zabłyśły iskierki przekory.

-No jakże bym mogła taką partię odrzucić? Taki przystojniak, na etacie, zastępca wójta. Takiej okazji nie wolno marnować - ostatnie słowa wymawiała, krztusząc się ze śmiechu.

- Oj, ty. - Matylda pogroziła jej palcem. - Ale tak już poważnie mówiąc, to naprawdę idź na tę zabawę, co ci szkodzi?

- Matyldo, ja nawet sukienki nie mam. Patrzyłam na to, co mam w szafie, nic się nie nadaje do założenia. Taka Eliza zakasuje mnie od razu.

- Tu cię boli... Hm... - Ciotka pokiwała głową. -Widzisz w niej rywalkę.

- Bez przesady... - Elka zaczęła się jąkać.

-A pomyślałaś, że dla Tomka nie wygląd ani lata mają znaczenie, ale to „coś”, co jest w tobie, a czego ona nie ma? Pomyśl, ile lat oni się znają i nic.

-No tak, ale przez te wszystkie lata cały czas zadręczał się myślami o swojej żonie, a teraz się z tego wyzwolił - zauważyła Elka, wstawiając do zmywarki brudny kubek po kawie. - Zobaczą, może coś na festynie kupię, chociaż wątpię. - Wzruszyła ramionami i ruszyła do swojego pokoju.

* * *

Wokół rynku porozstawiano namioty, na scenie przed urzędem gminy grały na zmianę różne zespoły. W namiotach prezentowały się firmy, od największych po najmniejsze. Tłumy mieszkańców i turystów spacerowały między nimi, zbierały ulotki i gadżety. Do namiotu Elki co chwilę ktoś wchodził po poradę, niektórzy przynosili nawet wyniki badań, chcąc upewnić się w diagnozie. Upał doskwierał, Tomek skądś wykombinował dwa duże wiatraki, jeden dla niej, drugi dla siebie. Elka miała wrażenie, że jedynie mieszają rozgrzane powietrze, zaś chłodu i ulgi nie dają. Jednak musiała się przemęczyć. Wójt biegał od stoiska do stoiska, za nim dreptał Kotek z dużym zeszytem i pilnie notował polecenia, by po chwili pobiec i je realizować.

- No i jak się pani podoba, pani doktor? - zapytał Kryszał, korzystając z momentu, że w namiocie nie było żadnego pacjenta.

- Straszny upał, ale organizacja naprawdę bardzo dobra - odparła uczciwie.

- Miło to słyszeć. Wody do picia nie brakuje? - zapytał, usiłując się usadowić wygodniej w plastikowym fotelu, w którym się po prostu nie mieścił.

- Jest woda, prąd, wiatrak nawet. Wszystko w najlepszym porządku...

- Oby tylko dzisiaj w nocy nie padało. Nie wie pani, czy Matylda jakoś zapobiegła temu? - zapytał niepewnie.

- Niby czemu? - Elka udawała, że nie wie, o co chodzi.

- Pani doktor... - wójt spojrzał na nią wymownie.

- Proszę się nie bać, deszczu nie będzie - odparła, śmiejąc się.

- A pana wojewody dzisiaj nie będzie? - zapytał, sięgając pod stół po małą butelkę wody.

-Niestety, wraz z żoną tydzień temu wyjechali do Hiszpanii na wakacje. Tyle lat jej to obiecywał, że w końcu nadszedł czas, żeby spełnić przyrzeczenie.

- A pani gdzieś się w tym roku wybiera na wakacje? Prosiłbym tylko uprzedzić, żeby jakieś zastępstwo załatwić.

-Nie, w tym roku emocji mi wystarczy. Jeszcze dobrze nie poznałam tych terenów, a co dopiero jechać gdzieś dalej. - Wzruszyła ramionami.

- Ja tylko tak na przyszłość mówię. Wczoraj dostałem e-mail z Krakowa z komendy policji. Przy ciele tej kobiety ubranej w staromodną suknię znaleziono jakiś list, który potwierdza jej tożsamość w osiemdziesięciu procentach, przesłano mi jego skan, to znaczy właściwie to przepisano go, bo to, co się zachowało, nie nadawało się do kopiowania. Chociaż specjaliści stwierdzili, że jest naprawdę w dobrym stanie.

- A reszta tych ludzi? - Elżbieta zamknęła laptop, do którego nanosiła nazwiska osób odwiedzających jej namiot.

- No, niestety to turyści, przy wszystkich są jakieś dokumenty tożsamości.

- Pan zdaje sobie sprawę, że można było temu zapobiec, chociaż w części? - Elka spojrzała na wójta wymownie, w jej oczach mógł wyczytać zarzut.

- E... no. - Wstał nagle, dłonią potarł czoło. - Ja już pójdę, muszę zobaczyć, co w innych namiotach. Jakby czegoś pani potrzebowała, proszę zwrócić się do Franka, gania tu cały czas, więc z jego lokalizacją nie będzie kłopotu. - Ruszył w stronę wyjścia. - Aha, byłbym zapomniał, lokal na aptekę jest już gotowy, pani znajoma może przyjechać, to omówimy warunki. A... wokół tego bagna w poniedziałek będą stawiać ogrodzenie. No cóż, czasu nie cofniemy, niestety.

- Dobrze i to - mruknęła pod nosem.

Spojrzała na wyświetlacz swojego telefonu i uznała, że czas zrobić sobie przerwę. Wyszła z namiotu i zajrzała do Tomasza. Zobaczyła go pochylonego nad laptopem, przy nim siedziała Eliza przytulona do jego ramienia. Dostrzegła lekarkę, jej usta okraśniał uśmiech zwycięstwa. Elka wycofała się, zanim Malinowski podniósł głowę. „No cóż, siedzieli obok siebie, to o niczym nie świadczy - tłumaczyła sobie. - Zresztą, co mnie to obchodzi?”. Zaczęła iść wzdłuż namiotów i straganów. Dziwiła się, że ten nieduży rynek mógł pomieścić tyle punktów handlowych. Szła wśród stoisk z rękodziełem. Z lubością przypatrywała się barwom drewnianych figurek, wśród których królował dziadek do orzechów. Wzięła jeden do ręki i przypatrywała mu się z zaciekawieniem.

- Ładny, prawda? - zapytała sprzedawczyni. - Mój tata go rzeźbił, ręcznie - zaznaczyła.

- To naprawdę ręczna robota? - zapytała z niedowierzaniem.

- Tak, niesamowite, prawda?

-Faktycznie, jest tak wygładzone, jakby spod maszyny. - Elka obracała w rękę figurkę. - Kupię ją chętnie - stwierdziła i sięgnęła po portfel. - Nie wie pani, gdzie tu jakieś stoisko z sukienkami jest? - zapytała, płacąc.

- Ale o jaką sukienkę konkretnie chodzi? - Sprzedawczyni spojrzała na Elkę, owijając figurkę w papier.

- Taką, żeby się na zabawę nadawała - odparła Elka lekko zawstydzona.

- Oj, to chyba dzisiaj nic tu pani odpowiedniego nie dostanie. Z ubrań to same tradycyjne stroje sprzedają, musiałyby pani do Zakopanego pojechać albo do Krakowa.

-No tak, tylko czasu nie mam na to - westchnęła Elka, wkładając figurkę do torby.

Ponownie zaczęła spacerować wzdłuż straganów. Zapach grillowanych oscypków przyciągał smakoszy jak magnes, Wysocka też się skusiła. Przy ulicznym ogródku serwującym piwo dostrzegła trzech przyjaciół, którzy, widząc ją, wstali pośpiesznie z krzeseł i skłonili się.

- Dzień dobry, pani doktor. Przerwa w pracy? - zapytał Walery, opierając się o stół.

Elka dostrzegła, że lekko się już chwieje.

- Panie Walery, widzę, że chyba ma pan już dość na dzisiaj? - zapytała.

-Ależ pani doktor, toż to dzisiaj święto ruczajowskie, nie godzi się go nie uczcić - odparł śmiało i usiadł ciężko na krześle.

- Oj, panowie, wszystko trzeba z umiarem - pouczała.

- Toż dlatego my jeszcze stoim, a nie leżym - odparł z błogim uśmiechem Grzybek.

Elka nie mogła się nie roześmiać. Pogroziła im jeszcze palcem i odeszła.

Zewsząd rozbrzmiewała muzyka i gwar. Kolory mieszały się ze sobą, poprzetykane niczym sieć pajęcza. Elce przypomniał się opis jarmarku z „Chłopów” Reymonta. Uwielbiała tę powieść i wiele razy powracała do niej. Tam też stragany mieszały się ze sobą, masy ludzi przetaczały się między nimi, każdy, czy chciał kupić, czy też nie, przystawał przy stołach, przyglądał się, brał do ręki różne przedmioty, pytał o cenę i kupował lub odchodził. Elżbietę zaciekał stragan, gdzie sprzedawano miód. Podeszła bliżej. Stół przykryty był jasnym obrusem z wyhaftowanymi kwiatami i pszczołami uwijającymi się wśród nich. Słoiki ustawione były w małe piramidki, obok leżały ulotki z opisem poszczególnych gatunków tego specjału, ich zalet i działania.

- Dzień dobry, chciałabym kupić miód spadziowy -zagadnęła stojącego za stołem starszego mężczyznę.

- O, pani doktor! - krzyknął z radością sprzedawca.

- Nie przypominam sobie pana jako mojego pacjenta - odparła Elżbieta, przyglądając mu się ciekawie.

-Bo pani moją matkę uratowała, miała zapalenie wyrostka robaczkowego. Gdyby pani jej nie zawiozła do szpitala, to dawno leżałaby na cmentarzu. Naprawdę wdzięczny jestem...

- Da pan spokój, jestem lekarzem, więc to nic dziwnego, że pomogłam - zaczęła bronić się.

- Tak się tylko mówi. Tu przed panią były różne lekarki, żadna nie przejmowała się pacjentami, kazała wezwać karetkę i tyle.

- No cóż, sam pan wie, że ludzie są różni. Ale dość o tym, chciałabym miodu spadziowego...

-Ależ proszę bardzo! - Mężczyzna odwrócił się i zaczął czegoś szukać w skrzynce ustawionej na ziemi. -O, jest, tu się schował - mruknął do siebie i wyprostował się. - Proszę. - Podał Wysockiej dwulitrowy słoik.

- Ale tak dużego nie potrzebuję - zaproponowała.

- To świeży miód, może postać, a w zimie będzie jak znalazł - udowadniał.

- No, dobrze - westchnęła zrezygnowana. - Ile płacę?

- Nic, no wie pani?

- Jak to? - Elka nie kryła zdziwienia.

-Za życie mojej matki, to ja powinienem tysiąc pasiek pani oddać, zresztą - machnął ręką - jej życie nie ma ceny. Bo dzięki niej z córką się pogodziłem, obiecałem jej to, kiedy myśleliśmy, że z tego nie wyjdzie.

- Nie wiem, co powiedzieć - odparła lekko zawstydzona.

-Nic nie trzeba mówić, tylko wziąć ten słoik. A dla Matyldy mam akacjowy, obiecałem jej jeszcze wiosną. - Podał jej kolejny słoik.

- Dziękuję. - Elka ostrożnie schowała oba słoiki do torby. - Do widzenia.

- Do widzenia.

Poszła dalej pomiędzy straganami, rozglądając się wokół i podziwiając stoły, gdzie rzeźbiarze wystawiali swoje prace. Zawsze lubiła drewniane rzeźby, zwłaszcza te dotyczące ludowych podań. Przystanęła przy jednym

z kramów, zaciekała ją ciemna figurka ducha gór. Wzięła ją ostrożnie do ręki i, obracając, przyglądała się.

- Podoba się? - Usłyszała głos, spojrzała w kierunku, skąd dochodził.

Przed nią stał zgarbiony staruszek w zniszczonym serdaku, spod którego wystawała biała koszula z czarnymi lamówkami. Na głowie miał czarny góralski kapelusz z piórem. Za nim w wiklinowym fotelu siedziała kobieta. W jej pobrużdżonej twarzy najbardziej wyraziste i wręcz niesamowite były oczy. Miały zielony kolor, barwa ta od razu skojarzyła się Elce z soczystą trawą, na którą padł na chwilę cień wielkiego drzewa, a po chwili ponownie oświetliły ją promienie słońca. W jej spojrzeniu było coś hipnotyzującego, co nie pozwalało oderwać od niej wzroku.

- Tak, bardzo, to duch gór, prawda? - zapytała po chwili, kiedy zdołała oderwać wzrok od staruszki.

- Tak. To nasza дума podhalańska - odparł mężczyzna. - Chce pani kupić?

- Tak. Podoba mi się. Wspaniała robota, widać niemal każdy szczegół postaci. - Elka uważnie oglądała rzeźbę, dostrzegając w niej najmniejsze, misternie zrobione szczegóły.

- Każda rzeźba, którą pani tu widzi, jest inna. Prawdziwy artysta nie robi dwóch takich samych, nie jest maszyną. - Pokiwał głową.

- Wiem, zresztą to widać - odparła z uśmiechem. - A dużo czasu pan potrzebuje, aby wyrzeźbić taką postać?

- To zależy - odparł nieco lakonicznie. - Zależy od tego, co chcę wystrugać i z jakiego drzewa. Nie można zapominać, że drewno to żywa istota, zabrał je ktoś z jego

miejsca, z jego domu, więc nie chce się poddać nożowi. Nieraz muszę je prosić, by mi się poddało, obiecać, że będzie zdobić czyjś dom... - Na jego ustach Elka dostrzegła lekki uśmiech, nie wiedziała, czy staruszek żartuje sobie z niej, czy też mówi poważnie.

- To ja kupię tego ducha - stwierdziła i sięgnęła do torby po portfel, wówczas nieoczekiwanie odezwała się, do tej pory milcząca, staruszka:

- Tobie nie duch, a Blanka potrzebna.

Elka spojrzała na nią zdziwiona. Głos kobiety nie pasował do osoby, był młody, czysty, bez żadnej chrypki, tak powszechnej w zaawansowanym wieku.

- Blanka? - zapytała Wysocka i śmieiej spojrzała na kobietę.

-Naprawdę tak uważasz, Marcysiu? - Mężczyzna także spojrzał na nią i westchnął.

- Tak, Józiu, tak. Blanka będzie dla niej lepsza. - Pokiwała głową kobieta. - Chodź na chwilę i siadaj tutaj obok mnie, na tym zydelku, opowiem ci, kim ta dziewczyna była, a Józio poszuka figurki.

-Tylko nie za bardzo mam czas, bo zaraz muszę znowu przyjmować pacjentów w swoim namiocie - zaprotestowała Elżbieta.

- Nie bój się, to długo nie potrwa - zapewniła ją Marcysia. - No, siadaj - ponagliła.

Wysocka obeszła stół i usiadła na wskazanym miejscu, torbę położyła ostrożnie na ziemi.

- Znalazłeś, Józiu, Blankę?

Kobieta spojrzała na męża, który szukał czegoś w szarym pudle, w końcu wyprostował się, odwrócił i podał żonie niewielką rzeźbę. Wzięła ją ostrożnie do ręki i uniosła do góry, aby Elka mogła dokładnie obejrzeć.

- Jaka piękna! Jak misternie wykonana! - Wysocka nie mogła powstrzymać się od wyrażenia głośnego zachwytu.

- Tak, masz rację, ta rzeźba oddaje całe piękno Blanki - potwierdziła Marcysia.

- To chyba wilk? - bardziej stwierdziła niż zapytała Elżbieta.

- Istotnie, a ściślej mówiąc: wilczyca. -Dlaczego do mnie bardziej pasuje? - zapytała

Wysocka, ukradkiem spoglądając na wyświetlacz telefonu, chcąc sprawdzić godzinę.

- Nie patrz na zegar, czas to rzecz ulotna. Dla jednych ta sama godzina to całe wieki, dla drugich mrugnięcie powieką. - Kobieta położyła rękę na telefonie, zasłaniając ekran.

- Przepraszam, ale naprawdę boję się spóźnić, mam zobowiązania... - Elżbieta zaczęła się tłumaczyć, czerwieniąc się.

- Posłuchaj - zaczęła kobieta, nie zważając na jej protesty i tłumaczenia. - Dawno temu były tutaj ogromne lasy, puszcze niemal. Pełno było w nich wilków, niedźwiedzi, jeleni, zajęcy. Przyroda kierowała się własnymi prawami. Człowiek żył z nią w zgodzie, polował wówczas, kiedy był głodny, nie zabijał dla przyjemności jak teraz - westchnęła ciężko i sięgnęła pod gruby sweter, którym była opatulona pomimo panującego upału, i, ku zdumieniu Wysockiej, wyciągnęła fajkę. Z małego blaszanego pudełeczka na stole wyjęła tytoń, który włożyła do cybucha, ugniotła go i zapaliła zapalnikami podanymi przez Józefa.

Elka patrzyła na nią zdumiona, tego się nie spodziewała.

- Czy pani wie, że palenie szkodzi? - nie mogła powstrzymać się od uwagi.

- Doprawdy? - Marcysia roześmiała się głośno, jej głos brzmieniem przypominał dzwonki, był taki czysty, dźwięczny, co niezwykle zdumiało Elkę.

- Oczywiście, powinna pani dbać o siebie - odparła Wysocka.

- Moje dziecko, ja mam już dziewięćdziesiąt siedem lat, uważasz, że palenie fajki może mi zaszkodzić? Ile według ciebie mogę jeszcze pożyć? Wyglądam na chorą?

Elka nie wiedziała, co odpowiedzieć. Wiek kobiety zaskoczył ją, na oko dawała jej około siedemdziesiątki. Wzruszyła jedynie ramionami, wiedziała, że dyskusja na nic się zda, i tak nie przekona kobiety.

- Tak więc - Marcjanna wróciła do głównego wątku - pewnego dnia przybył tu drwal z żoną i małą córeczką Blanką. Całej rodzinie spodobało się to miejsce. Zbudował dla nich chatę i zamieszkali w niej. Dni i lata upływały powoli, każdy dzień dawał im radość albo smutek. Blanka rosła i codziennie szła z ojcem do puszczy, z czasem sama zaczęła wybierać się na wycieczki. Pewnego razu zmęczona usiadła pod wielkim dębem i zasnęła, a kiedy się obudziła, zobaczyła, że jest otoczona przez wilki. Wystraszyła się, patrzyła na nie z przerażeniem, wiedziała, że mogą ją zaatakować. Tymczasem stwierdziła, że słyszy ich myśli. Po chwili wiedziała, że nie musi się ich bać, miały wobec niej dobre zamiary. Na przód wysunęła się stara wilczyca, podeszła do dziewczyny wolno, stanęła naprzeciw i spoglądała przenikliwie, po czym zadarła łeb do góry i zaczęła wyć, w jej ślad poszła reszta stada. Blanka ponownie poczuła strach, ale zwierzę położyło się obok niej i zaczęło ją lizać po dłoni. Blan-

ka ostrożnie wyciągnęła dłoń i pogłaskała wilczycę po wielkim srebrnym łbie. Odtąd dziewczyna, wybierając się do lasu, zawsze spotykała tę horde, razem wędrowali po puszczy. Zwierzęta pokazywały jej ukryte wnyki, które ona niszczyła, często bawiła się z nimi na polanie, przy strumieniu, była świadkiem polowań, które budziły w niej odrazę, chociaż wiedziała, że zwierzęta te żywią się mięsem i że to zgodne z ich naturą. Tak spędziła wśród wilków kilka dobrych lat, jej tajemnicę poznali wkrótce rodzice, ale widząc, w jakiej symbiozie żyją, i że córce nic nie grozi, nie zabraniali jej.

Dziewczyna wyrosła na piękną i mądrą kobietę, z czasem nauczyła się zbierać zioła i przyrządzać z nich leki, po które ludzie przyjeżdżali nawet znad samego morza! Oj, znana była nasza Blanka, znana.

Niestety, pewnego razu najechali puszcę źli ludzie, byli ciemni na twarzach, na głowach mieli turbany. Gdzie tylko się pojawili, grabili, mordowali, palili, a kobiety i młode dziewczęta porywali. Pewnego dnia, jak co rano, Blanka ruszyła do puszczy, by nazbierać ziół, towarzyszyły jej wilki. Tego dnia zwierzęta były bardzo niespokojne, Blanka pytała je o powód, ale nie potrafiły tego określić. Czuły śmierć i pożogę. Po pewnym czasie i dziewczynę ogarnęła jakaś dziwna trwoga, postanowiła natychmiast wrócić do domu, czuła, że coś się stało. Z koszykiem w ręku poczęła szybko biec znaną jej ścieżką wśród gęstwiny puszczy. Wilki zastępowały jej drogę, nie chciały, by szła do domu, ale Blanka nie słuchała ich. Już z daleka czuła dym i spaleniznę. Kiedy wybiegła na polanę, gdzie był jej dom, zastała jedynie zgliszcza, gdzieniegdzie palił się jeszcze ogień, wokół wszystko było zniszczone, z zagród zniknęły owce, krowa i koń. Blanka, nie zważając na to, że może się poparzyć, wbiegła do chaty.

W kuchni zastała spalone ciała rodziców. Ukłękła przy nich, łzy ciekły z jej zielonych oczu, nie mogła wydobyć z siebie głosu, poczuła, że brakuje jej powietrza, odchyliła głowę, zaczerpnęła niemal nadludzką siłą powietrza i po raz pierwszy zawyła. Dźwięki, które wydobyła z siebie, były przenikliwe, docierające do wnętrza każdej żywej istoty. Wilki, które otoczyły spalony dom, pochyliły łby. Blanka śpiewała wilczą pieśń żałoby i zemsty. Upadła na gorące ciała rodziców, zgarniała popiół, który był wokół nich i posypywała sobie nim włosy i twarz na znak żałoby.

Nadszedł wieczór, a jej wilcza pieśń trwała i szła wraz z wiatrem dalej i dalej... Raptem dostrzegła, że wilki skryły się w zaroślach, widać było tylko ich jarzące się ślepia. Blanka podniosła się i wyprostowała, zobaczyła nieznanych jej ludzi z pochodniami, jeden miał u boku nóż, który należał do jej ojca. Miał rzeźbioną rękojeść, którą sama wystrugała z dębowego drewna. Spojrzała na złoczyńcę przenikliwym wzrokiem i niemal zawarczała jak jej wilcza rodzina. Mężczyzna zsiadł z konia, wziął od swego kompana pochodnię i podszedł do Blanki, oświetlił jej brudną od popiołu twarz. Jej zielone oczy zachwyciły go, począł coś do niej mówić w swoim języku i szarpać za rękę. Dziewczyna z całą siłą odepchnęła go, tak że upadł na tłace się jeszcze zgliszcza, parząc sobie twarz. Blanka wyminęła go szybko i zaczęła uciekać w stronę puszczy, jednak już po chwili poczuła uderzenie w głowę, potem była już tylko ciemność i pieśń jej wilczej rodziny.

Obudziła się w wielkim namiocie, wokół niej było wiele dziewcząt i kobiet. Usiadła i oparła się plecami o słup podtrzymujący dach namiotu. Niektóre z dziewcząt znała, mieszkały w pobliskiej osadzie, gdzie czasami zachodzi-

ła. Teraz wszystkie siedziały skulone, matki obejmowały swoje córki, niektóre głośno zawodziły, inne patrzyły tępo przed siebie. Od jednej z nich Blanka dowiedziała się, że ci, co je napadli, to Ormianie. Lud ten przybył z daleka, a gdzie się pojawił, siał pożogę i śmierć. Kobiety, dziewczęta i dzieci porywali, by potem sprzedać jako niewolników do haremu swego sułtana. Blanka spojrzała na jedną z siedzących obok niej młodych dziewcząt, znała ją z widzenia. Często bywała w osadzie, gdzie ta mieszkała.

- Gdzie my jesteśmy? - zapytała, przysunawszy się bliżej niej.

- Nie wiem, dwa dni temu tu trafiłam. To straszni ludzie, widziałam, jak zabijali mojego ojca i braci - załkała w odpowiedzi.

- Co z nami zrobią? - Blanka objęła dziewczynę ramieniem.

- Mówią, że wywiozą nas do swojego kraju. Codziennie wieczorem przychodzi tu taki jeden, ma zabandażowaną twarz i wybiera kilka spośród nas. Żadna jeszcze nie wróciła, boję się. - Dziewczyna odruchowo wtuliła się w Blankę.

Chcąc oderwać swą współtowarzyszkę niedoli od złych myśli, zapytała:

- Gdzieś mogę się umyć?

Dziewczyna podniosła głowę i wskazała wysoki, bogato haftowany parawan.

- Tam są wiadra z wodą, miski i ręczniki. Blanka wstała i poszła we wskazanym kierunku. Kiedy nadszedł wieczór, do namiotu weszły dziwnie

ubrane kobiety spowite w różnokolorowe tkaniny, twarze miały zasłonięte. Niosły tace z jedzeniem i piciem, rozstawiały je na grubych poduszkach. Kopały i potrącały uwięzione i mówiły coś do nich złowróżbnym tonem.

Kobiety szybko rozstępowały się, chcą uniknąć kopnięć i poszturchiwań. Kiedy tamte wyszły, część z nich rzuciła się łapczywie na jedzenie, inne siedziały nadal na swoich miejscach, odrętwiałe ze strachu, bólu i wspomnień mordowanych rodzin. Po jakimś czasie jedna ze ścianek namiotu ponownie się podniosła i wszedł do środka wysoki mężczyzna. Na głowie miał ciemnoniebieski turban z dużym rubinem pośrodku, na ramionach długi, czarny płaszcz, bogato haftowany złotą nicią, spod niego wystawała czerwona koszula i luźne spodnie. Przy pasie miał przytroczony miecz i nóż, który Blanka rozpoznała od razu. Jego twarz była częściowo zabandażowana, dziewczyna wiedziała, że to ten sam mężczyzna, który zabił jej rodziców i którego pchnęła na palące się jeszcze zgliszcza swojego domu. Opuściła szybko głowę, aby jej nie poznał. Mężczyzna przechadzał się wśród kobiet i nahażem wskazywał niektóre z nich. Żołnierze, którzy weszli wraz z nim, poczęli je wyciągać z namiotu. Rozległy się krzyki i lamenty. Matki nie chciały wypuścić z objęć swych córek, córki kurczowo trzymały ręce matek. Na nic się to jednak zdało.

Blanka poczuła, że oprawca stanął przed nią, końcem nahaża podniósł do góry jej brodę i spojrzał prosto w zielone oczy. Dziewczyna zobaczyła w jego twarzy grymas nienawiści. Mężczyzna odwrócił się do żołnierzy i coś do nich krzyknął. Szybko podbiegli do Blanki i wywlekli ją z namiotu. Nie zważając na jej krzyki ani szamotaninę, ciągnęli ją za ręce w stronę innego namiotu, tam rzucili na stos poduszek. Zaraz też dopadły do niej kobiety, które wcześniej przyniosły jedzenie, i poczęły zdzierać z niej zabrudzoną i zakrwawioną sukienkę, potem bez żadnych ceregieli wsadziły ją do wielkiej balii z gorącą wodą

i gestami pokazały, że ma się myć. Blanka, poszturchiwana i bita nahajami, szybko spełniała ich rozkazy, ale im szybciej wykonywała polecenia, tym więcej razy na nią spadało. Zakrywała głowę i twarz, chcąc uniknąć bólu. W końcu do namiotu weszła starsza kobieta, jej twarz nie była zasłonięta. Była dość otyła, miała dopasowaną suknię, w pasie związaną złotym pasem, z głowy spływał jej żółty, niemal przezroczysty welon. Widząc, co się dzieje, ostro krzyknęła. Wszystkie oprawczynie szybko ustawiły się w jednym rzędzie i skłoniły nisko, po czym opuściły pośpiesznie namiot. Kobieta podeszła do balii, w której siedziała Blanka.

- Bądź posłuszna paszy, a nic złego cię nie spotka - zwróciła się do niej.

- Znasz mój język? - Blanka nie kryła zdziwienia.

- Tak, znam. Moja matka pochodziła z twojego kraju, kiedyś i ją porwali, a potem... potem ja się urodziłam. Latami pracowałam na to, aby być przełożoną haremu paszy.

- A co z twoją matką? Ojcem? - Blanka patrzyła na nią z zaciekawieniem.

- Mów do mnie Aisha, a co do matki, to zmarła kilka lat temu, a ojciec... był ówczesnym szambelanem dworu sułtana, miał już żonę, a moją matkę zwyczajnie zgwałcił - mówiąc to, wzruszyła ramionami. - Daj, umyję ci włosy, strasznie śmierdzą, potem natrę cię olejkami. Ibrahim lubi czyste kobiety. Od ciebie zależy, jaką pozycję zajmiesz w jego haremie. Jest taka przepowiednia w jego rodzinie, że pozna kobietę o jasnej skórze i srebrnych włosach, będzie ona dla niego końcem i początkiem, ale musi strzec się dębu...

- Dębu? - zapytała Blanka.

- Tak, rośnie przecież u was także, prawda? -Tak.

Kiedy kobieta myła jej włosy, z tyłu namiotu usłyszały przeciągłe wycie. Blanka spojrzała w tamtym kierunku, uśmiechnęła się. Jej oczy zaszyły mgłą, bezwiednie wyszła naga z balii i podeszła do ścianki namiotu. Oparła o nią dłoń, poczuła, że po drugiej stronie stoi Marina, przewodniczka wilczego stada. Jej rodzina czuwała nad nią. Uśmiechnęła się.

- Zaiste będę jego początkiem i końcem - odparła do zdumionej kobiety.

- Co to było? - zapytała Aisha, obejmując się ramionami.

Blanka nie odpowiedziała. Aisha podeszła do niej z ręcznikami i suknią. Kiedy Blanka była ubrana, kobieta przyjrzała się jej z zadowoleniem.

- Mój pan będzie zadowolony, wszystko teraz zależy od ciebie - albo zostaniesz jedną z pierwszych w jego haremie, albo sprzeda cię na targu jako niewolnicę - ostrzegła.

Zdażyła ułożyć jej jeszcze włosy, kiedy płachta namiotu podniosła się i wszedł pasza. Aisha, składając mu pokłon, wycofała się z namiotu, pozostawiając ich samych. Blanka śmiało podniosła głowę i spojrzała na mordercę swoich rodziców. Stał przed nią zadowolony, ubrany w długi jedwabny płaszcz, tym razem nie miał na głowie turbanu, przy boku miał przytroczony miecz i nóż, który należał do ojca Blanki. Dziewczyna zauważyła to szybko. Mężczyzna wyciągnął rękę i począł głaskać ją po twarzy. Blanka błyskawicznie sięgnęła do jego boku, wyrwała zza pasa nóż i z pełnym impetem wbiła go Ibrahimowi w oko. Pasza nawet nie zdążył krzyknąć, kiedy dosięgnął go kolejny cios i kolejny. Zakrwawiona

dziewczyna podbiegła do tylnej ściany namiotu, rozcięła ją nożem, po czym szybko wysunęła się z niego. Biegła przed siebie na oślep, po chwili czuła, że horda dołączyła do niej. Bolały ją nagie stopy, które raniła o wystające korzenie, gałęzie krzaków i drzew chwytaly ją za włosy, ale nie zważała na to, strach dodawał jej sił. Po pewnym czasie dobiegła wraz z wilkami do strumienia, rozejrzała się wokół, była blisko jaskini, w której mieszkaly. Upadła na kolana i sięgnęła ręką do strumienia, piła łapczywie. Zza ciężkich chmur wyszedł księżyc, Blanka spojrzała na niego, odchyliła głowę i zaczęła wyć, bracia dołączyli do niej. Śpiewali pieśń zwycięstwa. Kiedy spojrzała w taflę wody, zobaczyła, że nie jest już dziewczyną, ale wilkiem o zielonych jak trawa oczach. Od tamtej pory ilekroć ktoś komuś wyrządzi krzywdę lub ma taki zamiar, a ofiara to osoba o czystym sercu, pojawia się wilczyca o zielonych oczach, która pomaga ofierze...

- A co z paszą? - dopytywała Elka, patrząc na kobietę, która znowu zaczęła palić fajkę.

-No cóż... przepowiednia sprawdziła się, Blanka była jego początkiem i końcem, a dąb? Rękojeść noża była zrobiona z dębiny.

- Wspaniała legenda - przytaknęła Elżbieta i spojrzała na wyświetlacz telefonu. - O matko, wydawało mi się, że pani z godzinę opowiada, a tu minęło zaledwie piętnaście minut - zdziwiła się.

- Mówiłam ci, że czas to pojęcie względne. Weź tę figurkę i nie rozstawaj się z nią, a gdybyś była w potrzebie, zawołaj Blankę, ona ci pomoże. - Marcjanna podała rzeźbę Wysockiej, ta ostrożnie wzięła ją do ręki i ponownie zaczęła się z uwagą przyglądać.

- Pani naprawdę wierzy w tę legendę? - zdziwiła się Elka.

-Tak, wierzę - odparła spokojnie. - Widziałam Blankę nie raz...

Elka uśmiechnęła się nieznacznie, wzięła swoją torbę i zarzuciła na ramię.

- Teraz już na mnie czas. Ile płacę? - zapytała, wychodząc z za stołu na chodnik.

- Nic, ta figurka czekała na ciebie - odparła kobieta, po czym zamknęła oczy i wydawało się, że zaczęła drzemać.

- Dziękuję w takim razie i do widzenia. - Elka pożegnała się i ruszyła w kierunku swojego namiotu.

Ze sceny umieszczonej na rynku dochodziła skoczna muzyka regionalna i zawodzenia jakiejś kobiety, której wydawało się, że potrafi śpiewać. Elka uśmiechnęła się pod nosem, włożyła rękę do kieszeni i delikatnie pogłaskała figurkę.

Z daleka dostrzegła, że z namiotów zdjęto przednie ścianki, dzięki czemu dostęp świeżego powietrza miał być lepszy. Mijając namiot Malinowskiego, zobaczyła, że Eliza siedzi na krześle obok Tomka i opiera głowę o jego ramię. Przystanęła na chwilę. Mężczyzna wpatrzony był w monitor laptopa i zdawał się nie zwracać uwagi na swoją towarzyszkę i jej paplaninę. Elka uśmiechnęła się z przekąsem, widząc ten obrazek, i poszła do siebie.

Pacjentów przyjmowała do osiemnastej. Kiedy skończyła, czuła się bardziej zmęczona niż po dyżurze w szpitalu, polowe warunki nie sprzyjały pracy, a i świadomość, że obok jest Tomek z mizdrzącą się do niego Elizą, nie wpływały na poprawę jej samopoczucia. Nim

zdażyła schować laptop i zebrać dokumenty, do namiotu wszedł wójt.

-1 jak minął dzień? - zapytał, sadowiąc się na krześle.

- Męczący - odparła, zakładając torbę na ramię. - Ten upał jest wykańczający.

- Ma pani rację, ja też czuję się zmęczony, ale warto było. Ludzie zadowoleni, mieli trochę rozrywki, a i turyści też uśmiechnięci chodzili.

- A dużo zebrano na aukcji? Nie mogłam na niej być, za dużo było pacjentów.

-Powiem szczerze, że sporo, bo około dziesięciu tysięcy - odparł wójt z uśmiechem. - No, ale na mnie też już pora. Wieczorem zabawa, muszę na niej być. Oczywiście pani też będzie, prawda?

- N... właśnie raczej nie, przepraszam, ale... - zaczęła ostrożnie, szukając gorączkowo w głowie sensownego usprawiedliwienia.

- Pani doktor, nawet nie chcę tego słuchać. Ma pani miejsce przy stole elity...

- Jakim stole? - zapytała, nie kryjąc zaskoczenia.

- No... elity - powtórzył, drapiąc się po głowie. Elka roześmiała się:

- Pan chyba żartuje? Co tu się dzieje? Jakiś podział klasowy?

-Bez przesady, ale sama pani wie, że często na takich imprezach ludzie znaczący coś w mieście siadają razem - zaczął tłumaczyć. - Chyba nie wyobraża sobie pani, że siadę na przykład z Grzybkiem?

- A niby dlaczego nie? - zapytała przekornie.

- Szkoda tłumaczyć. - Wstał. - Powiem tyle, że obrazi pani swą nieobecnością wielu ludzi, w tym... nawet takiego Grzybka czy Pażyra.

- Panie wójcie, byłam tutaj cały dzień, chyba mam prawo odpocząć w taki sposób, jaki uznam za stosowny? - W jej głosie dało się wyczuć rozdrażnienie.

- Oczywiście, ma pani do tego prawo. Nikt temu nie zaprzecza, ale na takich imprezach jest swobodniejsza atmosfera. Ludzie chętniej rozmawiają, zbliżają się do siebie... Dla wielu pani nieobecność...

-Dobrze, już dobrze. Przyjdę, ale na krótko, ja naprawdę zmęczona jestem.

-Jeżeli pani pozwoli, to wraz z żoną przyjadę po panią około dwudziestej - zaproponował.

- Dziękuję, ale mam samochód, więc proszę się nie fatygować...

-To żaden kłopot, naprawdę. A wiadomo, że na takich imprezach wypije się kieliszek lub dwa - uzasadniał swoją propozycję.

- A kto by mnie wówczas odwiózł?

-A Kotek będzie rozwoził, on dzisiaj nie pije, bo pił na ostatniej imprezie, a ja rozwoziłem ludzi - odparł, zadowolony, że obalił jej kolejny argument przeciwko przyśściu na zabawę.

- No, dobrze - westchnęła Elka.

- Świetnie, będziemy po panią o dwudziestej.

- Postaram się być gotowa, ale z góry zastrzegam, że wracam wcześniej, naprawdę muszę odpocząć.

-Dobrze, nie ma sprawy. Kotek panią odwiezie. I proszę się nie objadać w domu, bo będzie pieczony dzik. A on w wykonaniu Feliksa to sama poezja - mówiąc to, miał na ustach błogi uśmiech.

- A kim jest ten Feliks? Nie znam go - zapytała, przysiadając na krześle, bo torba wisząca na ramieniu zaczęła jej wyraźnie ciążyć.

- To wspaniały kucharz, mieszka na stałe w Krakowie. Tam ma kilka restauracji. Pochodzi z Ruczaju, razem chodziliśmy do szkoły - wyjaśnił Marian, podchodząc do wyjścia z namiotu.

- To jesteśmy umówieni.

- Dobrze - odparła, starając się ukryć znużenie.

-Cześć, Matylde. Konam ze zmęczenia. Ten upał i duchota wykończyły mnie, a do tego wójt się uparł, bym pojechała na tę zabawę - paplała Ela, siadając przy stole w kuchni.

- Kawy? - zapytała ciotka i, nie czekając na odpowiedź, postawiła przed nią filiżankę parującego napoju.

- Oj, tak. Mmm... - upiła łyk kawy, parząc sobie język - pyszna, mam nadzieję, że postawi mnie na nogi.

- Dodałam tam kilka ziół, więc za chwilę poczujesz się jak nowo narodzona. A co tam ciekawego na festynie było?

-zapytała Matylde, siadając przy stole naprzeciwko Elki.

-W sumie nic. Wśród tych, co byli u mnie, sami nadciśnieniowcy, otyli lub nadmiernie pijący. Trochę położyłam po straganach, szukałam jakiejś sukienki dla siebie, ale nic nie było. Muszę wziąć coś starego, tylko że naprawdę nie mam wyboru - westchnęła.

- Nie martw się, coś się wymyśli - pocieszała ją ciotka.

- Niby jak? Niedługo przyjedzie po mnie wójt z żoną, nic już nie wymyślę. - Elka wzruszyła w odpowiedzi ramionami.

Wysocka przypomniała sobie o torbie i sprawunkach, które w niej były.

- Mam miód dla ciebie, o i jeszcze to dostałam od niejakiej Marcjanny. - Wyjęła figurkę wilka i postawiła ją przed Matyldą.

- Dała ci Blankę? - Matylda, mówiąc to, miała oczy wielkie niczym talerze. Wyciągnęła ostrożnie rękę w stronę figurki, ale zaraz ją cofnęła. - Spotkał cię nie tylko ogromny zaszczyt, ale i szczęście - dodała po chwili.

- O czym ty mówisz? - Elka nie rozumiała, jednak zauważyła cofnięcie ręki przez ciotkę, co dało jej do myślenia.

- Opowiedziała ci legendę?

- Tak - przytaknęła. - W ogóle dziwna z niej kobieta, pali fajkę.

- To niezwykła osoba i powiem szczerze, że była kiedyś moją mentorką. Dużo mnie nauczyła, bardzo wiele jej zawdzięczam.

- Zamyśliła się.

- Ja jednak upieram się, że jest naprawdę dziwna. Ale opowiadać potrafi, to fakt.

- Chyba nie zdajesz sobie sprawy, jak ważna jest ta figurka - stwierdziła Matylda, upijając z kubka łyk kawy.

Elżbieta zmarszczyła czoło i spojrzała wymownie na kobietę, oczekując szczegółowego wyjaśnienia.

- Ale może dokładniej? - ponagliła.

- Widzisz, Marcjanna zna się lepiej ode mnie na ziołach, urokach i tym podobnych sprawach - stwierdziła i zaraz dodała, widząc ironiczny uśmiech Elki: - Niezależnie, jak śmiesznie to brzmi. Jej mąż wspaniale rzeźbi, zaś ona wprowadza w figurki duchy, moc, energię. Nagradzają lub karzą ludzi za ich uczynki.

- Niby jak? - zapytała zaintrygowana Elka.

- Ich rzeźby są znane nie tylko w Ruczaju, ale nawet w Krakowie. Ludzie specjalnie przyjeżdżają i zamawiają

je. A Marcjanna, patrząc na takiego człowieka, widzi, jaki on jest. Obdarza figurkę mocą, która uczy go dobra lub, jeżeli jest dobry, nagradza albo chroni. Poza tym ona jest z rodu Blanki.

- W jaki sposób, skoro dziewczyna zamieniła się w wilka? - Elżbiecie wydawało się to absurdem, zwłaszcza z medycznego punktu widzenia.

- Po kilku latach przebywania z hordą wilków i przewodzenia jej, podczas pełni księżyca Blanka zamieniła się z powrotem w kobietę i ruszyła w poszukiwaniu mężczyzny, który zostanie ojcem jej dziecka. Musiała przekazać komuś swój dar. Znalazła odpowiedniego mężczyznę, uwiodła go, zaszła z nim w ciążę i urodziła córkę. Dziecko jedynie podczas pełni księżyca widziało swoją matkę w ludzkiej postaci, na co dzień wychowywało się między hordą wilków. Kiedy dziewczynka dorosła, matka kazała jej iść do ludzi. Dopiero wówczas poznała swego ojca i tak potoczyło się dalej. Ona przekazała swój dar swojej córce, ta z kolei swojej. Zaś Marcjanna pochodzi... - wymownie nie dokończyła.

- No tak, wszystko jasne. Piękna legenda - przyznała Elżbieta.

- To nie tylko legenda, moja droga. Ta figurka czekała na ciebie rok - odparła Matylda, wstając z krzesła i odkładając swoją filiżankę do zlewu.

- Jak to rok? - Mimo wszystko Elżbieta była zaintrygowana.

- Marcjanna ma dar jasnowidzenia, wiedziała, co cię spotka i że tutaj przyjedziesz, wie także, że ten wilk będzie ci potrzebny - stwierdziła pewnym głosem.

- Dziwne to wszystko, brzmi jak jakaś baśń. Mam mieszane uczucia... - odparła Wysocka po namyśle.

- Czas pokaże - odparła Matylda.

- Cześć, co porabiacie? - Do kuchni wszedł niespodziewanie Tomek. - O, kawa zaparzona. W końcu napiję się porządnej kawy, bo to, co serwowali na festynie, to była profanacja tego boskiego napoju.

-Kiedy przyjechałeś? Nawet nie słyszałyśmy, jak podjechałeś samochodem - stwierdziła Wysocka.

- Kochana, tak paplałyście, że nawet tornada byście nie usłyszały. - Roześmiał się, nalewając do kawy.

- Jakich porad dziś udzielałeś? - zapytała Matylda, podając mu talerzyk z ciastem, kiedy już usiadł przy stole.

-Nie miał czasu na porady, bo bluszcz go oplatał - mruknęła pod nosem Elżbieta.

- Coś mówiłaś? - zapytał Tomek, patrząc na kobietę.

- Zdawało ci się - odparła pośpiesznie.

- U mnie głównie dzieciaki były ze swoimi pupilami, jak co roku zresztą - odpowiedział, pakując do ust spory kawałek sernika.

Matylda usłyszała złośliwą uwagę Elżbiety i nieznacznie się uśmiechnęła.

- Na zabawę idziesz? - zwróciła się do mężczyzny.

- Tak, nie mam wyjścia, chociaż najchętniej to poleżałbym na leżaku przed domem, zmęczony jestem. Ten upał wykańcza - odparł z głośnym westchnieniem.

- Mnie też dał się we znaki - dorzuciła Elka.

- A ty idziesz na imprezę? - zwrócił się do Wysockiej.

- Tak, ale zostałam zmuszona przez Krysztalę. Też wolałabym zostać.

- Podwiozę cię - zaproponował.

- Nie trzeba, wójt z żoną mają po mnie przyjechać -odparła.

- Chyba że tak. Dobra, to lecę wziąć prysznic. - Wstał od stołu i włożył talerzyk do zlewu. - Dobrze, że jutro niedziela, trochę sobie pośpimy - dorzucił, kierując się do drzwi.

- Ja zamierzam wcześniej wrócić, bo jutro chcę się wybrać na Kozią Przełęcz - odparła Elka.

- Gdzie? - zapytali jednocześnie Matylda i Tomek.

- Na Kozią Przełęcz - powtórzyła Wysocka, patrząc na nich zdziwiona, że wywołała tą wypowiedzią takie poruszenie. - Co w tym dziwnego?

- A z kim tam się wybierasz? - zapytał Tomek, stojąc w progu drzwi.

- Sama - odparła spokojnie Elka.

- No chyba oszalałaś! - Tomek cofnął się do kuchni, podszedł do stołu i oparł na nim dłonie. - Tam nikt nie idzie sam, trzeba mieć przewodnika.

-Niby dlaczego? Mam mapę, zaznaczoną trasę, a dawno chciałam się wybrać w to miejsce. Oglądałam zdjęcia w internecie, są fascynujące - tłumaczyła.

- Elka, to bardzo niebezpieczne miejsce, trudne do przebycia dla doświadczonego taternika, a co dopiero takiego mieszczucha jak ty - nie dawał za wygraną.

- Chyba przesadzasz, nie jest wysoko...

- Elu, ta nazwa wzięła się stąd, że są tam wąskie ścieżki i rozpadliny, które pokonać mogą kozice. Poza tym to przeklęte miejsce - wtrąciła się Matylda.

-Matko jedyna, znowu jakieś zabobony, legendy i mity. Wy tylko chyba tym żyjecie. Dorośli ludzie, a takie głupoty opowiadają. - Elka była już nie na żarty rozdrażniona.

- To żadne głupoty, dziewczyno. - Matylda usiadła przy stole.
- W czasie II wojny światowej przez Kozią

Przełęcz przeprowadzano ludzi, uciekali przed okupantem. Zwykle to GOPR-owcy ich prowadzili, bo jedynie oni dobrze znali teren. Niestety, pewnego dnia wśród ludzi, którzy z nimi

szli, znalazł się szpieg. Tego dnia w grupie było około dwudziestu partyzantów, którzy mieli pomóc Słowakom w walce z okupantem. Był tam też Janek, dziesięcioletni chłopiec, który chciał walczyć za wolność. Był jedynym i wymodlonym u Boga dzieckiem Krystyny Pacześ. Nocą uciekł z domu i przyłączył się do partyzantów, a kiedy zorientowali się, że z nimi idzie, było za późno, aby go odesłać...

-To nie widzieli, że wśród nich idzie taki maluch? - Elka zaczęła powątpiewać w prawdziwość opowieści.

-Nie, bo wraz z nimi szli też cywile z całymi rodzinami. Dopiero kiedy zatrzymali się na odpoczynek w Jaskini Wisielca, dostrzegli go - wyjaśniła spokojnie Matylda. - Szpieg, który był wśród nich, poinformował Niemców kiedy i gdzie będzie szła cała grupa, poszedł z nimi, aby odebrać za to pieniądze. Następnego dnia, kiedy zbliżali się już do zejścia z przełęczy, zobaczyli, że cały teren otaczają esesmani. Cywile wpadli w panikę, chcieli się cofnąć, zaczęto się nawzajem tratować i spychać w rozpadlinę. Niemcy spokojnie to obserwowali, a potem tych, co pozostali, rozstrzelali. Była to najbardziej krwawa akcja Niemców na naszych terenach. Natomiast kiedy Krystyna zorientowała się, że syn dołączył do partyzantów, ruszyła tą samą drogą. Znała to miejsce od urodzenia, szła pewnie i nie bała się. Dopiero kiedy, tak jak oni, miała zejść z przełęczy, zobaczyła, co się stało. Wpadła w rozpacz, sobie znanymi ścieżkami zeszła na dno urwiska, odszukała ciało swego dziecka. Trzy dni trzymała go objęciach,

potem wyjęła pistolet z kieszeni jednego z nieżyjących partyzantów i zastrzeliła się. Od tamtej pory raz na jakiś czas pojawia się na ścieżkach przełęcz w różnych miejscach i spycha nierozważnych w przepaść - dokończyła swoją opowieść.

- Hm... Nie chcę was urazić, ale większej bzdury nie słyszałam. Niby dlaczego spycha niewinnych ludzi? Co jej zrobili? - zaatakowała Elka.

- A któż wie, co szarpie taką zbolełą duszę? Nie zapominaj, że ona popełniła samobójstwo, może szuka duszy syna? Cierpi. Za każdym razem, kiedy widzi kogoś, myśli, że to Janek, a potem okazuje się, że jednak nie i w złości spycha go - tłumaczyła Matylda.

- Dobra, kochani, nie przeszkadzam, gadajcie sobie, co chcecie, ja idę się myć i szykować, bo nie zdążę. - Elka wstała od stołu, wyminęła Tomka i wyszła z kuchni.

- Co robimy? - zapytał Tomek, kiedy kobieta wyszła.

- Sama nie wiem, ale nie może tam iść sama - odparła Matylda.

- Będę jej pilnował na zabawie, spróbuję ją może upić, to potem zaśnie i nie wstanie rano - rzucał propozycje.

- Pomysł niezły, ale nie wiem, czy ci się uda, wiesz, że ona za dużo to nie pije, a jak sobie coś zaplanuje, to trudno ją od tego odwieść - zauważyła ciotka. - Idź się też szykuj, potem zajdź do mnie, ja przez ten czas może coś sensownego wymyślę - podjęła decyzję.

Elka, biorąc prysznic, rozmyślała nad opowieścią Matyldy. Zdawała sobie sprawę, że w wielu takich historiach pojawia się zawsze wątek paranormalny, ale trzeba go umieć oddzielić od prawdy. Sięgnęła po butelkę z szamponem, trochę naląła na dłoń i rozprowadziła po włosach. Kiedy zamknęła oczy, by piana do nich nie wpadła, zobaczyła twarz Tomka i jego oczy.

Były takie... takie pełne troski, strachu... o nią! Poczowała przyjemny dreszcz na plecach, z lubością przeciągnęła się. Co się z nią dzieje? Dlaczego samo przypomnienie tych zmrużonych oczu doprowadza ją do dziwnej ekscytacji, przyjemnych doznań? A w tamtą burzliwą noc, kiedy się kochali? Nie czuła żadnych zahamowań! Nawet z Markiem nigdy tak się nie kochała. Znowu zobaczyła w swojej głowie obrazy z tamtej nocy. Tomek rozbierał ją powoli z rozmysłem. Każdy pojawiający się fragment nagiego ciała dotykał, całował, pieścił językiem. Myślała, że oszaleje! Poddawała się każdej najbardziej wyszukanej i zmysłowej pieszczocie. Doznania erotyczne bombardowały jej ciało. Teraz dopiero uzmysłowiła sobie, że chciałaby doznać tego jeszcze raz i jeszcze...

Dzisiaj, kiedy zobaczyła go z Elizą, poczuła ogarniającą ją falę zazdrości! Tak, była cholernie zazdrosna o tę młodszą, ładniejszą, bardziej ponętną kobietę. Cóż ona mogła mu ofiarować? Coraz bardziej starzejące się ciało? Żaden krem, balsam nie zahamuje czasu. A twarz? Siateczka zmarszczek wokół oczu, cienkie, ale widoczne zmarszczki na czole... Westchnęła. Zakręciła kran i wyszła z kabiny, stanęła na gąbkowym dywaniku przed lustrem. Woda spływała z jej ciała i włosów, tworząc na podłodze

pokażną kałużę. Machnęła na to ręką. Przyglądała się swojemu odbiciu. Zmarszczki, obwisłe piersi, skóra na brzuchu... bleee. Przetarła dłonią zaparowaną tafłę lustra i przybliżyła do niej twarz. Ech... czas jest jej wrogiem.

Nagle usłyszała pukanie do drzwi, nim zdążyła sięgnąć po ręcznik, otworzyły się i stanął w nich Tomek. Był już ubrany w niebieską koszulkę i dżinsy opinające jego kształtne biodra i pośladki. Lubiała go ubranego na sportowo. Zapomniała, że stoi nago. Tomasz spojrzął, lustrując jej mokre ciało. Zmrużył oczy, Elka ponownie poczuła przyjemne dreszcze. Podszedł do niej powoli. Oprzytomniała i sięgnęła po ręcznik, okrywając się szczelnie.

- Jak się puka, to się czeka na zaproszenie! - warknęła, uzmysławiając sobie, że widział ją w pełnym świetle, ze wszystkimi mankamentami.

-Przepraszam, nie pomyślałem - odparł spokojnie. - Elu, proszę cię, nie idź jutro. Razem ustalimy inną datę, poproszę kolegę, będzie nam towarzyszył, on zna tę przełęcz...

-Coś się tak uwziął? - Elka drugim ręcznikiem wycierała włosy.

- Bo to jest niebezpieczne - tłumaczył, stając za nią i patrząc na jej odbicie w lustrze.

- Dobrze, idź już. Muszę się wytrzeć - odparła, chcąc się go pozbyć.

Była zła, widział felery jej ciała! Wtedy była noc, ciemność sprzyjała jej, ukryła sekrety i niedoskonałości skóry, ale teraz?

- Idź już! - powtórzyła głośnie.

- Czyli poczekaś i razem pójdziemy? - upewniał się.

- Tak... - odparła, nie patrząc mu w oczy. Odetchnął głęboko, chociaż nadal niepewnie spoglądał w jej oczy odbite w lustrze.

-Masz piękne ciało... - powiedział nieoczekiwanie, pochylił się i pocałował jej nagie ramię, objął ją w pasie i przytulił.

Elka drgnęła poruszona tą niespodziewaną czułością, chciała uwolnić się z jego ramion, ale tylko mocniej zacisnął ramiona. Obrócił ją do siebie, zdecydowanym ruchem zdjął rękawiczki i odrzucił go na podłogę. Pochylił się nad jej twarzą i nim zdążyła się zorientować, wsunął język w jej usta. Rozchyliła je i poddała się erotycznej chwili. Poczwała jego dłoń na swoim brzuchu, powoli pieścił jej ciało, schodząc coraz niżej, w uniesieniu rozchyliła uda. Oderwała się od jego ust i przechyliła głowę do tyłu. Tomasz zaczął pieścić językiem jej szyję. Czwała, jak jego męskość przyciska się do jej bioder, słyszała jego pożądliwy oddech. Jęknęła, kiedy poczuła, że jego palce wchodzą...

Nagle za uchylonym oknem w łazience rozległ się dźwięk klaksonu.

- Szlag by to trafił - mruknął rozeźlony, odrywając się od szyi Elżbiety.

Spojrzał na twarz kobiety, jej oczy nadal były zamglone, przytulił ją do siebie, chciał, by mogła dojść do siebie. Gładził ją delikatnie po plecach i pośladkach.

- Idź, Eliza czeka - wychrypiała, próbując dojść do siebie i lekko go odpychając.

- Wybacz - wybąkał, nie wypuszczając jej z objęć. Podniósł jej głowę i spojrzał w oczy.

- Mam nadzieję, że szybko to dokończymy - uśmiechnął się.

W odpowiedzi jednak tylko chrząknęła, wyswabdzając się z jego ramion. Tomasz podszedł do drzwi, obrócił się jeszcze i chciał coś powiedzieć, ale powtórny klakson samochodu przerwał mu, westchnął z rezygnacją i wyszedł. Elka ciężko usiadła na małym taborecie, sięgnęła po ręcznik wciąż leżący na podłodze i ukryła w nim twarz. Jej ciałem jeszcze targwały dreszcze, oddech był przyśpieszony, chciała więcej, poddałaby się wszystkiemu, czego Tomek by zażądał, ale... ten cholerny klakson przerwał wszystko! Powoli dochodziła do siebie. Wstała, sięgnęła po szlafrok, który narzuciła na ramiona, i podeszła do okna. Kryjąc się za firanką, patrzyła na samochód. Eliza siedziała w środku, Tomek właśnie wyszedł na zewnątrz i podszedł do niego, spojrzał jeszcze w okno łazienki. Elka instynktownie się cofnęła. Pojechali.

Kiedy weszła do swojego pokoju, zauważyła na łóżku podłużne pudełko, szybko podeszła i otworzyła je. W środku leżała piękna sukienka w kolorze ciemnego czerwonego wina. Zaparło jej dech. Wyjęła ją z pudła, lekko strzepnęła i spojrzała pełna zachwytu. Zrzuciła szlafrok i przyłożyła ją do siebie, podbiegła do lustra. Idealna! Szybko sięgnęła do szafy po bieliznę, na szczęście miała ją w odpowiednim kolorze. Kiedy w końcu mogła włożyć suknię, stwierdziła, że jest za brzydka, aby nosić takie cudo, tylko ją oszpeca! Sukienka była na ramiączkach, z dużym dekoltem w kształcie karo, obcisła i dopasowana do jej krągłości. Kilka razy obróciła się wokół. Przydałoby się jeszcze coś na ramiona zarzucić. Na szczęście w podobnym kolorze w szafie wisiało boler-ko, szybko nałożyła je. Idealnie. Westchnęła. Dopiero po chwili zastanowiła się, kto mógł sprawić jej taki prezent.

Mogła się tylko domyślić, że albo Majka, której jęczała przez telefon, że nie ma się w co ubrać, albo Tomek lub też Matylda. Nie, Matylda raczej nie.

Kiedy wyszykowana pojawiła się w kuchni, ciotka patrzyła na nią urzeczona.

- Wspaniale wyglądasz, podbijesz dzisiaj niejedno serce! - stwierdziła.

- Daj spokój - zachnęła się zawstydzona Elżbieta. - Nie wiesz, kto mi sprawił taki prezent? - zapytała, przygotowana na to, że Matylda będzie się wykręcać, gdy nieoczekiwanie padła odpowiedź.

- Tomek, to oczywiste.

- Ale z jakiej racji? - Wysocka nie dawała za wygraną. - Skąd wiedział, jaki rozmiar, kolor?

- Matko jedyna, ty zawsze masz jakieś problemy. Otrząśnij się w końcu i zacznij cieszyć się życiem! - krzyknęła na nią Matylda.

Elka była zaskoczona tym wybuchem, zaczerwieniła się.

- Chyba masz rację, powinnam zmienić swój stosunek do życia i ludzi - wydukała i usiadła na krześle.

- Mam nadzieję, że mówisz poważnie. - Matylda podeszła i pogłaskała ją po ramieniu. - Musisz zacząć patrzeć w przyszłość, a nie oglądać się za przeszłością.

- Wiem, ale... Sama nie wiem - westchnęła ciężko, jakby ktoś położył jej na plecach blok skalny i nie mogła go udźwignąć.

- Jakie masz wątpliwości?

- Sama nie wiem. - Wzruszyła ramionami.

- Chodzi o Tomka?

- To też... - Elka na chwilę zawahała się.

- Masz wątpliwości, to normalne, ale widać gołym okiem, jak bardzo mu się podobasz. Wodzi za tobą oczami, martwi się...

- Ale nie przeszkadza mu to ganiać za innymi - stwierdziła z sarkazmem.

- No, kochana, kto odrzucał go kilka razy? Czy nie ty? Poza tym on nic do Elizy nie czuje. - Matylda spokojnie tłumaczyła.

- Skąd wiesz? Teraz też pojechał z nią - Wysocka odparła z wyrzutem w głosie.

- Bo ty mu odmówiłaś, o ile pamiętam - zripostowała ciotka.

- Ale to niemożliwe, że mając boku młodszą i ładniejszą kobietę, wybrał mnie. To nienormalne! - stwierdziła Wysocka.

- Nienormalna to ty jesteś, skoro wygadujesz takie głupoty. - Matylda usiadła na krześle obok, wzięła dłoń rękę Elżbiety. - Masz już swoje lata, jesteś dojrzała. Kilka miesięcy temu straciłaś męża, obwiniasz się o jego śmierć, ale niby dlaczego? Tak samo byłoby, gdybyś wysłała córkę, by wyrzuciła śmieci, a w tym momencie spadłaby jej cegłówka na głowę. Taki los był Markowi wyznaczony, przyszedł jego koniec i musiał odejść. Tomek nie proponuje ci małżeństwa, on chce, abyście spróbowali być razem, a ty go raz zachęcasz, a raz odrzucasz...

- Zachęcam? - przerwała jej Elka, nie kryjąc zdziwienia.

- Tak, co było w pewną burzliwą noc? Elżbieta zaczerwieniła się i odwróciła wzrok.

- Nie masz się co czerwienić, jesteś dorosła. Widzę, że ci na nim zależy, coś zaczyna się w twoim sercu dziać. Chociaż spróbuj...

- Dobrze, postaram się, ale niczego nie mogę obiecać - odparła cicho i wstała. - Już pójdę, umówiłam się przy bramie z wójtem.

- Idź i baw się dobrze.

- Witam, pani doktor, dobrze, że się pani w końcu zgodziła wyjść trochę do ludzi. - Aldona przywitała Elżbietę.

- Oj, ale powiem szczerze, że ochoty szczególnej nie miałam - odparła Wysocka, sadowiac się na tylnym siedzeniu.

- Wiem, dzisiaj taki upał, a pani cały dzień w tym namiocie, ale już się trochę ochłodziło - paplała.

- Aldona, nie męcz już doktorowej - wtrącił się wójt siedzący za kierownicą. - Mijałem po drodze Tomka z Elizą...

- Ta latawica... - zaczęła Aldona, Kryszał psyknął przez zęby, chcąc ją uciszyć. - A co ty mnie tu uciszasz? Widzi pani? Psykać na mnie będzie, a wszyscy wiedzą, jaka ona jest! - zaciętrzewiła się Kryszałowa.

Elka ciekawie nastawiła uszy, nie wypadało o nic pytać, ale miała nadzieję, że wójtowa sama się wygada. Jednak podjechali już pod dom Kotka, Franciszek ubrany na sportowo czekał na chodniku. Szybko usadowił się obok Elżbiety, zdawkowo się z nią witając, natomiast bardzo wylewnie z Aldoną.

- No i jak tam, Kotek, wszystko zapięte na ostatni guzik? - zapytał wójt, skręcając w polną drogę prowadzącą na polanę, gdzie miała odbyć się zabawa.

-Oczywiście, panie wójcie, dwie godziny temu przywieźli dzika, jest gotowy, w zasadzie tylko jeszcze z godzinę go podpieką. Orkiestra gotowa i już zaczęła nawet przygrywać, bo słyszałem, kiedy rozmawiałem z Romkiem przez telefon, sałatki przywiezione, faktury za wszystko są u mnie, więc w poniedziałek wezmę je do urzędu - paplał na bezdechu.

- Pamiętasz, że dzisiaj to ty nas rozwozisz? - zapytał go Marian z uśmiechem na ustach.

- Oczywiście, panie wójcie, pamiętam, pamiętam -odparł potulnie.

- A w zasadzie to dlaczego państwo nie idą razem na zabawę?
- Aldona odwróciła się na przednim siedzeniu w stronę Elki i Franciszka. - W końcu oboje wolni jesteście. ..

- Aldona! - upomniał ją wójt.

- No co Aldona, Aldona. Nie mam racji? A zawsze to bezpieczniej pod opieką mężczyzny iść na taką imprezę, bo nikt nie ośmieli się zaczepić. Wiadomo, że u nas po godzinie połowa narąbana będzie leżeć na skraju polany. - Kobieta wzruszyła ramionami.

-Dziękuję za troskę, ale proszę mi wierzyć, sama sobie poradzę. Niestety, do końca być nie mogę, naprawdę zmęczona jestem, a jutro chcę iść na szlak... - odparła spokojnie Elżbieta, próbując ukryć uśmiech.

-Faktycznie, pani doktor ma rację, ja zresztą też będę zajęty organizacją, nie miałbym czasu, aby się panią zająć... - Franciszek próbował wtrącić swoje wyjaśnienie.

- Dobrze, już dobrze, tylko niech pan nie zapomni potem pani doktor odwieźć do domu - przypomniała mu Krysztalowa.

- Oczywiście, pani wójtowo - przytaknął skwapliwie w odpowiedzi Kotek.

Sarnia Polana nadawała się idealnie do organizowania wszelkich zabaw. Otoczona była lasem, w pobliżu nie było żadnej rzeczki czy potoku ani niebezpiecznej rozpadliny, w którą ktoś będący pod wpływem alkoholu mógłby wpaść. Istotnie od wielu lat odbywały się tutaj różne zabawy i nikomu nic się nie stało. Na co dzień można tu było spotkać całe stada saren, stąd też wzięła się nazwa.

Z prawej strony ustawiono dwadzieścia stołów przykrytych papierowymi obrusami, przy stole VIP-owskim zamiast ławek ustawione były plastikowe krzesła. Po lewej stronie było ognisko, na którym piekł się już dzik, obok mniejsze, a nad nim wisiał wielki kocioł z bigosem. Na stołach porozstawiano już talerze i sztuce, także plastikowe. Estrada, z przygrywającą już orkiestrą, ustawiona była naprzeciwko stołów, sprawdzano nagłośnienie. Miejsce przed nią przeznaczone było na tańce. Wokół rozstawiono namioty, gdzie serwowano piwo, grillowa-no kiełbaski, szaszłyki i karkówkę. Stół VIP-owski miał wszystko opłacone przez gminę, zaś reszta mieszkańców Ruczaju i turyści, którzy skuszeni muzyką i zapachem grilla licznie przybyli, musiała sama płacić. Na szczęście ceny nie były wygórowane.

Co poniektórzy już tańczyli, wywijając hołubce i pokrzykując w takt muzyki. Przy namiotach z piwem i grillem ustawiały się już kolejki. Aldona od razu wzięła Elżbietę pod rękę i poprowadziła do stołu, gdzie siedzieli już zaproszeni przez wójta goście. Kryształ dokonywał pośpiesznie prezentacji. Elżbieta usiadła obok Aldony, która szeptem opowiadała jej o ludziach siedzących przy

stole. Wysocka, siadając, zauważyła spojrzenie Tomasza i jego uśmiech, kiedy zobaczył ją w nowej sukience. Zdawał się nie zwracać uwagi na Elizę, która za wszelką cenę chciała, aby zajął się tylko nią. Nie uszło to uwadze Wysockiej i znacznie poprawiło humor. Teraz już chętniej słuchała paplaniny wójtowej.

- A tę Elizę to pani zna? - zapytała Aldona, kiedy przysła kolej na obgadanie Konopko.

-Tak, miałam z nią już do czynienia - odparła Elka. - Miła kobieta, pasują do siebie z doktorem Malinowskim - stwierdziła bohaterko.

-Pani chyba żartuje?! Toż szkoda dla niej takiego mężczyzny. Fakt, łatwo w życiu dziewczyna nie miała, sama doszła do wszystkiego, ale charakter wredny majak mało kto. Swoich pracowników traktuje jak pan feudalny, z nikim i niczym się nie liczy - zaczęła wyliczać Krysztalowa.

- Z panią też? - zdziwiła się Wysocka, biorąc jej objaśnienia dosłownie.

- No niechby spróbowała! - zachnęła się kobieta. - Ja mówię o tych, którzy biedniejsi są, a ona od nich zależna nie jest, potrafi ich naprawdę bardzo poniżyć.

- No, ale wielu z nich to jej klienci - dziwiła się Elka.

- Kochana, a gdzie oni pojedą na zakupy? Do Zakopanego po chleb, masło i butelkę wina? Ona tu monopol ma na sprzedaż. Nikt inny nie odważyłby się otworzyć swojego sklepu.

-Nikt nie chciał mieć tu sklepu? Przecież Ruczaj rozciągnięty jest w dolinie, przydałoby się jeszcze kilka mniejszych punktów - zauważyła Elka.

-To, co jest, to jej. Owszem, kiedyś kilka osób otwierało swoje sklepy, ale dziwnym trafem albo pożar im wybuchał, trawiąc wszystko do cna, albo sanepid coś wynalazł i taką karę przywalił, że się pozbierać nie mogli - odparła, sięgając po butelkę wody mineralnej.

- Nikomu to się nie wydało dziwne? - Elka spojrzała w stronę Elizy, która ponownie objęła Tomasza niczym bluszcz i patrzyła kpiąco na Wysocką.

- Oczywiście, że to dziwne. Ale nikomu niczego nie udowodniono. Tajemnica poliszynela. - Aldona mrugnęła do niej okiem. - Rozumie pani?

- Chyba tak, ale to okropne - przyznała Elka.

- Do tego ciągle gania za Tomkiem, a ten ogania się od niej jak od zadzumionej - ciągnęła wójtowa dalej.

- Chyba pani przesadza - szepnęła Elka. - Jakby nie chciał z nią być, to dawno by nie był - stwierdziła.

- Pani doktor, chłop jak dąb, swoje potrzeby ma, a z byle kim pójść, to żadna frajda, prawda? Niech pani się dziś przyjrzy, jak on ją traktuje...

- Aż tak źle? - zdziwiła się Wysocka.

- Nie, chodzi o to, że tak lekceważąco niekiedy, jakby miał ochotę jej powiedzieć kilka słów prawdy, ale brak mu odwagi - odparła szeptem Aldona.

- Aha, chyba już rozumiem.

- O, już mój zaczyna przemówienie, posłuchajmy - zarządziła wójtowa, patrząc na estradę, gdzie przy mikrofonie stanął Marian.

- Szanowni państwo, witam serdecznie wszystkich przybyłych. Już od rana nasza mała miejscowość jest oblegana przez... - Wójt czytał z kartki, od czasu do czasu zacinając się, Aldona patrzyła na męża i bezwiednie powtarzała jego słowa, bezgłośnie poruszając ustami. - A teraz zapraszam wszystkich do wspólnej zabawy - zakończył, zszedł z podestu i ruszył do stołu,

gdzie Kotek już rozlewał wódkę. Kiedy podszedł do Elki, zapytał lekceważąco: -Pije?

- Pije, niech naleje - odparła Wysocka tym samym tonem.

Aldona spojrzała na Kotka zdumiona i oburzona.

- Panie Kotek, trochę szacunku! - warknęła.

- Przepraszam - burknął, nalał im wódki do kieliszków i poszedł dalej.

- Patrz pani, jaki cham z niego się zrobił, jakby coś miał do pani - zauważyła.

-Nic mnie z nim nie łączy - odparła pośpiesznie Elka.

- Czyżby? - zważyła Aldona. - Mąż mówił, że Franek wygadał mu się przy kieliszku, że zapraszał panią na zabawę, ale spotkał się z odmową.

Wysocka zmieszała się, nie spodziewała się takiej bezpośredniości. Nie lubiła, kiedy ktoś wlaził butami w jej życie.

- Mówiłam już w samochodzie, że chcę wcześniej wrócić, a jutro rano na szlak się wybieram, więc co to za zabawa dla osoby towarzyszącej - tłumaczyła.

- Da pani spokój, z nim żadna nie chciałyby iść. Ani prezencji, ani kultury - podsumowała wójtowa.

- Drodzy państwo, proponuję wznieść pierwszy toast za naszych gości! - krzyknął wójt z drugiej strony stołu, biorąc do ręki kieliszek, w ślad za nim poszła reszta biesiadników.

Zabawa zaczęła się coraz bardziej rozkręcać. Im więcej Kotek polewał, tym tematy szybciej przewijały się przy stole. Co chwila jakaś para odchodziła, by zatańczyć.

W pewnym momencie Elka zauważyła, że Eliza ciągnie za rękę Tomasza. Ten ociągał się co prawda i ukradkiem spoglądał w stronę Wysockiej, ale w końcu musiał ustąpić. Elka odprowadziła ich wzrokiem, nie zdążyła odwrócić głowy, kiedy Eliza spojrzała na nią triumfująco.

Aldona zauważyła to i podnosząc kieliszek, wprost powiedziała Elce:

- To pani powinna iść obok Malinowskiego.
- Co też pani... - broniła się Wysocka.
- Wiem, co mówię, zresztą pół Ruczaju tak uważa.
- Co takiego?
- Ano tak. Wszyscy wam kibicują. Na pierwszy rzut oka widać, że się mu pani podoba. Nawet teraz nie spuszczał z pani oczu.

- Nie zauważyłam - stwierdziła Elka, była naprawdę zaskoczona tą uwagą.

-Oj, kochana pani, trzeba być bardziej uważną. Potańczymy?
- zapytała, kiedy zaczęto grać skoczną melodię.

- Nie, dziękuję, nie mam ochoty - odparła Elka. -Marian! Rusz się, idziemy potańczyć - wydała

polecenie Aldona, ciągnąc za sobą zaskoczonego męża.

Zabawa trwała w najlepsze, Elka spoglądała ukradkiem na Tomasza, któremu Kotek lał wódkę bez opamiętania. Aldona zaś po kolejnych tańcach zaczęła się przysiadać do gości, aby z każdym chociaż chwilę porozmawiać, na końcu ponownie usiadła obok Wysockiej.

- Patrz pani, jaka z tej Elizy wydra. Kazała Frankowi polewać Malinowskiemu, żeby go spić i zaciągnąć do siebie! Pewnie, bo po trzeźwemu to by chłopca nie zaciągnęła, zna on ją, oj zna.

- Kiwała głową, nie kry-

jąc oburzenia. - Ale słyszałam, że jutro chce pani iść na Kozią Przełęcz? Moja kochana, odradzam stanowczo, to naprawdę bardzo niebezpieczne. Tam tylko z przewodnikiem można.

-To już nieaktualne - odparła Elka pośpiesznie. - Miałam taki zamiar, ale doktor Malinowski i Matylda mi to wybili z głowy.

-Czyżby? Zmieszała się pani trochę, kiedy o tym powiedziałam.

- Wydawało się pani. A skąd ta wiadomość? -Kiedy siedziałam blisko Elizy, to słyszałam, jak wypytywała doktorka o panią.

- Aha - bąknęła Elka, sięgając po kieliszek. - To na zdrowie - wzniosła toast, Aldona przyłączyła się chętnie.

- Wiosną, chyba na początku kwietnia - wójtowa, wypiwszy, zaczęła raczyć Wysocką opowieścią - na Koziej Przełęczy zginęła kobieta, jej mąż cudem przeżył. ..

- Matko jedyna, jak to się stało? - Elka, pomimo że wzdrygnęła się, usłyszawszy to, była ciekawa przyczyny.

- Pani weźmie tego ciasta, sama piekłam, pycha. -Aldona podsunęła Elżbiecie talerz z łakociami. - Otóż wybrali się tam zupełnie nieprzygotowani. Ostrzegano ich, że tego robić nie wolno, tym bardziej że za dwa dni była organizowana w tamtym kierunku wycieczka z przewodnikiem, ale oni uparci byli. Zresztą, co się dziwić, mieli po dwadzieścia kilka lat. Po dwóch dniach ruszyła w tamtą stronę owa wycieczka. Kiedy szli wąskim przesmykiem, jeden z turystów wychylił się nad krawędzią i dostrzegł wiszącego na skale mężczyznę. Jego stopa utknęła w szczelinie skalnej. Szybko wezwano helikopter, wycieńczonego odtransportowano do szpitala. Zaś u podnóża doliny znaleziono kobietę. Mężczyzna, kiedy doszedł do siebie, opowiedział, że kiedy szli, nagle z góry zaczęły spadać drobne odłamki skał.

Oboje odskoczyli, ale kobieta stanęła na krawędzi urwiska, zachwiała się i osunęła. Spadając, złapała się niższej, wystającej półki skalnej. Mężczyzna usiłował jej pomóc i wciągnąć ją na górę, ale nie udało mu się, nie wiadomo jak, ale jego żona w pewnej chwili oderwała się od skały i zaczęła spadać. Mężczyzna, widząc to, chciał zejść w dół, ale stopa utknęła mu w skale. Opowiadał, że jego żona pewnie trzymała się półki skalnej i wyglądało to tak, jakby ktoś usiłował ją od niej oderwać.

- Dziwnie to brzmi, a może facet chciał się po prostu pozbyć żony? - z wątpiła Elka.

-Być może. - Aldona nie zaprzeczyła. - Ale tam wiele takich dziwnych wypadków było. - Wzruszyła ramionami.

Do stołu podszedł wójt i oparł ręce o blat.

-Pani Elizo! - krzyknął do Konopko. - Napojów nam zabrakło, może pojedziemy do pani sklepu?

- Nie ma sprawy, panie wójcie. - Eliza ochoczo poderwała się z ławki. - Tomek, chodź, pojedziemy. - Położyła dłoń na ramieniu mężczyzny poufałym gestem, co nie uszło uwadze Elki.

- Jedź sama, ja muszę jeszcze pogadać tu z Andrzejem, ma mi samochód sprawdzić - odparł Tomek, nie patrząc na nią. - Franek z tobą pojedzie. Prawda, Franek?

-Oczywiście, pani Elizo, pojedziemy autem pana wójta. - Kotek poderwał się ze swojego miejsca.

- Dobrze - odparła zrezygnowana kobieta.

Idąc za Frankiem, spojrzała przez ramię na Elkę. W jej oczach tliło się ostrzeżenie.

Aldona ukradkiem spojrzała na Wysocką, która odwróciła głowę, udając, że niczego nie widziała.

Muzycy ponownie zaczęli grać. Elka poczuła, że ktoś za nią stanął.

- Można panią prosić? - usłyszała, odwróciła głowę, a widząc uśmiechniętą twarz Tomka, odparła:

- Jakżebym mogła odmówić? - odparła zalotnie i przyjęła jego ramię.

- Ładna z nich para - zauważył wójt, gdy Malinowski z Elką oddalili się od stołu.

- Masz rację, ale czuję w powietrzu kłopoty - odparła Aldona, zjadając kolejną porcję ciasta.

- Niby dlaczego? On wolny, ona też? - Marian nie rozumiał.

- Ech, jesteś ślepy jak każdy facet - mruknęła.

- A ty jak zwykle widzisz kłopoty - odparł.

- Nie zauważyłeś, że od kilku dobrych lat ugania się za nim Eliza?

- Ale on nie bardzo za nią - zaśmiał się.

- No właśnie, on za żadną się nie uganiał. A teraz raptem widać, jak patrzy na Wysocką...

- Niby jak? - Nie rozumiał.

- Matko jedyna, daj mi cierpliwość. Ona mu się podoba! Żadna nie zrobiła na nim takiego wrażenia.

- Ja kobiet nigdy nie zrozumieję - westchnął Kryszał, sięgając po kieliszek wódki.

- A co tu rozumieć? Malinowski cierpiał po stracie żony i dzieci, i żadna kobieta, która się pojawiała, nie robiła na nim najmniejszego wrażenia...

- Bo każda za nim ganiała - zauważył sarkastycznie.

- Być może. Zaś Wysocka, z tego co mi mówiono, odtrącała go, nawet na tę zabawę dzisiaj nie chciała z nim iść. Was facetów kręci odmowa, ot co! - podsumowała.

-Może i tak... Ale ty mi nie odmówisz tańca? - Marian objął żonę w pasie i przytulił do siebie.

- Nie odmówię, po to tu jestem. - Uśmiechnęła się do niego i pocałowała w policzek.

Z głośników płynęła wolna, romantyczna muzyka. Tomek mocno przytulał do siebie Elżbietę.

- Daj spokój, jeszcze ktoś zobaczy - szeptała mu do ucha.

-Nikt nic nie zobaczy, specjalnie wybrałem nieoświetlone miejsce do tańczenia, nie zauważyłaś? - odparł spokojnie, jeszcze mocniej ją do siebie przyciągając.

- Zaplanowałeś? - zapytała zalotnie.

- Jakżeby inaczej?

- Coś jeszcze wykombinowałeś?

- Dzisiaj jest noc pełna niespodzianek. Lubisz niespodzianki?

- Tak, o ile są miłe.

- Te, które mam w planach, na pewno są.

- Chciałam ci podziękować za sukienkę.

- Nie ma za co - odparł.

- Skąd wiedziałeś, jaki rozmiar? - zapytała, kładąc głowę na jego ramieniu.

-No cóż... wystarczyło pogrzebać w twojej szafie - odparł spokojnie, chichocząc.

- No ładnie - odparła. - A kolor?

- A tu już mi Majka podpowiedziała, zresztą przysłała mi zdjęcie tej sukienki i podała adres sklepu w Krakowie.

- Czyli to był spisek? - Elka zaśmiała się.

- Musiałem zrobić wszystko, abyś przyszła dzisiaj, a wiedziałem, że brak sukienki był dla ciebie pretekstem. Trzeba było temu zapobiec - odparł.

Elka poczuła jego ciepły oddech na szyi. Tomek delikatnie całował jej szyję, pieszcząc językiem. Czuł, jak delikatny dreszcz wstrząsa ciałem kobiety, przytulił ją jeszcze mocniej. Chciał pocałować ją w usta, jednak wolna muzyka skończyła się i zagrano bardziej skoczną melodię. Oboje dali się porwać jej rytmom.

Elka nie zauważyła powrotu Elizy. Konopko siedziała przy stole i bacznie obserwowała tańczących. Kiedy szła z Kotkiem z samochodu, niosąc skrzynki z napojami, od razu zauważyła Tomka i Elkę. Tego się nie spodziewała. Była zaskoczona ich intymną pozycją w tańcu, zacisnęła zęby. Jej twarz przybrała ponownie beztroski wyraz. Usiadła na swoim miejscu. Kotek skorzystał z okazji i przysiadł obok. Szybko zorientował się, za kim kobieta wodzi wzrokiem. Nie zapomniał upokorzenia, jakiego doznał za sprawą Wysockiej. Liczył, że dzięki Konopko dokona zemsty w białych rękawiczkach.

- No, patrz pani, jaka ta nasza doktorowa cichociemna. Niby taka porządna, nie może zapomnieć o mężu, a tu...

- Od razu wiedziałam, jaka jest, kiedy tylko ją pierwszy raz zobaczyłam! - syknęła Eliza, pijąc drinka, którego skwapliwie zrobił jej Franek.

-Malinowski nigdy na żadną z tych lekarek nie zwracał uwagi, wszyscy wiedzieli, że on w pani zakochany - podjudzał. - A ta przyjechała i...

- Nikt nie będzie mi wchodził w drogę. Nalej mi jeszcze. - Podsunęła pustą szklanekę w stronę butelki z brandy, Kotek szybko wykonał polecenie.

-Taka stara baba, a umiała się zakręcić - stwierdził. - Nie rozumiem, czym Malinowskiego zauroczyła. Przecież ty - zaczął mówić jej po imieniu, na co nie zwróciła uwagi, sama

przecież też tak zrobiła - jesteś najpiękniejszą kobietą w Ruczaju, do tego wykształconą i mającą głowę na karku. Chyba nie pozwolisz, aby ci ta raszpla faceta sprzed nosa sprzątnęła? - zapytał judaszowym głosem.

- Nikt mi niczego nigdy nie zabrał, o ile sama na to nie pozwoliłam. I ona też nie zabierze. Taniec to nic takiego, każdy ma prawo. Jakbym tu była, to na pewno by z nią nie tańczył. Być może to ona go poprosiła. - Mimo wszystko szukała usprawiedliwienia.

- Też prawda - przytaknął. - A widziałaś jej sukienkę? - zapytał na pozór obojętnym tonem.

- Niezła, muszę przyznać - odparła, pijąc łapczywie drinka.

- On jej kupił.

- Co?! - krzyknęła, zwracając tym samym uwagę osób siedzących najbliżej nich.

- Ciszej - syknął Franek.

- Cholera - odparła ciszej, rozglądając się wokół i przyoblekając twarz w obojętny uśmiech. - O czym ty mówisz?

- zapytała, przysuwając się do Franka bliżej.

- Krzysiek, nasz listonosz, mówił. Tomek zamówił tę sukienkę w Krakowie - odparł spokojnym głosem.

- Skąd on wiedział? - dociekała.

- Malinowski mu powiedział. Bał się, że na czas nie dojdzie i ciągle go pytał o paczkę. No to Krzysiek w końcu go zapytał, co tam takiego ważnego, i ten opowiedział. A sama wiesz, że nasz listonosz to pierwszy plotkarz w Ruczaju. Teraz to tylko krok do pierścionka...

- Po moim trupie - syknęła Eliza, dopijając brandy. Spojrzała z ukosa na Kotka. - A ty co tak na nią nastajesz? - zapytała.

- Ja? Wydaje ci się. Widzę, że jest nie fair wobec ciebie i faceta ci sprzed nosa może sprzątnąć - odparł, nie patrząc jej w oczy.

- Za dobrze cię znam, masz w tym swój interes. Radzę ci po dobroci powiedzieć - ostrzegła.

- Naprawdę ja do niej nic nie mam - odparł nieco nerwowym głosem.

- Franek...

- Poniżyła mnie - odparł zawstydzony, nie patrząc na nią.

- Jak? - dociekała. - No mów - ponagliła.

- Nie chciała ze mną tutaj przyjść, no i wcześniej też padło jakieś słowo, które mnie ubodło. Traktuje mnie jak wiejskiego przygłupa - żalił się.

- Widzę, że nam obojgu załazła za skórę - stwierdziła. - Trzeba zacząć działać - dodała, patrząc na parkiet.

Muzycy zeszli ze sceny, tańczący wracali, rozmawiając, na swoje miejsca. Tomek odprowadził Elkę do stołu, pocałował szarmancko w rękę i szepnął coś do ucha, kobieta pochyliła głowę i zaczerwieniła się. Nie uszło to uwadze Konopko.

- I jak tam, przywiozłaś te napoje? - zapytał Malinowski, sadwiąc się obok Elizy.

- Tak - odparła, starając się przybrać obojętny wyraz twarzy i ukryć emocje, jakie nią targały.

- Chyba mi ten dzik zaszkodził - powiedział Tomek, kładąc dłoń na brzuchu.

- Przed chwilą nie było tego widać, kiedy tańczyłaś z tą... Wysocką. - Eliza w ostatniej chwili pohamowała się.

- O co ci chodzi? - zapytał, patrząc na nią zdziwiony.

- Kiedy z nią tańczyłeś, to cię nie bolało? - zapytała z ironią.
- Bolało - westchnął. - Ale przecież nie powiem kobiecie, z którą tańczę, że mnie brzuch boli. To chyba oczywiste. Nie wypada, prawda? - W jego głosie dało się wyczuć rozdrażnienie.

- Chodź, przejdziemy się - zaproponowała Konopko.
- Zmęczony jestem - odparł wymijająco.
- Proszę... - szepnęła, pochylając się w jego stronę.
- Dobrze - odparł poirytowany i wstał z miejsca. Szli ścieżką w stronę lasu, Eliza wzięła Tomka pod ramię.

- Tomek, mnie jako kobiecie nie wypada o tym mówić, ale chciałabym, aby sytuacja między nami była jasna. Ludzie już zaczynają o nas gadać... - Eliza zaczęła ostrożnie.

- O czym gadają? I jaka sytuacja? - zapytał szczerze zdziwiony.

- No o nas, że tak długo ze sobą jesteśmy i że powinniśmy już być naprawdę razem. Czas podjąć decyzję - tłumaczyła, starając się opanować drżenie głosu.

- Eliza - Tomek zatrzymał się, obrócił się w jej stronę i wziął ją za ramiona. - O czym ty mówisz? Nic między nami nie ma. Nigdy niczego ci nie obiecywałem, nie deklarowałem. Nie zamierzam jeszcze wiązać się z kobietą... - szukał słów, czuł, że nie jest wiarygodny.

- Idiotkę ze mnie robisz? Sypiasz u mnie, jadasz przy moim stole, zapraszasz mnie do siebie! To chyba jest jednoznaczne z tym, że coś do mnie czujesz! - zaatakowała, jej oczy były zmrużone i pełne nienawiści.

- Ja z tobą sypiam? Chyba niepoważna jesteś. Raz czy dwa się zdarzyło i to wtedy, kiedy mnie spałaś! Na trzeźwo bym... - Nie dokończył, gdyż kobieta z całej siły uderzyła go w twarz.

- Jeżeli myślisz, że zrobisz ze mnie idiotkę, to się grubo mylisz. Nie pozwolę wystawiać się na pośmiewisko przed całym miastem. Wszystko było dobrze, dopóki ta dziwka się nie pojawiła!

- Zabraniam ci tak o niej mówić! - krzyknął Tomek, pocierając policzek.

- W dupie mam twoje zakazy! Jesteś mi coś winien. Albo ogłosimy nasze zaręczyny, albo gorzko tego pożałujesz! - syknęła.

Chciała ponownie go uderzyć, ale w porę złapał ją za nadgarstek, udaremniając zamiar. .

- Myślisz, że się ciebie boję? - zaśmiał się. - Przyczepiłaś się do mnie jak rzep. Ile razy ci mówiłem, abyś dała mi spokój! I co? Oświadczam ci teraz ponownie: pary z nas nie będzie, wybij sobie to z głowy! Rozumiesz?

- Co ty widzisz w tej starej babie? - zapytała, starając się, aby jej głos był pełen pogardy i drwiny.

- Starej? Ona jest dojrzała, inteligentna i ma w sobie to coś, czego ty nigdy mieć nie będziesz. Do pięt jej nie dorastasz. Pasujesz do Franka, radzę ci, zakręć się wokół niego, póki czas, bo lata lecą - zadrwił i, nie czekając na jej odpowiedź, zawrócił w stronę stołów, zostawiając zaskoczoną Elizę.

Łykając łzy upokorzenia stała i patrzyła za odchodzącym mężczyzną.

- Będiesz tego żałował, świni, oj gorzko będziesz żałował - przyrzekła szeptem.

Zabawa trwała w najlepsze. Elka szalała na parkiecie, tańcząc na zmianę z Tomkiem, wójtem, a nawet Frankiem. Już nie żałowała, że przyszła na zabawę, dawno nie czuła się tak lekko. Nie czuła nawet wyrzutów sumienia, że nie minął rok od śmierci Marka, a ona bawi się wesoło. Malinowski nadskakiwał jej, jak tylko mógł. W tańcu kradł jej pocałunki. Elka niby się broniła, ale marzyła, aby te chwile nie minęły. Przy stole siedzieli już obok siebie, nikt oprócz Kotka nie zauważył, że Konopko zniknęła. Rozgoryczona, pojechała do domu, obmyślając zemstę.

- Idziemy do ciebie czy do mnie? - zapytał Tomek, kiedy niemal nad ranem wrócili do domu.

- Marzę tylko o tym, aby się wykąpać i położyć spać - odparła szczerze Elka.

- Uuuu... - Udał zawiedzionego. - Nie wiem, czy ci pozwolę.

- A co planujesz? - zapytała zalotnie, idąc w stronę łazienki.

- Co planuję? Ano planuję wziąć kąpiel z najpiękniejszą kobietą w Ruczaju...

- Hm... najpiękniejszą tylko w Ruczaju? - Udała oburzoną i klepnęła go karcąco w ramię.

- Cholera, zapomniałem już, jak uwodzi się kobiety. - Udał skruszonego, obejmując ją w pasie.

- Dobra, to zacznij od początku - zezwoliła dobrodusznie.

Doszli do łazienki, Tomek otworzył przed Elką drzwi, zapalił światło i weszli oboje do środka. Podszedł od razu do wanny i odkręcił kurek z ciepłą wodą.

- Który płyn, o najpiękniejsza na Podhalu? - zapytał, odwracając się w jej stronę.

Elżbieta stała przed nim naga, wstydliwie zakrywała piersi. Nadal tkwiła w niej wstydlivość. Mężczyzna widział jej dojrzałe ciało, z wszelkimi niedoskonałościami, w pełnym świetle.

Tomasz patrzył na nią, na jego twarzy dostrzegła prawdziwy zachwyty i... pożądanie. Nie mogła uwierzyć! Ona naprawdę mu się podoba jako kobieta!

Podszedł wolno, zdjął jej ręce z piersi i objął wzrokiem całe ciało. Elka zaczerwieniła się. Przytulił ją do siebie i zaczął delikatnie pieścić plecy i pośladki. Kobieta westchnęła, odchyliła głowę do tyłu.

- Jesteś taka piękna - szepnął lekko ochryplym głosem, po czym wślizgnął się językiem w jej rozchylone usta.

Delikatnie położył ją na dywaniku leżącym na podłodze, pośpiesznie ściągnął z siebie ubranie. Przywarł nagim ciałem do niej. Elka odrzuciła ręce za głowę. Teraz cały wstyd z niej uleciał, w tej chwili nie pamiętała o piersiach, które nie były pełne, o skórze na brzuchu, dziś czuła się naprawdę piękną i pożądaną.

Tomasz pieścił językiem jej szyję, piersi, brzuch. Kiedy zszedł niżej, poczuł, że kobieta napręża się, uśmiechnął się do siebie. Już wiedział, jaki jest klucz do jej ciała. Szum wody zagłuszał jej jęki, pragnęła, aby te chwile, które przeżywała, trwały wiecznie. Tomasz nie śpieszył się, dozował, niczym lek, każdą pieśczoć, aby na końcu zebrać i dać jej to, czego tak bardzo oczekiwała. Wbiła paznokcie w jego plecy, wszedł w nią, pochylił się nad jej twarzą. Jego język ponownie wypełnił jej usta, tłumiąc krzyk...

- Szczęście, że nie zatkałeś odpływu - zauważyła Elka, kiedy siedzieli już w wannie pełnej wody.

- Racja, zamiast więc się w erotycznych uniesieniach, śmigalibyśmy ze szmatami, ratując podłogę - zaśmiał się, pieszcząc jej piersi i polewając je wodą.

Elka siedziała przed nim, oparta plecami o jego tors, pragnęła, aby znowu zaczął ją pieścić. W dole brzucha czuła lekkie mrowienie. Delikatnie wzięła jego rękę i poprowadziła w tamtym kierunku.

-Jeszcze mało? - udał zdziwienie. - Zobaczysz w sypialni, co ci pokażę - zamruczał jej do ucha.

Jego dłoń wędrowała sama, wiedział, czego kobieta pragnie. Po kilku minutach poczuł, jak jej ciało drga, przeżywając kolejny orgazm. Był z siebie dumny, czuł się spełniony.

Kiedy zasypiali w łóżku, spleceni ciałami, Tomek był pewien, że podjął dobrą decyzję. Pragnął, aby Elżbieta była tą, z którą spędzi resztę życia.

Słońce było już wysoko, kiedy Wysocka obudziła się. Chciała delikatnie wysunąć się z objęć Tomasza, ale on przez sen tylko przytulił ją mocniej. Uśmiechnęła się i pocałowała go w policzek.

-Puść mnie, muszę do toalety - szepnęła niezbyt romantycznie.

- Aha, zew natury. Chyba ja też - stwierdził zaspanym głosem.

- Która godzina?

-Dochodzi dziesiąta - odpowiedziała, patrząc na wyświetlacz.

- W takim razie dzisiaj nie wychodzimy z łóżka -zadecydował.

- A jedzenie? - zapytała, wkładając na siebie szlafrok.

-E... faktycznie, to tylko idziemy do kuchni coś zjeść, a potem z powrotem do łóżka...

-I co będziemy robić? - zapytała, stając w progu.

- Kochać, moja droga, po prostu kochać się - odparł, siadając na łóżku i opierając się plecami o poduszki.

- Nie wiem, czy dasz radę, przechwalać się to każdy potrafi...

- Nie zdążyła dokończyć, musiała rejterować, Tomek zerwał się z łóżka i ruszył w jej stronę.

W kuchni zastała idealny porządek i kartkę na stole, na której Matylda napisała, że jedzie do kuzynki, a w lodówce mają jedzenie. Elka uśmiechnęła się do siebie. Ciotka jednak miała szósty zmysł, wiedziała kiedy i jak się zachować. Z ochotą wzięła się do śniadania. Kiedy w garnku gotowały się jajka, otworzyła szeroko okno. Spojrzała na zachmurzone niebo. Od strony góry powoli nasuwały się bure obłoki, które zbijały się w duże kłęby i sunęły złowrogo po niebie. Nad łąką, gdzie pasła się Malwinka, świeciło jeszcze słońce, ale i ono patrzyło z lekkim przestraczeniem na te chmury, które chciały je zasłonić. Elka marzyła, że dzisiejszy dzień spędzą z Tomkiem na opalaniu albo kąpieli w jeziorze, ale z planów mogło nic nie wyjść. Westchnęła. Przysunęła krzesło do okna, usiadła i położyła brodę na rękach wspartych na parapecie. Pomimo zapowiadającej się burzy, ptaki nadal śpiewały. Elka wiedziała już, że nawałnica może nadejść dopiero za godzinę lub dwie albo nawet i przejdzie bokiem, czego najbardziej pragnęła. Z drugiej zaś strony byłby kolejny pretekst do tego, aby wtulić się w męskie ramiona. Uśmiechnęła się do kosmatych myśli. Nagle w kieszeni szlafroka zadrgał telefon, z niechęcią oderwała się od swoich myśli i sięgnęła po niego. Na

wyświetlaczu ukazało się zdjęcie Majki, nacisnęła zieloną słuchawkę.

- Cześć, córciu - przywitała się.

- Hej, mamuś, co u ciebie?

- Wszystko dobrze, szykuję śniadanie - odparła, nawijając na palec kosmyk włosów.

- A jak wczorajsza zabawa?

- Fajnie było. Nie chciałam iść, ale teraz nie żałuję. Wybawiłam się, najadłam się pysznych potraw...

- A jak ci się podobała sukienka? - zapytała Majka.

- Już wiem, że maczałaś w tym palce - odparła matka ze śmiechem.

- No, bo jak to miał być pretekst, by się nie zabawić, to wybacz, kochana, musiałam dopomóc losowi. - Majka zawtórowała jej śmiechem. - A z kim się bawiłaś? - zapytała ostrożnie, ważąc niemal każde słowo.

- E... no... - Elka nie wiedziała, co odpowiedzieć.

- Mamo, wykrztuś w końcu, że bawiłaś się z Tomkiem, że było cudownie, a noc jeszcze lepsza!

- Majka! Nie pozwalaj sobie! - oburzyła się. - Z matką rozmawiasz, a nie z koleżanką w tym samym wieku!

- Nie bądź pruderyjna - odparła dziewczyna. - Obie jesteśmy dorosłe, my z Rafałem, mieszkając pod jednym dachem, samych książek nie czytamy...

- Majka! Na litość boską, co cię opętało? - Elka czuła się zażenowana.

- Nic mnie nie opętało, ale po co się zarzekasz jak żaba błota? Przyznaj się, że było cudownie. Ty, mamo,

po prostu masz jakieś niczym nieuzasadnione wyrzuty sumienia wobec ojca. Czas z tym skończyć.

Elka w pierwszym odruchu chciała powiedzieć dziewczynie coś na temat jej bezczelności, ale po chwili zrezygnowała. Dziewczyna miała rację.

- Ale od śmierci taty minęło zaledwie kilka miesięcy - zaczęła.

- Mamo, to nie ma znaczenia. Najważniejsze, żebyś pamiętała o nim i miała go w sercu. Nie możesz żyć jak zakonnica, to nie ma sensu - odparła dziewczyna.

- Może masz rację... - Elka westchnęła. - Ale nie jestem gotowa, aby o tym mówić z tobą tak otwarcie.

- Rozumiem, przepraszam za nachalność, ale powiedz, czy chociaż... - Ponowiła próby.

- Hm... było naprawdę cudownie. Znowu poczułam się szczęśliwa, poczułam się kobietą...

- To dobrze, mamo, tak trzymaj! - W głosie Majki brzmiała szczerza nuta.

- Córciu, muszę już kończyć, bo jajka mi popękały - odparła Elka.

- Jakie jajka?

- Śniadanie szykuję, mówiłam ci - wyjaśniła kobieta.

- Aha, dla siebie i... Tomka?

- Aleś uparta... Tak, dla nas obojga.

- To dobrej zabawy, mamo.

- No wiesz? Jaka może być zabawa w jedzeniu? - Elka udała zdziwienie.

- Dobra, dobra... To w takim razie miłego dnia, pa.

- Pa, córciu.

Elka schowała telefon do kieszeni, garnek z jajkami wstawiła do zlewu i naląła zimnej wody. Z szafki wzięła kubki i wsypała herbatę, nastawiła czajnik. Do kuchni wszedł Tomek ubrany

tylko w spodnie od dresu. Objął kobietę w pasie i pocałował w szyję.

- Co na śniadanko? - zapytał.

-Jajka, pomidory, chleb... - zaczęła wymieniać w odpowiedzi.

- Brzmi smakowicie, w dodatku przez ciebie przygotowane - schlebiał jej, ciągle trzymając w objęciach.

-Nie podlizuj się, to nic wymyślnego, ale dziękuję za uznanie

- odparła, uśmiechając się. - Puść mnie, bo inaczej nic nie zjemy - powiedziała, wyswabadzając się z jego ramion.

- Ale pod warunkiem, że po śniadaniu wracamy do łóżka - zastrzegł.

- Dobrze. Ale ty nienasycony jesteś. - Uderzyła go żartobliwie w ramię.

- To nakryję do stołu - zaproponował.

Po śniadaniu jednak nie wrócili do sypialni, postanowili wypić kawę na tarasie, wykorzystując słońce, które nie poddało się burym chmurom nadciągającym wolno znad gór.

- Wiesz... - zaczął mówić, ale dźwięk telefonu przerwał mu.

Spojrzał niechętnie na wyświetlacz, westchnął i nacisnął zieloną słuchawkę.

- Słucham. - Jego głos nie brzmiał zachęcająco ani miło. - Tak, wstałem, piję kawę... Nie mam ochoty nigdzie dzisiaj jechać. Chcę pobyć w domu... Tak, sam jestem. Nie, nie przyjeżdżaj, nie ma po co. Chcę pobyć sam. Eliza, daj spokój, ja niczego ci... Dobrze. Do widzenia. - Z ulgą schował telefon do kieszeni.

Elżbieta ze słów, które słyszała, mogła wnioskować, kto i po co dzwonił. Była zadowolona, że dla niej kłamał, chociaż w jej sercu zagościł pewien niepokój. Myślała już o tym wcześniej, a teraz wraz z zasłyszaną rozmową powróciła niepewność.

- Co robimy dzisiaj po obiedzie? Gdyby nie padało, to moglibyśmy pójść na Czarcią Polanę - zaproponował, starając się przybrać normalny wyraz twarzy.

Elka nie odpowiedziała mu, w tej chwili interesowało ją co innego. Zbierała się na odwagę, by o to zapytać.

- Co jest? - zauważył, że kobieta coś w sobie dusi. -No bo wczoraj rozmawialiśmy o Elizie. Mówiąc

szczerze, nie wszystko jest dla mnie jasne. Nie chcę wchodzić w związek, w którym nie do końca wszystko jest wyjaśnione. Nie gniewaj się... - Zaczerwieniła się, nie patrząc na mężczyznę.

- Czuję, że ten temat powróci - stwierdził. Wiedział, że chociaż nie jest to dla niego łatwy temat,

to jednak musi się przełamać, inaczej może Elkę stracić.

-Pytaj - nakazał, biorąc do ręki kubek z kawą i wygodniej rozsiadając się w wiklinowym fotelu.

-Opowiedz mi wszystko o waszym... związku... -wydukała.

- O jakim związku? Nie było żadnego związku.

- Ona inaczej uważa - zauważyła.

- A to już, kochanie, jej problem. Kiedy tu przyjechałem, pragnąłem tylko spokoju, chciałem uciec od wspomnień. Jednak to mi się nie udało. Wspomnienia przybyły wraz ze mną. Nawet tu, gdzie nigdy ani Małgosia, ani moje dzieci nie były, wszystko mi ich przypominało na każdym niemal kroku. Początkowo nawet zacząłem pić, dzięki Matyldzie nie stoczyłem się, pilnowała mnie, rozmawiała ze mną. Potem zaczęły pojawiać się kolejne lekarki. Każda chciała wyrwać mnie ze szponów depresji. No cóż, żadnej się nie udało. W międzyczasie poznałem Elizę, młodsza ode mnie, pełna życia,

przedsiębiorcza, wiedziała, czego chce. Imponowała mi, że sama podźwignęła się z biedy, utrzymywała rodzinę, nie poddała się losowi. Potrafiła ze mną gadać przez wiele godzin na wszystkie tematy, w tym nawet o Małgosi. Nie powiem, dobrze czułem się w jej towarzystwie. Ale nigdy nie patrzyłem na nią jak na kobietę, z którą chciałbym spędzić resztę życia, nie potrzebowałem tego. Nawet popęd płciowy jakby u mnie zanikł...

- Jednak ona uważa inaczej - zauważyła Elka. - Spałeś z nią?
- Z dwa, trzy razy i to wówczas, kiedy mnie spała. Na trzeźwo nie poszedłbym z nią do łóżka, dla mnie seks wiąże się z uczuciem - odparł i sięgnął po ciastko. - Niestety, o ile pamiętam te „razy”, to chyba nawet mi nie wyszło - uśmiechnął się kwaśno. - Ona natomiast nie skomentowała tego i byłem jej za to wdzięczny, w końcu to wstyd dla mężczyzny. Zacząłem nawet myśleć, że po prostu mój czas skończył się, że już do końca życia będę niczym eunuch lub żołnierz na sporej dawce bromu. Matylda uzmysłowiła mi, że przyczyna leży w moim sercu, nie w ciele. Zacząłem unikać Elizy, nie chciałem, by takie sytuacje się powtórzyły. Kilka razy dałem jej do zrozumienia, że nie będzie z nas pary, ale ona była głucha. Uważała, że z czasem wszystko się zmieni. Potem przyjechałaś ty - kobieta, podobnie jak ja, po przejściach.

Nie zwracałaś na mnie uwagi, a wręcz byłaś niezłą jędrą wobec mnie. - Oboje roześmiali się. - Pamiętasz pająki?

-Trudno zapomnieć, zwłaszcza że tak wspaniale krzyczałaś - zauważyła.

-Miałem ochotę cię udusić - przyznał. - Potem zacząłem na ciebie patrzeć inaczej. Nie było nocy, bym nie myślał o tobie. A któreś nocy miałem ten sen o Małgosi, w którym nakazała mi, abym zaczął normalnie żyć, bo to, że ciągle się zamartwiam, zatrzymuje ją i dzieci na ziemi. Wiem, że to tylko nocne majaki, ale były tak realne, wydawało mi się, że nawet czuję zapach jej perfum. Wtedy postanowiłem otrząsnąć się, o dziwo nie było to trudne. Doszedłem do wniosku, że to ja sam narzucałem sobie problemy, chciałem cierpieć i cierpiałem.

- Tak jak ja... Też zadreślałam się, tyle tylko że Marek zginął kilka miesięcy temu, a ja... ja szybko się pocieszyłam po nim. Może za szybko? - Zapatrzyła się przed siebie, nie czuła nawet, kiedy Tomasz położył dłoń na jej ramieniu.

- Tym nie powinnaś się zadreślać, po prostu jesteś ode mnie silniejsza psychicznie. Nie wiemy, co tak naprawdę czeka nas po drugiej stronie, więc dlaczego opierać się uczuciu, które na nas spadło? - zapytał retorycznie.

Elka nie odpowiedziała. Mężczyzna widział, jak mięśnie na jej twarzy drgają. Bał się, że znowu naszły ją wątpliwości, że wycofa się, a on tego nie chciał.

-Elu?

- Tak? - Spojrzała na niego.

- O czym myślisz? - zapytał ostrożnie.

- Dalej o niej. Widzisz, musisz też zrozumieć. Z tego co mówisz, wynika że opiekowała się tobą, była przy tobie. Ona uważa, że należysz do niej, więc według niej wchodzę na jej terytorium, zabieram to, co uważa za swoje. Boję się jej trochę, jest taka dziwna...

- Daj spokój. Jutro jej wszystko wyjaśnię, jasno i klarownie, nie pozostawiając żadnych złudzeń. Masz rację, powinienem był to zrobić wcześniej. Sam nie wiem, dlaczego tak się nie stało - westchnął. - Czy to już wszystko? Czy jeszcze coś cię trapi?

-Nie, chyba już nie. - Uśmiechnęła się. - Może zanim zaczniesz padać, wykapiemy się? - zaproponowała.

- Dobry pomysł. A co na obiad szykujesz? - zapytał, wstając z fotela.

-Ja? To Matylda wszystko naszykowała. Dzisiaj proponuję moją ulubioną potrawę: gołąbki. Co ty na to? -Wstała ze swojego miejsca.

- Odpowiada mi to - odparł, obejmując ją w pasie, kiedy skierowała się do pałacyku.

- Tylko założę kostium i wezmę ręcznik - poinformowała go, idąc do pokoju.

- Uważam, że wystarczy tylko ręcznik-zauważył. -Po co ci kostium? Chyba już się mnie nie wstydzisz? - zapytał, przyciągając ją do siebie, włożył dłoń pod szlafrok i zaczął pieścić piersi.

Elżbieta nie broniła się, uśmiechnęła się.

- Nie, nie wstydzę się, ale wiesz, że może ktoś tutaj przyjechać? I co wówczas?

- Niby tak - przytaknął. - Dobra, wezmę kąpielówkę, za dziesięć minut meldujemy się oboje na tarasie, zgoda? - zapytał, całując ją w usta.

- Dobrze - zgodziła się.

- Jak minął weekend? - zapytała Matylda, stawiając przed Elką kubek z kawą i talerz z kanapkami.

- Nie narzekam, ale chyba opowiadać nie muszę, bo znając twoje nadprzyrodzone zdolności, sądzę, że wiesz, co się działo - zaczerwieniła się lekko.

-Nie szkoda ci zmarnowanego czasu? - zapytała, siadając przy stole naprzeciwko niej.

- Nie, wiesz, to ma swoje plusy. Bardziej doceniam to, co jest między mną a Tomkiem. Dziwne, że rozumiemy się bez słów. - Pokiwała głową.

-Jesteście pokrewnymi duszami, macie taką samą aurę - odparła ciotka, sięgając po dzbanek z kawą i nalewając z niego ciemny płyn do swojego kubka.

- Jeszcze trudno mi się przyzwyczaić do nowej sytuacji, jest to takie ekscytujące i zarazem przerażające. Boję się, że to sen, z którego się zaraz obudzę.

- Mogę cię uszczypnąć - zaproponowała Matylda.

-Nie, dziękuję. - Elka roześmiała się w odpowiedzi. - Dobra, czas na mnie, muszę jechać do pracy. Tomek pojechał skoro świt, tyle wezwań miał. Cały weekend mieliśmy wyciszone telefony, uzbierało mu się tego trochę - westchnęła, wstając z krzesła.

-Aha, wracając nie zapomnij kupić cukier i mleko - poinformowała ją ciotka.

- Dobrze.

W przychodni na szczęście nie było w tym dniu zbyt wielu pacjentów, dwóch turystów musiała skierować do szpitala, bo mieli skręcone kostki, ale diagnoza wymagała potwierdzenia ortopedy.

Po pracy z ciężkim sercem poszła do sklepu. Miała nadzieję, że Elizy nie będzie. Wiedziała, że to, że jest z Tomkiem, jest na razie tajemnicą dla wszystkich, i chciała, by tak pozostało jak

najdłużej. Istotnie, w sklepie nie było właścicielki, szybko kupiła więc potrzebne produkty i wróciła do domu.

W pałacyku czekała ją niespodzianka. Nieoczekiwanie przyjechała Majka. Matka ucieszyła się na jej widok, ale wyczuła, że z córką jest coś nie tak. Po obiedzie zaproponowała jej spacer nad jeziorko.

- Co się dzieje, kochanie? - zapytała, patrząc na dziewczynę z niepokojem.

- Nic, mamuś, nic - odparła dziewczyna nieszczerze.

- Dziecko, znam cię i czuję, że coś jest nie tak - zauważyła Elżbieta.

- Rafał mnie zdradza - odparła Majka i ukryła twarz w dłoniach.

Elżbieta z wrażenia zatrzymała się.

- Co ty wygadujesz? Rafał cię zdradza? To niemożliwe, dopiero się zaręczyliście! - Elżbieta z prędkością katapulty pytała i sama sobie odpowiadała.

- Od jakiegoś miesiąca wraca do domu w nocy. Wiem, że w kancelarii jego ojciec zatrudnił nową sekretarkę, i to właśnie miesiąc temu, bo Beata już urodziła i poszła na macierzyński. Rafał, kiedy wraca, jest tak zmęczony, że nawet... nawet nie ma ochoty na seks. - Usiadła nad brzegiem jeziora i ukryła twarz w dłoniach, łzy leciały jej przez palce.

- Pytałaś go, o co chodzi? - Elżbieta usiadła obok i objęła ją.

- Nie miałam odwagi, ale dzwoniłam kilka razy do kancelarii wieczorem, zawsze ta kobieta odbierała

i z taką... fałszywą uprzejmością dawała go do telefonu.

- Rafał nie dziwił się, że dzwonisz na telefon stacjonarny, a nie na komórkę? - zapytała matka.

- Nie, miał taki nieprzyjemny głos i zawsze mówił, że zaraz wraca. Mamo, nie wiem, co robić - załkała dziewczyna.

- Spokojnie, trzeba to przemyśleć. Być może jest racjonalne wytłumaczenie tej sytuacji. Próbowalaś zapytać go wprost?

- Nie miałam odwagi.

- To błąd - stwierdziła Elżbieta.

- Rafał jest bardzo przystojny, na ulicy kobiety oglądają się za nim, więc w końcu jakaś go zdobyła. - Ciałem Majki ponownie wstrząsnął płacz.

- Na pewno jest jakieś racjonalne wytłumaczenie tego wszystkiego. - Elka pogłaskała dziewczynę po głowie i przytuliła. - Postaraj się nie myśleć teraz o tym, chodź, pójdziemy do pałacyku, zrobię nam kawy i porozmawiamy spokojnie - zaproponowała.

Wstały i ruszyły w kierunku zabudowań.

Siedząc na tarasie, Elka starała się rozmawiać z córką na różne tematy, by chociaż na chwilę oderwać jej myśli od narzeczonego, ale bezskutecznie. Dziewczyna nie chciała nawet jeść kolacji i wcześniej poszła spać. Elka została na tarasie. Martwiło ją, że Majka tak cierpi. Kilka razy chciała zadzwonić do Rafała i sama go zapytać o tę sytuację, ale i jej zabrakło odwagi. Nie miała prawa wtrącać się w życie tych dwojga. Byli dorośli, musieli sami rozwiązywać swoje problemy. Prawdziwe życie to nie tylko chwile szczęścia, ale też kłopoty i troski dnia codziennego.

Elżbieta nie mogła doczekać się powrotu Tomka. Kiedy wrócił, podała mu kolację i opowiedziała, co się stało.

- A nie pomyślała żadna z was, że faktycznie chłopak ma sporo pracy? Ma przejąć kancelarię po ojcu, więc stara się

przykładać do obowiązków - zauważył, jedząc naleśniki. -
Uwielbiam naleśniki z dżemem - stwierdził, głośno mlaskając.

- To co mam zrobić? Jak pomóc Majce? - zapytała.

- Nie wtrącaj się po prostu, pocieszaj i nakłoń ją do szczerzej rozmowy z Rafałem - odparł spokojnie.

- Ale to moje dziecko, ono cierpi! - niemal krzyknęła.

- Wiem, ale to, że nie mam już dzieci, nie znaczy, że cię nie rozumiem. - Oczy na chwilę mu się zaszkliły. - I nawet nie wiesz, jak chwilami zazdroszczę ci tych problemów.

- Przepraszam. - Elka pogładziła jego dłoń leżącą na stole. - Nie chciałam, żebyś to tak odebrał...

- Elu, no co ty? Nawet tak nie pomyślałem! - Wstał z fotela i podszedł do niej. Oparł dłonie na jej ramionach i zaczął je lekko masować. - Zobaczysz, wszystko się wyjaśni, będzie dobrze - zapewniał.

- Mam nadzieję - odparła. - Już po dwudziestej drugiej, czas spać - stwierdziła, patrząc na wyświetlacz telefonu, nim go schowała do kieszeni bluzy.

W tym momencie aparat rozdzwonił się. Spojrzała i szybko nacisnęła zieloną słuchawkę.

-Halo?

- Dobry wieczór, pani Elżbieto, to ja, Rafał - odezwał się zdenerwowany głos po drugiej stronie.

- Co się stało? - Elżbieta starała się przybrać obojętny ton.

- Chodzi o Majkę... Wróciłem z pracy, a jej nie ma i walizki też, tylko w kuchni była kartka, że musi wszystko przemyśleć, bo nie może żyć w kłamstwie i strachu. Ja naprawdę nie wiem, o co chodzi. Od godziny do niej dzwonię, ale jest poza zasięgiem. Pomyślałem, że pojechała do pani!

- Istotnie, jest u mnie, ale już dawno śpi. W sumie dobrze, że dzwonisz, bo ja nie miałam odwagi odezwać się do ciebie. Nie chciałam się wtrącać... Jednak to moja córka i widzę, jak cierpi.

Tomek nachylił się do Elżbiety i pocałował ją w szyję, po czym szepnął do ucha:

- Idę do sypialni, jak skończysz, przyjdź zaraz. Będę czekał.

Elka w odpowiedzi kiwnęła głową i powróciła do rozmowy.

- Rafał, powiem wprost. Majka uważa, że ją zdradzasz.

-Ja? Zdradzam ją? Niby z kim i kiedy? - Elka wyczuła w głosie chłopaka szczere zaskoczenie.

-A ta nowa sekretarka? Twoje późne powroty? -zaatakowała.

- Matko jedyna! Pani Elu! Majka marzy o wycieczce takiej z wyższej półki do Szwajcarii. Ja... ja po prostu biorę dodatkowe zlecenia od ojca, by dorobić. Tato mógł to zlecić innym, ale wówczas nie miałbym kasy...

- Takie buty... To czemu jej nie powiedziałaś? - zapytała głupio.

- Ja nie wiedziałem, że ona mnie podejrzewa o zdradę, a poza tym co by to była za niespodzianka?

- Faktycznie. Ale z drugiej strony, nie widziałeś, że jest oswiała, bez humoru? - dopytywała.

- Pani Elu, ja do pracy na szóstą wychodzę, a wracam po dwudziestej drugiej, nie wiem, jak się nazywam...

- No, już dobrze - uspokajała.

- To co ja mam teraz zrobić? - zapytał zbolalym głosem.

- Nie wiesz? Typowy facet z ciebie... Kup kwiaty, przyjedź i przeproś ją - doradziła.

- Ale za co mam przeprosić? - zapytał szczerze zdziwiony.

- Jak to za co? Za to, że cię podejrzewała - odparła, próbując stłumić śmiech.

- E... nie rozumiem.

- I nie musisz, zrób, jak mówię.

- Dobrze, to z samego rana będę. Albo zaraz wyjadę...

- Spokojnie. Wyśpij się.

- Ale ja bez niej nie zasnę - pożalił się.

- Mała rozłąka dobrze wam robi. Dobranoc - zakończyła rozmowę.

Kiedy weszła do pokoju, zobaczyła zapalone świece rozstawione na parapetach, stole i kominku. Tomasz leżał w łóżku w wyczekującej pozie.

- Myślałem, że się nie doczekam - powitał ją z lekkim wyrzutem.

- Musiałam porozmawiać z Rafałem, wytłumaczyć mu, co ma zrobić. Potem wykapałam się...

- I o mały włos bym zasnął - przerwał jej z wyrzutem.

- Nie dziwię się, zważywszy, ile wypieś dzisiaj. Zataczałeś się, kiedy szedłeś - zauważyła ze śmiechem.

- A jak miałem pozbyć się... - zawahał się chwilę, szukając odpowiedniego słowa.

- No, kogo? Kochanki, przyjaciółki? - droczyła się z nim, podchodząc do łóżka.

- Elu, proszę... Przecież ci tłumaczyłem.

- Przepraszam. - Pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło. - Nie wiem, co mnie naszło.

- Ale ja wiem! Jesteś o mnie zazdrosna! - wykrzyknął ze szczerą radością w głosie.

- Akurat. Chciałbyś! - obruszyła się, ale nie zabrała dłoni, którą przytrzymał.

- To mi schlebia. Ale uwierz mi, Eliza to wartościowa kobieta, chociaż... jak to powiedzieć... nie dla mnie. Ja chcę kobiety takiej jak ty.

- O... tego nie wiedziałam. Czy jestem podobna do Małgosi? - zapytała, patrząc uważnie na jego twarz, chcąc zauważyć, czy pojawi się jakiś grymas niezadowolenia.

- Nie, jesteś inna niż ona - odparł spokojnie. - Ona była uległa, we wszystkim się ze mną zgadzała. Nie przeszkadzało mi to, naprawdę ją kochałem i noszę jej obraz nadal w sercu...

- Wiem. - Usiadła na brzegu łóżka i zaczęła głaskać go po nagim ramieniu.

- Natomiast Eliza jest zaborcza, inteligentna i mściwa. Nie lubię tych cech razem wziętych.

- A tak naprawdę?

- Naprawdę? Sam nie wiem, po prostu nic mnie w niej nie pociąga.

- To dlaczego byłeś z nią? - drążyła.

Tomasz ciężko westchnął, nie miał ochoty odpowiadać, ale nie chciał stracić Elżbiety. Jeżeli nie odpowie, to ona może myśleć, że coś ukrywa, że bawi się nią... Nabrał głęboko powietrza.

- Elu, ja nie byłem z nią. Kilka razy zjedliśmy razem kolację, byliśmy w teatrze, w kinie. Traktowałem ją bardziej jak kumpla niż partnerkę.

- Ale spałeś z nią. - Nie dawała za wygraną.

- Tak, ale byłem pijany, nawet nie pamiętałem, co było. Ona mnie tylko rano pocieszała, że nie wyszło, bo zbyt pijany byłem. - Wzruszył ramionami. - Coś jeszcze chcesz wiedzieć na jej temat?

- Nie... - zawahała się.

- A jednak - zauważył jej niepewność.

- Mam wrażenie, że mnie nienawidzi. Tak dziwnie na mnie patrzy...

- Kochanie, sprzątnęłaś jej najlepszą partię w Ruczaju. - Roześmiał się, szybkim ruchem ręki objął ją w pasie i położył na łóżku.

- Skromny to ty jesteś! - zawtórowała mu i objęła za szyję. - Chodź do mnie, ty najlepsza partio!

* * *

Wstali około jedenastej. W zasadzie zbudziły ich okrzyki i piski Majki. Elżbieta, po wyczerpującym weekendzie i nocy spędzonej w ramionach Tomasza, ledwo zwlokła się z łóżka i podeszła do okna. Jej oczom ukazał się miły sercu widok. Majka siedziała na krześle, a u jej nóg klęczał Rafał z bukietem kwiatów. Zawzięcie coś jej tłumaczył, a ona gładziła go po włosach. Na jej drobnej twarzy zakwitł uśmiech. Kiedy nachyliła się, aby pocałować chłopaka, Elżbieta odeszła od okna.

- Co to za krzyki były? - zapytał zaspany Tomasz, przecierając twarz dłonią.

- Rafał przyjechał, a Majka przyjęła jego usprawiedliwienia - odparła, kładąc się obok mężczyzny.

-Dobre zakończenie. Co dziś robimy? - zapytał, wtulając się w jej nagie piersi. - Ja bym proponował pozostanie w łóżku cały dzień, z małymi przerwami na posiłki, które przygotowują twoje rączki...

-Żebyś się nie zdziwił. Równouprawnienie ponoć jest. Ja robię śniadanie, obiad przygotowujemy razem, zaś ty kolację - zaproponowała, gładząc go po torsie.

-Ech, wy, kobiety. Dobra, niech będzie, ale pod warunkiem, że w łóżku ja rządzę i robię z tobą, co tylko zechcę - odparł z szelmowskim uśmiechem.

- O nie, mój kochany, znając ciebie, nie mogę pójść na ten układ. Ty masz zbyt szalone pomysły - odpowiedziała, udając nadąsaną.

- Który w nocy był zbyt szalony? - zapytał, pieszcząc jej piersi.

- Ten z lodami, truskawkami i czekoladą - odparła szybko.

- Hm... ale jakie pyszne - zauważył.

- Fakt.

Kiedy Tomasz zaczął pieścić jej piersi, usłyszeli głośny tupot na schodach. Odruchowo nakryli się kołdrą i to w ostatniej chwili, bo do pokoju, bez pukania, wpadła Majka z bukietem kwiatów w rękach, a za nią Rafał.

- Majka! Trzeba pukać! - krzyknęła Elżbieta, zakrywając się szczelnie kołdrą i tym samym ściągając ją z nagiego Tomka, który zaczął ciągnąć okrycie w swoją stronę.

-Przepraszam, ale przecież wiem, że w chińczyka to wy nie gracie - roześmiała się dziewczyna, zanurzając twarz w kwiatach. - Zobacz, jakie piękne! - Pokazała matce kwiaty.

-Istotnie, a teraz proszę wyjdźcie stąd - syknęła Wysocka przez zaciśnięte zęby.

- Dobra, dobra, nie spinaj się tak. Rafał wszystko mi wyjaśnił! Za tydzień lecimy do Szwajcarii! - Podbiegła do matki, chcąc ją uściskać.

-Bardzo się cieszę - odparła kobieta. - A teraz wyjdźcie, porozmawiamy przy śniadaniu.

-Nie, my już jedziemy. Rafał zaprosił mnie na śniadanie na zakopiance, poza tym ma dziś cały dzień zaplanowany - odparła Majka z radością w głosie. - To pa, jedziemy, wy też bawcie się dobrze. Zrobiłam sałatkę, jest w lodówce.

-Do widzenia. - Rafał stał w drzwiach i miał na ustach uśmiech, który świadczył o jego zażenowaniu.

Kiedy wyszli z pokoju, Elka zaklęła pod nosem.

- Co się denerwujesz, ciesz się, że masz tak dojrzałą córkę - pocieszył ją Tomasz.

- Ale był także Rafał - zauważyła z przekąsem. -Daj spokój, chodź do mnie. Wymyśliłem nową zabawę, spodoba ci się - zachęcał.

- Lepiej nie, znowu mogą tu wpaść - zauważyła.

- Raczej nie. Nie słyszysz, że odjeżdżają?

Elka wsłuchiwała się w pracę silnika samochodu za oknem.

- Ale szybcy - zauważyła.

- Ja taki nie będę - obiecał Tomek, pochylając się nad nią i ściągając z niej kołdrę.

Elka odgrzewała w rondelku zrazy w sosie grzybowym. Tomek skończył przygotowywać surówkę. Stał w oknie i oparł się dłońmi o parapet.

- Znowu się chmurzy - zauważył.

-Fakt - odparł Elżbieta, delikatnie przewracając w rondelku mięso. - Parno się zrobiło.

- Wieczorem albo w nocy będzie burza.

- Nie strasz mnie, wiesz, że się boję. - Pogroziła mu placem.

Tomasz podszedł do niej i objął ją. -Lubię, kiedy się boisz. Wówczas wtulasz się we mnie i mogę robić z tobą, co tylko zechcę.

- Hm... nie bądź taki pewien, bo jakiś pajaczek może się przywlec do naszego pokoju, uciekając przed burzą.

- Ale z ciebie wredota! - krzyknął z udawanym oburzeniem.

- No to uważaj, bo ja się nie dam okiełznać - podkreśliła.

-I za to cię... Kocham.

- Co powiedziałaś? - Odwróciła się i spojrzała mu w oczy. - Powtórz.

- Kocham cię, Kocham cię jak wariat. - Pochylił się nad jej twarzą, rozchyliła usta, zaczęła ocierać się o jego biodra.

Tomasz szybko rozwiązał pasek jej szlafroka i rozchylił jego poły. Przywarła do niego ciałem. Obsypał ją pocałunkami, zaczynając od szyi, a kończąc na łonie.

- Chodź do pokoju obok, chodź - kusił. Wziął ją szybko na rękę.

- Tobie zawsze mało, o mały włos, a zrazy spaliłyby się na węgiel - zauważyła Elka ze śmiechem.

Siedzieli na tarasie, jedząc spóźniony obiad. -To zjedlibyśmy ziemniaki, popijając maślanką. -Wzruszył ramionami.

- Niczego sobie danie - przytaknęła. - Co robimy potem?

- Może pójdziemy na spacer do lasu? Ale tak patrzę na te chmury, to nie zapowiada się najlepiej - stwierdził, zadzierając głowę i patrząc w niebo.

- To może poleżymy na leżakach nad jeziorkiem? Blisko domu, w razie ulewy zdążymy wrócić - zaproponowała.

- Świetny pomysł! - ucieszył się. -I wykąpiemy się, ale nago!

- Chyba zwariowałeś. A jak ktoś przyjedzie? - zauważyła.

- Niby kto? Majka na pewno nie, Matylda wraca chyba jutro... Po festynie wszyscy nadal skacowani, więc będą odsypiać - stwierdził.

- Dobrze, ale bez żadnych obmacywanek i podtapiania! - zastrzegła.

- Ty to jesteś. Ale dobrze, tylko zastrzegam: podtapiania nie, ale że nie będę cię dotykał, obiecać nie mogę. - Parsknął śmiechem, zaś Elżbieta pogroziła mu palcem.

Kiedy po obiedzie pili kawę, usłyszeli, że na most wjechał samochód.

- No i wykrakałaś - stwierdził Tomasz z lekkim sarkazmem w głosie.

Elżbieta wzruszyła ramionami, spoglądając w kierunku mostu. Zbladła nagle, dostrzegając, że to auto Elizy.

- Cholera jasna, tej tu brakowało - syknął Tomek i przytrzymał Elkę, która odruchowo chciała uciec do wnętrza pałacyku.

-Nie chcę jej widzieć ani słuchać uwag, którymi mnie obsypie - stwierdziła.

- Czego się boisz? Jestem przy tobie!

W jej oczach zauważył strach. Objął ją demonstracyjnie, chciała się wyswobodzić, ale jego uścisk był mocny i pewny. Poczula się bezpiecznie.

Eliza zaparkowała przed tarasem. Wysiadła z samochodu ostentacyjnie. Elka z zazdrością patrzyła na jej piękną, obcisłą, czerwoną sukienkę. Na twarzy nie było widać zmęczenia. Spojrzała kątem oka na Tomka. Co on w niej, Elżbiecie, widzi? Jest starsza od Elizy, jej ciało nie jest już tak sprężyste jak kiedyś, ma zmarszczki, a jej biust... Ech...

- Dzień dobry, widzę, że już państwo wstaliście? - powiedziała Eliza, wchodząc po schodkach na taras. -Tomaszu, chyba się zapominasz - stwierdziła, podchodząc do mężczyzny i całując go w policzek, nim zdążył się uchylić.

Czuł, jak ciało Elżbiety sztywnieje. Zdawał sobie sprawę, że jest w bardzo niekomfortowej sytuacji, chciał ją przytulić, ale czuł wyraźny opór.

- Cześć, jak się spało? - zapytał Elizę, która nieproszona usiadła na krześle obok.

- Dobrze, ale wolałabym, żebyś był przy mnie - odparła zjadliwym tonem.

-Nie rozumiem? - spojrzał na nią, zdejmując rękę z ramienia Elżbiety.

- Czego nie rozumiesz? Za dużo wypiliśmy wczoraj i z naszej upojonej nocy nic nie wyszło - stwierdziła pewnym głosem, sięgając po jego filiżankę z kawą.

- Niczego ci nie obiecywałem, a już na pewno tego, że razem spędzimy resztę nocy - odparł.

-Kochanie, chyba żartujesz? Jesteśmy ze sobą już tyle lat. Niejedno razem przeszliśmy - podkreśliła, patrząc wyzywająco na Elkę, która zmieszana patrzyła w drugą stronę.

-Eliza, nie ma żadnych „nas”, zrozum to wreszcie - odparł z lekką irytacją. - Poza tym jestem związany z Elżbietą, kocham ją, a ona mnie, rozumiesz?

Eliza pobladła nagle i spojrzała na Wysocką, mrużąc oczy. Gwałtownie wstała, tak że krzesło omal nie upadło.

-Co takiego? Ty chyba śnisz?! Myślisz, że można mnie wykorzystać i po prostu tak zostawić jak zużytą ścierkę?

- A co mam ci powiedzieć? Nic do ciebie nigdy nie czułem, niczego nie obiecywałem...

-Mylisz się! - Eliza obróciła się ku schodom, ale schodząc, odwróciła się. - A ty! - wskazała palcem na Elkę. - Słono za to zapłacisz, dziwko!

Oboje patrzyli osłupieni za odjeżdżającym samochodem. Elka oddychała gwałtownie. Tomasz spojrzał na nią zaniepokojony.

- Chyba nie przejęłaś się jej słowami? - Przytulił ją do siebie.

- Niby nie, ale ... - odparła, opierając głowę na jego ramieniu.

Wrzesień powitał Ruczaj tęczą barw. Elka, wstając do pracy, nie mogła się napatrzeć na drzewa wokół pałacyku. Czerwienie, żółcie przeplatane były brązem i zielenią. Trawa wciąż kusila zieloną barwą, chociaż gdzieś dało się zauważyć zeschnięte źdźbła. Kilka razy natknęła się, czyszcząc na łące Malwinę, najeżę. Szybciutko biegły, na ile pozwalały im ich małe łapki, w sobie znanych kierunkach, fukając na wszystkich wokół. Czyszcząc zaś niewielką plażę przy jezioru, zauważyła dwa klucze ptaków, które leciały na południe.

- No tak, to już jesień - mruknęła do siebie.

Z jednej strony cieszyła się, bo oznaczało to mniej turystów, a więc i mniej pracy w przychodni. Z drugiej zaś czuła w sobie jakąś nutkę melancholii za odchodzącymi letnimi dniami. Zdawała sobie sprawę, że w Ruczaju każda pora roku jest piękna, ale... No właśnie, pozostawało to nieokreślone „ale”.

Tomasz także teraz miał mniej pracy, z czego Ela cieszyła się bardzo. Cały Ruczaj huczał od plotek, którymi tych dwoje nie przejmowało się wcale. Byli razem szczęśliwi. Każdą wolną chwilę starali się spędzać wspólnie. Dyskutowali na tematy medyczne, kłócili się o każde zarządzenie wydane w sprawie leczenia ludzi lub zwierząt. Dwukrotnie Elżbieta, nie mogąc przeforsować swoich racji, uciekła się do wstrętnego szantażu za pomocą pajaków.

Najbardziej obawiała się Elizy. Tu czekała ją niespodzianka, co prawda niezbyt miła, ale jednak. Konopko omijała ich z daleka, na samym początku wysyłała SMS-y z pogrózkami do Tomka, ale spotkał ją na mieście i powiedział, co myśli o takim zachowaniu. Dała im więc spokój. Elżbieta miała jednak ciągle uczucie wewnętrznego niepokoju. Coś w niej samej ostrzegało ją przed niebezpieczeństwem. Tomek na jej obawy machał lekceważąco ręką. Jedyne Matylda podchodziła do nich poważnie. Podobnie uważała Marcjanna. Czas jednak mijał, a

nic złego się nie zdarzyło. Elka zaczęła śmiać się sama z siebie i ze swoich bezpodstawnych obaw.

W pewien październikowy poranek Wysocka obudziła się z bólem głowy i mdłościami. Coroczna migrena dała o sobie znać. Jednak tym razem była bardziej uciążliwa. Tomek wraz z Matyldą doradzali jej zgodnie, aby częściej wychodziła na świeże powietrze. Istotnie, o ile pozwalał jej czas, chodziła na spacer. Był to dla niej nie tylko odpoczynek, ale także niezła frajda. Za każdym razem odkrywała coś nowego: polanę, na której codziennie o stałej porze gościło stadko saren, zająca, który zamieszkał w norce pod rozłożystym dębem, rodzinę jeży, która wymościła sobie zimowe legowisko pod bukiem. Dwa razy słyszała przenikliwie wycie wilka, uciekała wówczas szybko do domu.

Była tak blada, że Tomek wraz z Matyldą od razu zapakowali ją do łóżka, zakazując wychodzenia z niego przez weekend, czym ją unieszczęśliwili. Leżąc i przeglądając internet w tablecie, przypomniała sobie o planowanej wycieczce na Kozią Przełęcz. Wspomniała o tym Tomkowi, ale jak zwykle zlekceważył to, mówiąc, że dopiero wiosną będą mogli się tam wybrać. Elżbieta tylko zacisnęła zęby i postanowiła, że przy najbliższej okazji sama wybierze się w upatrzone miejsce. Nawet nie wiedziała, że ta chwila tak szybko nastąpi.

W drugi październikowy weekend Tomasz wyjeżdżał do Krakowa na sympozjum weterynaryjne, zaś Matylda

do chorej koleżanki, której obiecała pomóc przy wnukach. W piątek po pracy Elżbieta zastała ciotkę pośpiesznie gotującą, smażącą i piekącą w kuchni.

- Matyldo, spodziewamy się gości? - zapytała, zdziwiona ilością szykowanego jedzenia.

-Nie, ale przecież wrócę dopiero w poniedziałek, więc coś musisz jeść, zwłaszcza że ostatnio wyglądasz na przemęczoną. Robiłaś powtórne badania?

- Tak - odparła, siadając przy stole i stawiając reklamówkę z zakupami obok krzesła. - Są już lepsze po tym, jak zaaplikowałam sobie odpowiednie leki.

-Upiekłam kurczaka z żurawiną - powiedziała Matylda, podtykając jej pod nos brytfankę z dorodnym ptaszyskiem.

Elżbieta nagle pobladła i z trudem przełknęła ślinę.

- Zabierz to, bo zwymiotuję. Kiedy cierpię na migrenę, nie mogę jeść smażonego - odparła, sięgając po butelkę z wodą mineralną.

- Dziwne, zawsze za nim przepadasz - stwierdziła ciotka, bacznie przyglądając się Wysockiej.

- Ale jest jesień, a w tym okresie mam częste migreny i nie znoszę zapachu smażonego mięsa - wytłumaczyła.

- Niech ci będzie - Matylda poddała się. - A co masz w tej reklamówce?

- Kosmetyki - odparła Wysocka. - Muszę je zanieść do pokoju.

Elżbieta wstała z krzesła i poszła w kierunku swojej sypialni. Kiedy weszła do pokoju, odetchnęła z ulgą. Po pracy zaszła do sklepu Elizy, na szczęście jej nie było, za ladą stała kolejna nowa ekspedientka. Wysocka kupiła kilka napojów izotonicznych. Podczas wycieczki, którą planowała następnego dnia, były dla niej nieodzowne.

Chwilę porozmawiała z obsługującą ją dziewczyną, opowiadając o planowanej marszrucie.

- Ja bym nie szła o tej porze - stwierdziła sprzedawczyni.
- Dlaczego? Pogoda jest wymarzona - stwierdziła Elżbieta, pakując napoje do reklamówki.

- Ale na przełęczy bywa różnie. Kiedy u nas świeci słońce, tam pada deszcz i jest zimno, poza tym bez przewodnika nikt tam się nie wybiera - odparła, nabijając na kasę kody z butelek.

- Nie zamierzam przejść jej całej, chcę tylko spojrzeć na nią - wyjaśniła Wysocka, płacąc za zakupy i wychodząc ze sklepu.

Schowała torbę do szafy z ubraniami, żeby przypadkiem Tomek jej nie znalazł. Wszystko dokładnie zaplanowała, przynajmniej tak uważała. Czuła jednak wewnętrzny niepokój, jakby coś ją ostrzegało przed wycieczką.

W piątkowy wieczór Tomek wraz z Matyldą pojechali do Krakowa. Przed odjazdem dali Elżbiecie mnóstwo rad, nakazów i zakazów. Tylko kiwała głową na znak zgody.

Kiedy znalazła się sama w pokoju, wyciągnęła z szafy plecak, do którego zaczęła pakować potrzebne w czasie wycieczki rzeczy. W sobotę, nim jeszcze słońce rozgościło się w dolinie, wyruszyła w drogę. W rękach trzymała mapę, zaznaczyła odpowiednie punkty, które miała po drodze minąć.

Na początku droga prowadziła przez las. Elżbieta szła wolno, rozglądając się. Teraz drzewa w jesiennej szacie zachwycaly ją, podziwiała grona czerwonej jarzębiny, wokół której fruwały ptaki. Wśród trawy rzucały się

w oczy czerwone kapelusze muchomorów, nakrapiane białymi centkami. Elka wdychała głęboko rześkie powietrze. Za lasem droga zaczęła się piąć w górę. Idąc, zauważyła, że powoli ścieżka z ubitej ziemi przechodzi w skalną drogę. Ciężko i niewygodnie było po niej iść. Utrudniało to też podziwianie widoków, które roztaczały się dookoła. Żeby dobrze się rozejrzeć, musiała przystawać. Dopiero kiedy zobaczyła, że wchodzi na czarny szlak, obleciał ją strach.

Teraz, widząc ścieżkę przed sobą, zrozumiała, że nie na darmo Tomek odwoził ją od samotnej wyprawy. Po prawej stronie ciągnęła się skalna ściana, zaś po lewej była przepaść. Droga miała dwa metry szerokości, niby dużo, ale Elżbiecie wydawała się bardzo wąska. Ciarki przeszły jej po plecach. Naszła ją nawet myśl, by zawrócić, póki jest bezpiecznie. Jednak tak bardzo chciała zobaczyć przełęcz i dolinę. Chwilę zastanawiała się, co ma zrobić. Ciekawość jednak wzięła górę nad rozsądkiem. Ruszyła przed siebie.

Szła powoli, stawiając kolejne kroki na drodze usłanej kamieniami. Prawą ręką przytrzymywała się skalnej ścianie, starając się nie patrzeć w rozciągającą się z lewej strony przepaść. Nagle dojrzała przed sobą półmetrową rozpadlinę. Wzdrygnęła się. W zasadzie wystarczyło zrobić tylko jeden niewielki krok i byłaby już pod drugiej stronie, ale... spojrzała w dół. Jednak nic prócz ciemności nie zobaczyła w wyrwie.

- Nie ma co marudzić, wystarczy tylko jeden mały krok - mruzczała pod nosem, przymierzając się do przejścia.

- Co, strach cię obleciał? - usłyszała za sobą znajomy głos i odwróciła się.

Przed nią stała Eliza ubrana w ortalionowy dres. Elka poczuła się nieswojo. Twarz Konopko nie wyrażała przyjaznych zamiarów.

- Co tutaj robisz? - zapytała Wysocka, starając się, by jej głos nie zdradzał strachu.

- Spaceruję, nie widać?
- To idź, proszę. - Elka przesunęła się pod skalną ścianę, przywierając do niej. - No, przechodź - ponagliła.
- Przejdę, jak skończę z tobą.
- Nie rozumiem.
- Biedactwo, jaka ty niedomyślna jesteś. Niby taka przygłupia, ale umiałaś się zakręcić koło Tomka, co? Kto ci dał do niego prawo? On należał i należy tylko do mnie! - Konopko zbliżyła się do Elżbiety. - I co tak się kurczowo trzymasz tej ściany? Strach cię obleciał?
- Czego ty chcesz? - zapytała Elka, w jej oczach czaił się strach.

Zdawała sobie sprawę, że Konopko jest od niej sprawniejsza fizycznie i zapewne też silniejsza, do tego kobieta była rozwścieczona.

- Czego chcę? - Eliza powtórzyła pytanie. - Tego, abyś zniknęła raz na zawsze. Powiedziałam, że pożałujesz tego, że go mi zabrałaś. Teraz nadszedł czas porachunków.

- Jakich porachunków? Odbiło ci?
- Mnie nie odbiło, to raczej tobie, że mimo moich ostrzeżeń poderwałaś go - odparła Eliza, mając nadal spokojny ton głosu.
- Nikomu nie przyjdzie do głowy, by cię tu szukać. Zapewne nie powiedziałaś ani Tomkowi, ani tej wiedźmie, dokąd idziesz, prawda? - Spojrzała wymownie na Elżbietę. - Na pewno by cię nie puścili. Tutaj nikt nie będzie szukał twoich zwłok...

- Zwłok?! - Elka już nie panowała nad sobą. - Co ty chcesz zrobić?!

- No cóż, niedoświadczona turystka wybrała się na Kozią Przełęcz, wąska ścieżka, brak doświadczenia... spadła. Jaka szkoda! Będę Tomasza pocieszać ze wszystkich sił, nawet łzę uronię na twoim pogrzebie, o ile znajdą na dnie doliny twoje szczątki.

Znienacka złapała Elżbietę za prawą rękę, tym samym odrywając ją od skalnej ściany. Zaczęły się szarpać. Tak jak Elżbieta przypuszczała, Konopko była od niej silniejsza, a dodatkowo jej ruchów nie krępował plecak. Wysocka, ubezpieczona na każdą sytuację, spakowała pół apteczki, kanapki i kilka napojów izotonicznych. Teraz to się mściło. Odruchowo złapała się za kieszeń kurtki, w której miała figurkę wilka od Marcjanny. „Blanko! Pomóż mi!” - krzyknęła w myślach. Konopko pchnęła ją, Elżbieta zatoczyła się i upadła przy samej krawędzi ścieżki. Chciała się poderwać, ale poczuła na plecach but Elizy.

- I co teraz powiesz, pani doktor? Jakies zalecenia? - zapytała Konopko zjadliwym tonem.

- Nie wygłupiaj się! Możemy spokojnie porozmawiać, zrobię, co zechcesz - obiecywała Elka, patrząc w przepaść.

- Za późno na rozmowy...

Nagle ze szczytu dobiegło ich wycie wilka. Przeraźliwe, niepokojące. Konopko zadarła głowę i spojrzała w kierunku, skąd dochodził dźwięk. Elka chciała wykorzystać ten moment i poderwać się na nogi, jednak Eliza była szybsza. Jednym kopnięciem ponownie zmusiła Wysocką do leżenia nad rozpadliną.

- Nie bądź taka cwana! - syknęła. - Wilki, jak słycać, wyczuły darmowy obiad - zaśmiała się. - Żegnaj! - Jednym ruchem nogi sturlała Elżbietę w przepaść.

- Aaaa... - głos spadającej kobiety odbijał się echem od skał.

- Tak giną dziwki! - Konopko stanęła nad przepaścią, by spojrzeć na leżące na dnie ciało, jednak mgła szczelnie zakryła dolinę. - Trudno się mówi. Ostrzegałam, ale nie słuchałaś, ździro! Tomek zawsze był, jest i będzie mój! - Odwróciła się i ruszyła w drogę powrotną, towarzyszyło jej przeciągłe wycie, jednak tym razem dochodziło z dołu!

Konopko zbliżyła się ponownie do krawędzi ścieżki i spojrzała w dół, nic jednak nie dostrzegła, wzruszyła ramionami i ruszyła dalej.

* * *

Tomasz wracał w niedzielny wieczór z sympozjum. Był niezwykle zadowolony, przede wszystkim dlatego, że spotkał dawno niewidzianych kolegów po fachu, co opłacił gigantycznym kacem, ale też dowiedział się o wielu nowościach w leczeniu zwierząt. Niepokoił się jedynie o Elkę, jej telefon nie odpowiadał, cały czas była poza zasięgiem. Dzwonił do Matyldy, ale i ona niczego nie wiedziała, dodatkowo zaniepokoiła go, gdy powiedziała, że ma przeczucie, że coś złego się wydarzyło. Jechał więc dość szybko, by jak najprędzej znaleźć się w pałacu.

Kiedy wjechał do miasteczka, postanowił jeszcze kupić świeży chleb, gdyż rano musiał dość wcześnie jechać do pracy. Zatrzymał samochód przed sklepem. Kiedy wszedł do środka, zobaczył za ladą Elizę. Westchnął ciężko, miał ochotę wyjść od razu, ale ta dostrzegła go.

- Co za miła niespodzianka! - zawołała z nieukrywaną radością. - Czego potrzebujesz?

- Chleb muszę kupić, chyba że Elżbieta już tutaj była? - odparł, podchodząc do lady.

- Masz szczęście, bo miałam w zasadzie już zamykać sklep. Od rana dzisiaj pada, pogoda typowo barowa - roześmiała się nieco sztucznie i podeszła do regału z pieczywem. - A Wysockiej u mnie nie było dzisiaj. W sklepie jestem od rana, bo moja pracownica skreśliła nogę w kostce - paplała. - Skąd wracasz? - zapytała, nabijając na kasie cenę.

- Byłem na sympozjum w Krakowie - odparł, płacąc i biorąc chleb. - Dziękuję i do widzenia - pożegnał się, kierując się do wyjścia.

- Co ci się tak śpieszy? Nikt na ciebie nie czeka... Spojrzał zdziwiony. Eliza zorientowała się, że powiedziała o jedno słowo za dużo.

- Nie rozumiem. - Zrobił krok w jej kierunku. - Co chciałaś przez to powiedzieć?

- Nic, tak chlapnęłam. To idź już, zanim na dobre się rozpada - ponagliła go zniecierpliwiona.

Tomasz wyszedł i wsiadł do samochodu z mieszanymi uczuciami. Nagle ogarnęło go złe przeczucie. Włączył silnik i jak szalencie ruszył z piskiem opon do pałacyku. Kiedy podjeżdżał pod budynek, zauważył, że w żadnym z okien nie paliło się światło, wokół panowała złowróżbna cisza. Jedyne ze stajni dochodziło niepokojące rżenie Malwiny.

- Ona coś czuje - powiedział do siebie, pośpiesznie wysiadając z samochodu.

Szybko pokonał taras i nerwowo otwierał kluczem drzwi. Wpadł do środka i zaczął przebiegać wszystkie pomieszczenia, w kuchni szukał jakiejś kartki od Elżbiety. Miał nadzieję, że może pojechała do nagłego wezwania, ale przecież jej samochód stał na podjeździe, więc poszła gdzieś pieszo. Zatrzymał się przed drzwiami wyjściowymi, sięgnął nerwowo po telefon i zadzwonił ponownie do Elki. Cisza. Szybko wybrał numer Matyldy, ale i ona nic nie wiedziała, nawet nie przypuszczała, gdzie mogła pójść w taką pogodę. Zaczął nie na żarty denerwować się. Postanowił pojechać na plebanię. Pamiętał, że Elżbieta mówiła, że w niedzielę zajdzie tam, aby od Aurelii wziąć przepis na jakieś ciasto. Wsiadł do auta i ruszył ostro przed siebie. Przejeżdżając przez most, zobaczył na drodze kobiecą postać. Gwałtownie zahamował, wyskoczył z auta.

- Czy pani oszalała?! Mogłem panią potrącić! - krzyknął wściekły.

- Leć na Kozią Przełęcz, ona tam jest. Blanka cię zaprowadzi - odparła spokojnie kobieta.

-Pani Marcjanna? Co pani tu robi? O czym pani mówi?! - pytał nerwowo, podchodząc do niej.

- Zostaw samochód i biegnij! Ona leży na występie skalnym, tym, co jest nad wielkim kamieniem! - odparła. - Biegnij! Nie stój tak! Blanka cię zaprowadzi!

- Jaka Blanka?! - Nie rozumiał.

- Nie znasz opowieści o niej?

-Aha, tak, już sobie przypominam, ale to tylko legenda!

- Przestań się sprzeczać i leć, bo za chwilę może być za późno! - rozkazała, wskazując ścieżkę, która prowadziła na Kozią Przełęcz.

* * *

Elżbieta obudziła się i rozejrzała. Nic nie pamiętała. Patrzyła na białe ściany i aparaturę, do której była podłączona. „Gdzie ja jestem? Co się stało?” - zadawała sobie pytania. Nagle drzwi się otworzyły i do pomieszczenia wszedł mężczyzna w białym fartuchu.

-Widzę, że się obudziłaś! Dzięki Bogu. Naprawdę krucho z tobą było, kiedy cię tu przywieźli.

-Andrzej? - Patrzyła na lekarza pytającym wzrokiem.

- Nie jest źle, skoro mnie poznałaś. - Podeszedł łóżka i wziął ją za rękę. - Puls się unormował, a i parametry są w miarę dobre - stwierdził, patrząc na monitor kardiografu.

Usiadł na stołku, który stał obok.

- Napędziłaś wszystkim strachu. Kiedy cię helikopter przywiózł, miałaś wysoką gorączkę. Baliśmy się, że złamałaś kręgosłup, bo spadłaś na naprawdę twarde podłoże. Gdyby nie ten ustęp skalny, to nie byłoby co z ciebie zbierać - opowiadał.

- Na szczęście rentgen nic nie wykazał. - Odchylił kołdrę, pod którą leżała. - Porusz palcami u stóp - nakazał.

Elka wykonała polecenie.

- Teraz już mamy pewność, że jest OK.

- Od kiedy tu jestem? - zapytała lekko zachrypłym głosem.

- Od pięciu dni - odparł. - Znalazł cię twój narzeczony i zaraz wezwał helikopter medyczny, były problemy, bo nie mógł tam lądować. Goprowcy zeszli po linach do ciebie.

- Długo tam leżałam?

- Nie wiem dokładnie, ale ze dwa dni na pewno, aż dziwne, że nie zamarzałaś, bo z soboty na niedzielę spadł pierwszy śnieg i chwycił mróz. To naprawdę niesamowite. Dobra, teraz

odpoczywaj. Twojego Tomka wywalilem do domu, bo koczował tu dzień i noc, wyglądał już jak śmierć na chorągwi.

- Która godzina? - zapytała.

-Już dwudziesta trzecia. Zaraz pielęgniarka da ci zastrzyk, to zaśniesz spokojnie. Teraz potrzebny ci normalny sen, żebyś się zregenerowała. Zajrzę z rana przed zejściem z dyżuru.

Kiedy wyszedł, zostawiając zapaloną boczną lampkę, Elka przymknęła oczy. Powoli zaczynała sobie wszystko przypominać.

Poszła na Kozią Przełęcz, szamotała się z Elizą, która zepchnęła ją. Pamiętała, jak leciała w dół, krzycząc. Zahaczyła plecakiem o jakiś kamień i spadła na półkę skalną. Plecak zamortyzował upadek. Chciała zadzwonić po pomoc, próbowała sięgnąć po telefon, ale nie miała go w kieszeni. Słyszała nad sobą wycie wilka. Nie czuła strachu, potem straciła przytomność. Kiedy na chwilę oprzytomniała, poczuła, że coś grzeje ją z obu stron. Było ciemno, spojrzała do góry, czuła płatki śniegu padające na jej twarz. Chciała zobaczyć, co ją ogrzewa z obu boków. Sięgnęła ręką i natrafiła na coś, co przypominało sierść, było ciepłe, po drugiej stronie było to samo. Wiedziała już, kto jej przyszedł z pomocą.

- Blanka? - zapytała i poczuła ciepły oddech na twarzy, a po chwili zwierzę polizało ją po policzku. Znowu straciła przytomność.

Andrzej pojawił się u niej rano, tak jak zapowiadał. Nie spała już.

- No i jak tam? - zapytał, wchodząc do sali.

- Dobrze, kręci mi się trochę w głowie i niedobrze mi, ale to ma związek z migreną, na którą o tej porze roku zawsze cierpię

- odparła pewnym głosem. - Kiedy wyjdę do domu?

-Dziewczyno, ledwo odzyskałaś przytomność, a poza tym musimy się jeszcze upewnić, czy dziecku nic nie jest.

- Dziecku? Jakiemu dziecku? - Elka chciała usiąść, ale ból mięśni i ramię w gipsie uniemożliwiły jej to.

- Leż spokojnie, porządnie się poobijałaś, dziewczyno. A ty co, nie wiedziałaś, że w ciąży jesteś? - zapytał zdziwiony.

- Nie... - odparła szeptem. - Matko jedyna, jak to się stało?

-No nie rozśmieszaj mnie - odpowiedział, nie kryjąc rozbawienia. - Jako lekarz chyba wiesz, jak dochodzi do zapłodnienia. Na szczęście to początek, więc płodowi nic nie powinno się stać, ale chcę się upewnić. Ginekolog kazał, byś jeszcze przez kilka dni leżała i nawet do toalety nie możesz pójść. Potem zdecyduje, co dalej. No to odpoczywaj. Pojutrze mam znowu dyżur. Cześć - pożegnał się i wyszedł.

- Cześć - rzuciła za wychodzącym.

Nie mogła uwierzyć w to, co jej powiedział. Miała czterdzieści jeden lat! Miesiączkowała już nieregularnie, zaczęło się u niej klimakterium, więc... Odruchowo położyła rękę na brzuchu. „Co na to powie Tomek? Majka?” - myślała gorączkowo. Jak mogła być tak lekkomyślna i nie zabezpieczyć się? Co teraz zrobi? Ma urodzić w tym wieku? Pytania bombardowały jej umysł, na żadne nie знаła odpowiedzi. Przymknęła oczy. Znowu zaczęło ją mdlić.

* * *

- Matko jedyna, Tomek, ciąża to nie choroba!

Elżbieta była zła. Odkąd wróciła do pałacyku, skakał wokół niej niczym cyrkowy piesek. Nie pozwalał jej chodzić ani nic robić. Czowała się jak w więzieniu. Kłóciła się z nim o wszystko. Uciszał ją pocałunkami. Matylda wpadła w wir zdrowego gotowania. Majka zaś, dowiedziawszy się, że będzie miała rodzeństwo, początkowo była zszokowana, potem zaś zaczęła matce przesyłać linki do sklepów internetowych z dziecięcymi ubrankami.

Elżbieta została wypisana ze szpitala z zapewnieniem, że dziecko jest zdrowe, ale ze względu na swój wiek, ma na siebie uważać. Słyszając to, skrzywiła się z niesmakiem. Może pracować w przychodni, ale w mniejszym wymiarze czasu. Wójt znowu bał się, że będzie musiał szukać lekarza, wyraził zgodę, żeby przychodnia była czynna przez sześć godzin.

Za oknem szalała zamieć, pierwsza w tym roku. Elka siedziała w salonie u boku Tomka i piła gorącą herbatę. Na kominku wesoło trzaskał ogień. Tomasz co chwilę zaglądał jej w oczy, chcąc odgadnąć najmniejsze życzenie, czym ją irytował.

Elka była przekonana, że będzie wściekły, kiedy dowie się o ciąży. W końcu też miał już swoje lata.

Na szczęście była w błędzie. Malinowski dowiedział się już po pierwszych badaniach, kiedy przywieziono ją do szpitala. Niemal dostał zawału, tym bardziej że poinformowano go, że Elżbieta może stracić dziecko. Modlił się, siedząc przy jej łóżku. A kiedy przysnął, opierając głowę o szpitalną szafkę, przyśniła mu się uśmiechnięta Małgosia. Kiedy obudził się, był pewien, że wszystko będzie dobrze, wierzył w to całym sercem.

- Kiedy sobie pomyślę, że tak niewiele brakowało, bym stracił znowu kogoś, kogo kocham, to mi się zimno robi - westchnął, przytulając kobietę do siebie.

- Już wszystko jest dobrze. - Położyła głowę na jego ramieniu.

- Żeby nie te wilki, już byś nie żyła. Aż dziwne, że cię nie zaatakowały, byłaś łatwym łupem.

- To była Blanka i jej wataha - odparła. - Wiedziałam, że jestem bezpieczna.

- Byłem przekonany, że to tylko legenda, zresztą... - Zamilkł, patrząc w ogień wesoło tańczący na kominku.

- Co zresztą? - dopytywała.

- Legenda ma kilkaset lat, więc nawet teoretycznie dawno powinna nie żyć - stwierdził.

- Są na świecie... - Nie dokończyła, bo do salonu weszła Matylda, była blada.

- Co się stało? - Elka zaniepokoiła się, widząc jej twarz.

- Znalezione Elizę - odparła, siadając w fotelu.

- Nareszcie! - krzyknął Tomasz, nie kryjąc zadowolenia. - Odpowie gnida za to, co zrobiła. Pobyt w więzieniu dobrze jej zrobi. Patrz, jaka głupia. Myślała, że jak ucieknie, to jej nie znajdą. - Kręcił głową.

- Nie odpowie - stwierdziła cicho Matylda.

- Niby dlaczego? - Tomek nie rozumiał.

- Znalezione jej ciało w lesie. Było niemal doszczętnie rozszarpane...

- Co takiego? - Tym razem Elka zapytała z niedowierzaniem w głosie.

- Wstępnie ustalono, że albo zdziczałe psy, albo wilki ją zaatakowały - odparła Matylda. - Ja jestem pewna, że to Blanka i jej wataha.

- Co też opowiadasz? - Tomasz nie dowierzał. - Przecież. ..

Nie dokończył, bo za oknem rozległo się przeciągłe wycie. Elka wzdrygnęła się. Matylda wsłuchiwała się w dźwięki.

- To pieśń zwycięstwa - powiedziała cicho, uśmiechając się. - Elżbieto, są już wyniki badań kobiety znalezionej na bagnach - dodała po chwili, kładąc na stole kopertę.

- Skąd wiesz, że to wyniki? - zapytała Wysocka, nie kryjąc zdziwienia.

- Zapominasz chyba, kim jestem - odparła, uśmiechając się.

-E... fakt.

Elżbieta szybko rozerwała kopertę, wyjęła pismo i przeczytała.

- No i? - zagadnęła mimo woli Matylda.

-Masz rację. Okazuje się, że szczątki należały do Elwiry. I co teraz?

- Teraz pójdziemy na grób Stanisława.

- Teraz? Już? Kawy nie dopiłam - broniła się Elka.

- Wieczorem, kochana, wieczorem - odparła Matylda, wychodząc z salonu.

* * *

- Kochanie, nie śpisz jeszcze? - zapytał Tomasz, wchodząc do sypialni. - Czemu stoisz przy oknie?

Wysocka bez słowa wskazała palcem na drzewa rosnące przed pałacykiem. Tomasz spojrział przez jej ramię. O pień jednego z drzew oparta była kobieca postać w długiej sukni, oświetlała ją pobliska latarnia. Patrzyła na młodego mężczyznę stojącego przed nią. Po chwili objęci zaczęli iść przed siebie. Mgła nadciągająca od jeziora snuła się po łące, otulając ich swoim płaszczem. Stanisław i Elwira także byli już razem.